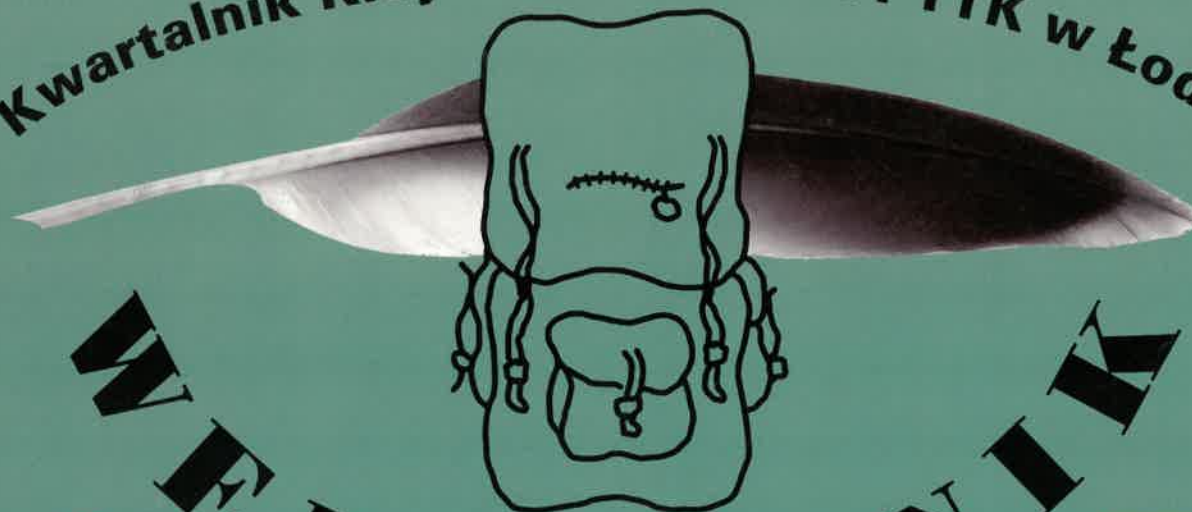


Kwartalnik Krajoznawczy RPK PTTK w Łodzi



WĘDRÓWNIK



ISSN 1425-1388

Rok XLVII

II (376) 2003



- ❖ *Rosjanie, Czesi, Niemcy i Żydzi w Łodzi*
- ❖ *Z dziejów Rudy Pabianickiej i Nowego Rokicia*
- ❖ *Osobliwości przyrodnicze Łodzi*
- ❖ *Wokół metropolii*
- ❖ *Galeria CFK - prezentuje*
- ❖ *Łodzianie we wspomnieniach i starej fotografii*
- ❖ *Ciekawostki historyczno - literackie*
- ❖ *Varia*

Palmiarnia Łódzka

Foto: D. Kimaczyńska

SPIS TREŚCI

<i>Drodzy Czytelnicy!</i>	2	- Anatol Gupieniec - <i>A skarb nadal spoczywa w dziupli</i>	41
----- <u>W kontekście czterech kultur</u> -----			
- Ryszard Bonisławski - <i>Smak naszego miasta</i>	3	----- <u>Kacik literacki</u> -----	
- Marek Budziarek - <i>Z dziedzictwa wielowyznaniowej i wielokulturowej Łodzi</i>	5	- Joanna Kulmowa - <i>Ciulanie siebie</i> (Fragmenty).....	43
- Zbigniew Lipowski - <i>Horak, Richter i Hoffrichter - Niemcy, Czesi czy Polacy?</i>	14	- Zygmunt Bartkiewicz - <i>Złe Miasto</i> (Fragmenty).....	47
- Andrzej Gałęcki - <i>Kilka słów o Rosjanach w Łodzi</i>	15	- Janusz Dunin - <i>Z pamiętniczka Pensjonarki</i>	48
- Danuta Gruszczyńska <i>Po I Festiwalu Dialogu Czterech Kultur</i> . Rozmowa z profesorem etnologii Ludwikiem Stommą, wykładowcą paryskiej Sorbony... 17	17	----- <u>Ciekawostki historyczne</u> -----	
----- <u>Łodziana</u> -----			
- Piotr Machlański - <i>Tropem łódzkiej secesji</i>	18	- Horst Milnikel - <i>I Wojna Światowa na ziemi łódzkiej</i>	49
- Jadwiga Zareda, Kajetan Zakrzewski - <i>Z historii Rudy Pabianickiej</i>	20	----- <u>Wokół metropolii</u> -----	
- Zbigniew Lipowski - <i>Rokicie Stare i Nowe</i>	22	- Bohdan Olszewski - <i>Niesułkowski klucz</i>	51
- Jerzy Zieliński - <i>Perygrynacje figurki Matki Bożej ze Starego Rokicia</i>	24	- Bohdan Olszewski - <i>Zakłety dwór</i>	52
- Edmund Adam Jarzyński - <i>O mlynie Chachula i dworku Fijałkowskich</i>	25	----- <u>W kregu PTTK</u> -----	
- Kamil Nowicki - <i>Lwowscy lotnicy nad Łodzią</i>	26	- Zbigniew Lipowski - <i>„Wędrownik” ćwierć wieku temu</i>	53
- Wacław Pawlak - <i>Jedzie pociąg z daleka</i>	28	- Elżbieta Bugaj - <i>Jak organizowaliśmy swój pierwszy rajd</i>	54
- Jacek Strzałkowski - <i>Przyczynek do działalności wystawienniczej Zygmunta Bartkiewicza i kolekcjonerów dzieł sztuki w Łodzi na przełomie XIX i XX stulecia</i>	29	- Inga Nowakowska - <i>Klub Fotograficzny przy CFK PTTK w Łodzi</i>	55
- Jerzy Andrzejewski - <i>Henryk Grohman - mecenas i kolekcjoner</i>	32	- <i>Odnaczenia, nagrody</i>	55
- Inga Nowakowska - <i>O kaplicy Scheiblerów i opiekunach Starego Cmentarza</i>	34	----- <u>Varia</u> -----	
- Janina Krzemińska-Freda - <i>Palmiarnia Ogrodu Botanicznego w Łodzi</i>	35	- <i>Ukazał się drugi tom słownika biograficznego „Żydzi dawnej Łodzi”</i>	55
- Dorota Kędzior - <i>Niezwykłe rośliny w niezwykłych miejscach</i>	37	- <i>Ekspozycja „Książka karpacka 2000-2002” ze zbiorów Tadeusza Kielbańskiego</i>	56
----- <u>Wspomnienia Łodzian</u> -----			
- Barbara Popławska - <i>Łodzianie w starej fotografii</i>	38	- <i>Nietypowa publikacja Prezydenta Łodzi</i>	57
- Wacław Pawlak - <i>Zaginiona dzielnica Staromiejska</i>	39	- <i>Drzewko oliwne z mazowieckiej równiny</i>	57
		- <i>Ozory w pałacu Poznańskiego</i>	58
		- <i>Łódzkie ZOO przed wejściem do Unii Europejskiej</i> ...	58
		- <i>Ekspozycja z Andrzejowa</i>	59
		- <i>Jubileuszowy rok Muzeum Miasta Zgierza</i>	59
		- <i>Pan Jerzy na wieży</i>	60
		- <i>Miłość i dramaty królowny Marianny</i>	60

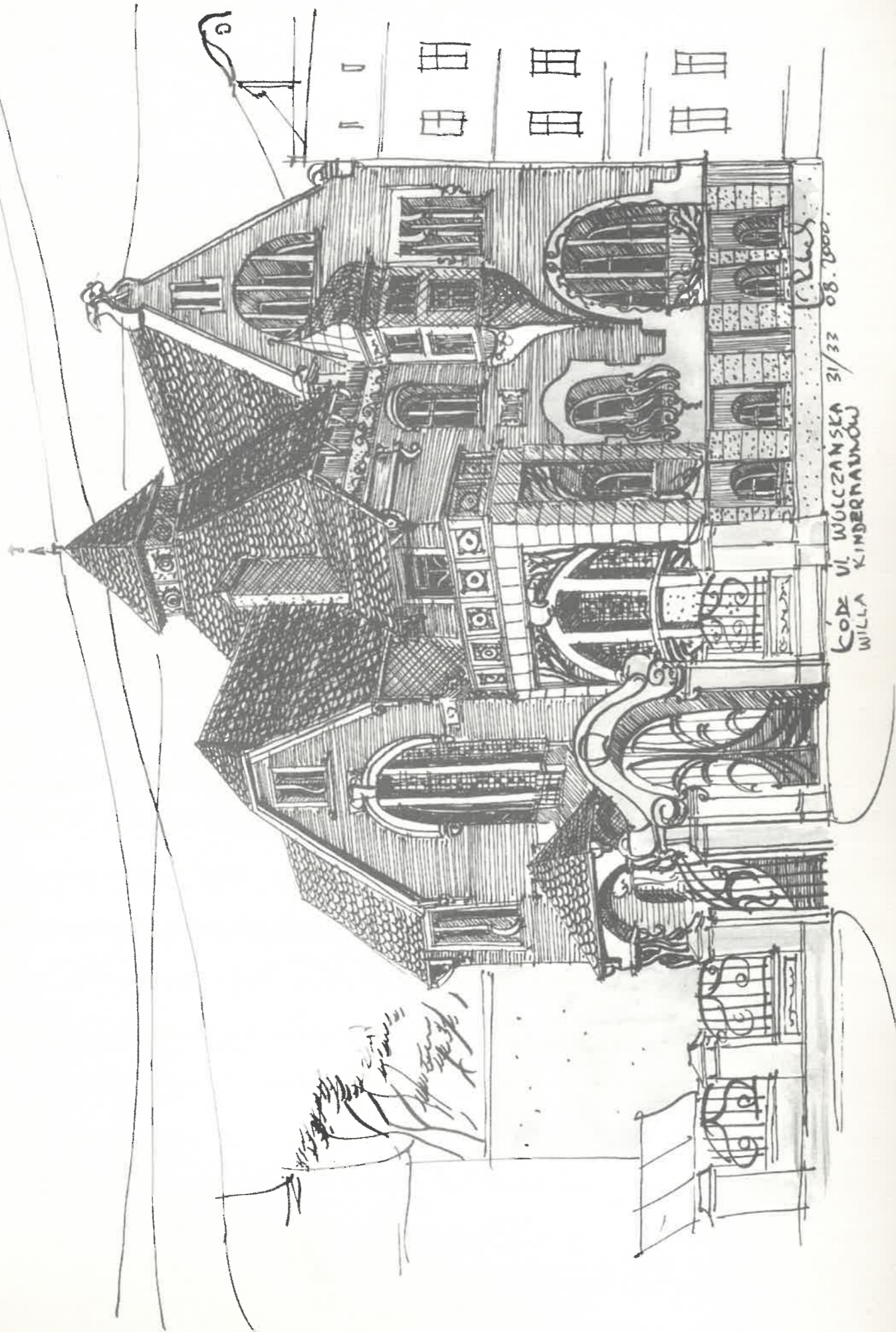
Niniejszy numer redagowało kolegium w składzie:
Andrzej Danowski, Janusz Kozłowski, Katarzyna Krakowska, Wanda Kruszyńska, Inga Nowakowska, Izabela Nowakowska, Wilhelm Szarzanowicz, Filip Tomaszewski,
Redakcja i opracowanie wkładki - Katarzyna Krakowska.
Redakcja techniczna - Marek Więckowski. Opracowanie tekstów - Jarosław Wojarski.
Z-ca redaktora naczelnego - Izabela Nowakowska. Redaktor naczelny - Zbigniew Lipowski

Numer wydano przy współudziale finansowym Urzędu Miasta Łodzi
i Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Łodzi
Nakład: 1000 egz.

„Wędrownika” można nabyć (także numery archiwalne):
w siedzibie Redakcji - w Łodzi przy ul. Wigury 12a, tel. 636-40-10, e-mail: cfk-pttk@wp.pl
w księgarni „Nike” przy ul. A. Struga 3 i „Ossolineum” przy ul. Piotrkowskiej 181,
oraz w Centrum Informacji Turystycznej przy ul. Piotrkowskiej 153.
Koszt prenumeraty na rok 2003 wynosi 30 zł (wraz z przesyłką pocztową). Cena numeru - 6 zł.
Redakcja nie zwraca materiałów i zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i korekty tekstów.
Druk i oprawa: Poligraf Łódź ul. Wierzbowa 46/48, tel. 678-53-74

Grafika: Lucja Robak

Rezydencja rodziny Kindermanów przy ul. Wólczańskiej 31/33



Niniejszy numer „Wędrownika” nie jest ani bardziej „łódzki”, ani bardziej krajoznawczy aniżeli poprzednie, a jednak chcemy, aby poprzez swoje materiały problemowe i przyczynkarskie włączył się w nurt kolejnej edycji Festiwalu Dialogu Czterech Kultur w Łodzi. Termin „dialog” w kontekście spuścizny kulturowej naszego miasta wydaje się nam szalenie istotny. Wszak meandry i paradoksy historii (a może wyrzucona dziś już poza nawias naukowości marksistowska „sprawiedliwość dziejowa”) sprawiły, że staliśmy się - my Polacy, a szczególnie łodzianie - spadkobiercami zarówno Rosjan, Niemców, jak i Żydów. Pamiętajmy też, że z dialogu kultur wynikają także dialogi religii i obyczajów.

Tak jak tradycja Łodzi nie jest jednolita - składa się z wielu elementów i wątków - tak i prezentowane w tym numerze teksty w sposób różnorodny podejmują kwestię łódzkiej wielokulturowości. Szczególnie cenne wydaje się nam przypomnienie współistnienia na terenie naszego miasta nie tylko Niemców, Polaków i Żydów, ale także Rosjan, których wkład w rozwój Łodzi bywa (z różnych względów) pomniejszany lub wręcz pomijany. Informacje na ten temat znajdujemy między innymi w artykule Andrzeja Gałęckiego.

Nie wszyscy zapewne wiedzą, że wspaniałe, uważane za najstarsze w Polsce okazy palm w łódzkiej Palmiarni, zawdzięczamy między innymi carskim urzędnikom. O tym, a także innych interesujących faktach z dziejów tego obiektu można przeczytać w artykule dr Janiny Krzemińskiej-Fredy - Dyrektora Ogrodu Botanicznego w Łodzi. Jednocześnie już teraz zachęcamy Państwa do odwiedzenia Palmiarni jesienią.

W oddawanym do Państwa rąk „Wędrowniku” kontynuujemy podejmowane wcześniej cykle i wątki, choćby poprzez powrót do „Wspomnień łodzian”, wywiadów, czy artykułów dotyczących środowiska łódzkich twórców i kolekcjonerów. Podążymy też tropem dziejów Rudy Pabianickiej, ongiś osady kuźniczej pod Pabianicami, później samodzielnego miasta nad Nerem, a dziś dzielnicy Łodzi, podobnie zresztą jak przastarej wsi Rokicie, z której część „ta Ruda” nieco uszczknęła. Na Nowym Rokiciu znajduje się Rondo Lotników Lwowskich - uchylimy rąbka tajemnicy, skąd wzięła się nazwa tego miejsca. Zachęcamy także Czy-

telników do tropienia łódzkiej secesji, będącej tematem wiecznie żywym i wzbudzającym niejednokrotnie wiele nieporozumień.

Współczesna Łódź przekształca się na naszych oczach w coraz prężniejszy ośrodek akademicki oraz miejsce, w którym dochodzi do dialogu pomiędzy sztuką, a tak zwaną „pop kulturą”. Zjawisko to było szczególnie wyraźnie widoczne w czasie trwania majowych Dni Łodzi. „Wędrownik” tradycyjnie już ukazuje na swych łamach twórczość łódzkich artystów. Tym razem prezentujemy grafiki Łucji Robak oraz zdjęcia z wiosennego pleneru fotograficznego zorganizowanego przez Klub Fotograficzny Centrum Fotografii Krajoznawczej PTTK w Łodzi. Mamy nadzieję, że będą one nie tylko strawą dla ducha, lecz także inspiracją do podejmowania w czasie wakacji zarówno krótszych

wycieczek po Łodzi, jak również dłuższych po naszym województwie. Jeśli zaś dłuższa czeka nas podróż, to zapewne kolejną. Starsi podróżujący, zaczynający swoją przygodę na Dworcu Łódź Kaliska, zapewne pamiętają jeszcze, jak wyglądała ta stacja kilka lat temu. Młodszym podróżnikom polecamy lekturę tekstu Wacława Pawlaka.

W czasie wakacyjnych wędrówek czasami napotykamy zarośnięte, zapomniane cmentarze wojenne. Czas zaciera na nagrobkach napisy, a ludzki wandalizm dokonuje niewybaczalnych zniszczeń. Na ziemi łódzkiej znajdujemy groby żołnierzy wielu narodowości i z okresów

różnych wojen. Ginęli tutaj nie tylko Polacy, Niemcy, Rosjanie ale również Francuzi czy Anglicy. Pamiętajmy, że tolerancji czy dialogu międzykulturowego można uczyć młodsze pokolenia także poprzez szacunek do pamiątek przeszłości, jakimi są niewątpliwie cmentarze. Stary Cmentarz przy ul. Ogrodowej dzięki ofiarności łodzian sukcesywnie odzyskuje swoją świetność. Jego symbolem i jednocześnie najcenniejszym zabytkiem jest kaplica Scheiblerów. O jej ciekawej historii i perspektywach renowacji mogą Czytelnicy przeczytać w artykule Ingi Nowakowskiej.

Na zakończenie życzymy Państwu wspaniałych wakacyjnych wrażeń oraz ciekawej lektury w letnie wieczory.

Kolegium redakcyjne
„Wędrownika”



Projekt herbu Łodzi z okresu I wojny światowej

RYSZARD BONISŁAWSKI

Smak naszego miasta

Badania prowadzone przez łódzkich archeologów potwierdzają obecność człowieka na terenie dzisiejszej Łodzi już przed 12 tysiącami lat. Śladami późniejszych kultur są odkryte groby, resztki naczyń, narzędzi i uzbrojenia. Zalegają one w rzecznych dolinach, które z czasem stały się terenem stałego osadnictwa. Z takiej właśnie małej osady wyłoniła się późniejsza Łódź, pierwsza wzmiankę o niej spotykamy w 1332 r., wtedy to książę łęczycki Władysław uwolnił wieś Łodzą zwaną od ciężarów prawa książęcego. Mieszkańcy przenieśli swoje domy w sąsiedztwo traktu handlowego wiodącego z Łęczycy do Piotrkowa Trybunalskiego, a biskupi włocławscy podjęli w 1414 r. próbę uczynienia osady miastem. Prawdziwe, królewskie nadanie praw miejskich nastąpiło w 1423 r. i zostało poświadczone podpisem Władysława Jagiełły.

Rolniczo-rzemieślnicze miasto rozwijało się przez dwa następne wieki dosyć pomyślnie. Tętniło życiem, a ponad parterowymi, drewnianymi domami wyrosła modrzewiowa świątynia. Po najeździe szwedzkim miasto podupadło i wyludnione wegetowało wśród otaczających je lasów. W latach zaborów myślano nawet o odebraniu mu praw miejskich, ale wtedy nastąpił prawdziwy cud, w 1820 r. władze Królestwa Polskiego włączyły Łódź do kręgu osad przemysłowych. Oczywiście liczące ok. 770 mieszkańców miasteczko nie dawało gwarancji pomyślnego zrealizowania planów i bez opieki rządu nie miałyby szans na rozwój.

W 1823 r. poza linią zabudowy dawnego miasta, na południe od rzeki Ostrogi (późniejszej Łódki), wytyczono granice Nowego Miasta przeznaczonego dla zagranicznych rękodzielników - sukienników. W centrum założono obszerny, ośmioboczny rynek, przy którym zbudowano ratusz i kościół ewangelicki. Po 1824 r. zaczęto kreślić plany kolejnej osady przemysłowej o nazwie Łódka. Jej położenie zakreślała rzeka Jasień i bieg traktu piotrkowskiego, który zyskał wtedy nazwę ulicy Piotrkowskiej. Wzdłuż tej ulicy, łączącej Stare Miasto z nowymi terenami przemysłowymi wytyczono parcele dla tkaczy i wzniesiono na nich parterowe domy. W dolinie rzeki, w miejscu wiekowych młynów, powstały pierwsze manufaktury włókiennicze.

Bardzo korzystne warunki pracy i bytowania spowodowały duży napływ osadników. W 1840 r. liczba łodzian wzrosła do 10 tysięcy, zaś od połowy XIX wieku Łódź stała się największym po Warszawie miastem na ziemiach polskich.

Ludność Łodzi składała się teraz z Polaków, Niemców, Żydów, Czechów, Ślązaków i stosunkowo niewielkich Rosjan reprezentujących przede wszystkim administrację i służby porządkowe. Tempo rozwoju określały metry wytworzonych i sprzedanych tkanin oraz poziom techniczny fabryk. Warto przypomnieć, że od 1839 r. za sprawą saksońskiego fabrykanta Ludwika

Geyera uruchomiono w mieście pierwszą maszynę parową, a czarna chmura dymu rozlewająca się na tle nieba i wysoki komin stały się swoistym symbolem miasta. W 1853 r. dziennikarz Oskar Flatt opublikował książkę „Opis miasta Łodzi” z pierwszymi litografiami pokazującymi wygląd łódzkich budynków. Zachwycony autor pisał: „Wjehawszy od strony Zgierza potoczystym traktem, przypominasz sobie stare miasto, ale szybko je minawszy, wjeżdżasz w szereg nowych, porządnich zabudowań, a wszędzie ruch, a wszędzie życie, jedziesz wiorstę, drugą, i piątą mijasz, a ciągle jesteś w mieście, ciągle jesteś w Łodzi. Otaczają cię gmachy wielkie, w nich żywo tętni ruch przemysłowy (...) Oto jest nędzna niedawnymi czasy mieścina!”

Po reformie uwłaszczeniowej (w 1864 r.) do miasta zaczęli masowo napływać chłopcy z okolicznych terenów, stanowiąc tanią siłę roboczą dla ciągle powstających fabryk. Na początku XX wieku Łódź zbliżyła się liczbą mieszkańców do 500 tysięcy i ustanowiła światowy rekord wzrostu demograficznego. Niestety, wzrost miasta nie szedł w parze z troską władz o jego wygląd i wygodę życia mieszkańców. Tuż obok Łodzi wyrosły zaniedbane, brzydkie przedmieścia: Bałuty i Chojny, liczące po kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, a trudne położenie robotników i antypolska polityka władz carskich wywoływały fale konfliktów społecznych i zamieszek ulicznych.

Z inicjatywy przemysłowców, kupców, lekarzy, prawników itp. członków łódzkiej społeczności udało się stworzyć banki, instytucje kultury i oświaty oraz ośrodki pomocy medycznej. Założono gazownię, elektrownię, doprowadzono kolej i połączono odległe dzielnice liniami tramwajów elektrycznych. Pełne kontrastów miasto stało się też przedmiotem literackich i publicystycznych opisów, najlepszy stworzył Władysław Reymont na kartach „Ziemi Obiecanej”. Jeszcze dziś wielu czytelników postrzega dzieje Łodzi przez pryzmat tej powieści i wędrując jej ulicami szuka historycznych realiów.

Dynamiczny rozwój miasta został przerwany w 1914 r. działaniami wojennymi, a w konsekwencji celowej dewastacji maszyn i urządzeń przerwano ciągłość rozwoju gospodarczego. Przez wiele późniejszych lat czyniono próby usunięcia zniszczeń, a także modernizacji i rozbudowy fabryk. Zrobiono wielki krok na drodze do rozwoju oświaty, lecznictwa, kultury i budownictwa miejskiego. W 1919 r. Łódź, jako pierwsza w Polsce wprowadziła i zrealizowała program powszechnego nauczania, w 1928 r. powołano oddział Wolnej Wszechnicy Polskiej, założono kilka muzeów, w tym Muzeum Nauki i Sztuki z drugą na świecie galerią sztuki nowoczesnej. W środowisku artystycznym miasta działali m.in. Leon Schiller, Stefan Jaracz, Aleksander Zelwerowicz, Karol Hiller, Władysław Strzebiński, Kata-

ryzna Kobro, Henryk Stażewski, Witold Wandurski i Marian Piechal.

Niemiecka okupacja znów na kilka lat przekreśliła dorobek miasta, które już w 1939 r. włączono w granice Trzeciej Rzeszy. Fala hitlerowskiego terroru znacząco masowymi grobami, aresztowaniami i obozami miała pokazać polskim i żydowskim mieszkańcom Łodzi ich miejsce w nowym państwie. Szczególnie tragicznie zapisały się w naszej świadomości obozy w Radogoszczu, dla mężczyzn i przy ul. Przemysłowej - dla dzieci i młodzieży. Ogromną część społeczności żydowskiej ulokowano w getcie położonym w najbardziej niebezpiecznych obszarach miasta, na Starym Mieście i Bałutach. Z blisko 200 tysięcy Żydów ocalała zaledwie garstka. Liczne pomniki i tablice pamiątkowe wiodą nas dzisiaj śladem tamtych tragicznych lat.

Po 19 stycznia 1945 r. znów nastał czas odbudowy zdewastowanego przemysłu. Powołano do życia kilka wyższych uczelni, teatrów i muzeów. Znacznie poszerzono granice miasta (do 300 km²) i wytyczono obszary dla nowych zakładów przemysłowych, przenosząc tu również fabryki ze śródmieścia. Nadrabiając komunalne zaniedbania doprowadzono do miasta wodę z Piliicy, założono sieć ciepłowniczą i kanalizacyjną, wzniesiono nowe, ogromne osiedla mieszkaniowe.

Przez wiele lat Łódź spełniała rolę centrum filmowego Polski. Działy tu wytwórnie filmowe (filmów fabularnych, oświatowych i lalkowych), studia udźwiękowienia, wytwórnia kopii filmowych i znana w świecie Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna. Jej absolwenci odnoszą wiele sukcesów artystycznych w Polsce i na świecie. W opinii wielu osób jest ona najstarszą i najbardziej prestiżową z łódzkich uczelni. Przez 50 lat istnienia obrosła legendami i anegdotami, zdobyła międzynarodową renomę i prestiż.

Założona w 1947 r. jako Wyższe Studium Filmowe (przeniesione z „konserwatywnego” Krakowa), przemianowana w następnym roku na Wyższą Szkołę Filmową, uzyskała w 1950 r. prawa akademickie jako Wyższa Szkoła Filmowa, a po połączeniu się ze szkołą aktorską w 1958 r. dzisiejszą nazwę.

Dzieje uczelni są nierozdzielnie związane z pedagogami i twórcami tej miary, co: S. Wohl, J. Toeplitz, H. Kluba, B. Lewicki, E. Haneman, M. Jahoda, W. Has, K. Zanussi, J. Kawalerowicz, A. Ford, G. Królikiewicz, J. Morgenstern i J. Wajda. Wielu z wymienionych wykładowców to dawni absolwenci szkoły. Wśród najbardziej znanych warto wymienić także: R. Polańskiego, J. Kondratiuka, F. Bajona, A. Pasikowskiego, A. Munka, J. Skolimowskiego.

W ostatnich latach oblicze miasta uległo znacznej przemianie, przebudowa gospodarki doprowadziła do upadku wielu zakładów. Rozwinęły się nowe, charakterystyczne dla współczesnej Łodzi dziedziny działalno-

ści: handel, gastronomia, bankowość. Pięknieją elewacje i ulice, a w zabytkowych fabrykach powstają centra rozrywki. Na odnowionej części ul. Piotrkowskiej można odpocząć w pubach i letnich ogródkach, które barwnymi plamami pokrywają chodniki i jezdnię, a przejeżdżka riksą należy już do zwyczaju. Jadąc czy spacerując mamy czas na oglądanie zabytkowych kamienic, które zaskakują swą niezwykłą urodą i wiodą nasze myśli ku epoce „Ziemi Obiecanej”.

O randze miasta świadczą też wpisane w jego kulturalną tradycję imprezy o krajowym i międzynarodowym znaczeniu. Do najważniejszych zaliczamy Międzynarodowe Triennale Tkaniny Artystycznej związane od początku z Centralnym Muzeum Włókiennictwa. Jest to najstarsza i największa w tej dziedzinie impreza wystawiennicza na świecie. Obejmuje swym zasięgiem wszystkie kontynenty i stanowi dla twórców niezastąpioną płaszczyznę artystycznych konfrontacji stylów, upodobań, przemian technicznych i surowcowych.

Podobne znaczenie mają Łódzkie Spotkania Baletowe organizowane przez Teatr Wielki. Prezentowani są na nich najwybitniejsi soliści i zespoły z całego świata, ich występy są wielką ucztą duchową, a dla twórców miejscem wymiany poglądów. W ostatnich latach Łódź stała się organizatorem jednego z najważniejszych festiwali filmowych o międzynarodowym znaczeniu - Camerimage. Przybywają nań ze swymi dziełami najlepsi operatorzy filmowi. Na miłośników filmów czekają w Łodzi inne równie interesujące przedsięwzięcia: Międzynarodowy Festiwal Mediów „Człowiek w zagrożeniu” - prezentacja filmów dokumentalnych, audycji radiowych i publikacji ukazujących różne zagrożenia cywilizacyjne oraz „Forum Kina Europejskiego” - przegląd filmów połączony z wykładami, dyskusją, koncertami i warsztatami twórczymi.

Debiutujący twórcy mogą też zaprezentować swój dorobek na międzynarodowym festiwalu filmowym Media School organizowanym przez Państwową Wyższą Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną. Tu także organizowany jest Festiwal Szkół Teatralnych przeznaczony dla studentów wydziałów aktorskich z różnych miast.

W 2002 r. zapoczątkowano w naszym mieście międzynarodowy Festiwal Dialogu Czterech Kultur - imprezę jakiej jeszcze w Polsce nie było. Przez 10 dni mogliśmy podziwiać teatry, muzyków, piosenkarzy, filmy, kabarety i iluzjonistów.

Teatr ma w Łodzi długą tradycję i wielu wiernych widzów. Z myślą o nich w Teatrze Powszechnym są organizowane: „Festiwal Sztuk Przyjemnych” - prezentacja najlepszych spektakli komediowych w Polsce, a w Łódzkim Domu Kultury - Spotkania Teatralne - przegląd teatrów alternatywnych połączony z warsztatami i seminariami.



(fot. archiwum)

Camerimage w łódzkim Teatrze Wielkim

Tradycyjnie jesienią teatr „Logos” z niezastąpionym księdzem Waldemarem Sondką organizuje Festiwal Kultury Chrześcijańskiej. Gościmy na nim zespoły teatralne i muzyczne oraz plejadę wielkich artystycznych indywidualności - aktorów, plastyków, poetów itp. W tym samym miejscu na Festiwalu Komiksu spotykają się krajowi i zagraniczni fani komiksów.

Ogromny wpływ na poziom tych imprez wywierają absolwenci łódzkich szkół i uczelni artystycznych.

W lutym 1945 r. powołano w Łodzi Państwowe Konserwatorium Muzyczne, które już w następnym roku uzyskało status Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, a od 1982 r. nosi nazwę Akademii Muzycznej. Siedzibą uczelni jest piękny, zabytkowy pałac Karola Poznańskiego dostosowany do potrzeb dydaktycznych Akademii. Wśród organizatorów szkoły znaleźli się m.in.: Helena i Antoni Dobkiewiczowie, Kazimierz Wiłkomirski, Mieczysław Drobner, Kazimierz Sikorski i Kiejstut Bacewicz. Pod ich kierunkiem wyrosli artyści najwyższej miary: Wanda Wiłkomirska, Zenon Płoszaj, Teresa Zylis-Gara, Delfina Ambroziak, Teresa Wojtaszek-Kubiak, Jolanta Bibel, Jan Krenz, Monika Rosca i inni. Absolwentów uczelni odnajdziemy we wszystkich znaczących ośrodkach życia muzycznego w Łodzi, a także w filharmoniach i teatrach operowych Polski i świata.

MAREK BUDZIAREK

Z dziedzictwa wielowyznaniowej i wielokulturowej Łodzi

Bezprecedensowe dzieje Łodzi, jej rozwój ekonomiczny, tworzenie się rodzimych elit, autentyczny radykalizm społeczny oraz rzekoma rewolucyjność jej mieszkańców wzbudzały zawsze zainteresowanie historyków, socjologów i demografów. Ostatnio fenomen miasta nad Łódką znalazł się w polu zainteresowań kulturoznawców oraz religioznawców i historyków Kościoła. Przede wszystkim dlatego, że wyjątkowość Łodzi polegała również na jej składzie narodowym i wyznaniowym, a co za tym idzie niespotykanej gdzie indziej konieczności współistnienia odmiennych kultur, nacji i religii. Ponadto w Łodzi - mieście wielowyznaniowym, wielonarodowym, wielokulturowym - procesy asymilacyjne na płaszczyźnie narodowej i kulturowej nie zawsze pokrywały się z asymilacją religijną, a ta musiała dokonywać się zgodnie z zasadami „wymuszonej” tolerancji. Współistnienie, na niewielkim przecież obszarze, kilku narodów i kilku religii oraz wyznań z konieczności prowadzić musiało do naturalnego prozelityzmu, jak również wymuszało istnienie tolerancji.

Oczywiście problemy te uzależnione były również od warunków zewnętrznych i odmiennie przebiegały w czasie wielkiego rozwoju przemysłowego Łodzi przed I wojną światową, w dwudziestolecie międzywojennym, podczas II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej, czy wreszcie w okresie powojennej państwowości polskiej. Główny zarys geografii wyznaniowej i kulturowej Łodzi stworzony został w ubiegłym stuleciu. Powstałe wówczas ramy organizacyjne, jak również zasięg społecznego oddziaływania uległ tylko nieznacznym zmianom w czasie istnienia II Rzeczypospolitej Polskiej. Co

Początki Akademii Sztuk Pięknych sięgają 1945 r., w którym powołano Państwową Wyższą Szkołę Plastyczną. Zastąpiła ona niemal od pierwszych dni jako uczelnia awangardowa, sięgająca do twórczego i teoretycznego dorobku przedwojennych twórców, wśród których najważniejszą rolę odgrywał wybitny artysta Władysław Strzebiński. Szkoła umiejętnie łączyła kształcenie artystów z wymogami wzornictwa przemysłowego. Poza tradycyjnymi kierunkami Akademia słynie z jedynej w Polsce Katedry Ubioru, a jej studenci od wielu lat uczestniczą we wszystkich liczących się konkursach i pokazach mody.

Wśród najbardziej znanych pedagogów, a zarazem artystów związanych ze szkołą odnajdziemy: J. Tworek-Pierzgalską, S. Fijałkowskiego, A. Starczewskiego, L. Różgę, A. Gieragę, M. Gałkiewiczza, J. Tręlińskiego, S. Krygiera i innych. Prace profesorów i ich wychowanków znajdują się we wszystkich prestiżowych galeriach i muzeach.

Uczelnia nosi dzisiaj imię W. Strzebińskiego, a rangę Akademii uzyskała w 1996 r.

Smakować Łódź można i trzeba także - a może przede wszystkim - w Muzeum Historii m. Łodzi, Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym oraz Muzeum Kinematografii.

najwyżej zmienił się układ statystyczny poszczególnych religii i wyznań, jak również pojawiły się nowe, choć liczebnie niewielkie ruchy wyrosłe przede wszystkim na gruncie katolicyzmu i protestantyzmu. Globalne zmiany nastąpiły w latach 1939-1945. Lokalny judaizm przestał istnieć zaś masowe przesiedlenia ludności niemieckiej dokonane pomiędzy 1944 a 1951 rokiem doprowadziły do poważnego zmniejszenia liczebności protestantów łódzkich. Czasy PRL charakteryzowały się pewnego rodzaju stagnacją wyznaniową. Przez pół wieku domino wało chrześcijaństwo, a w nim Kościół rzymskokatolicki. Dopiero w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia można było zaobserwować wzmożony rozwój wyznań chrześcijańskich i religii, zwłaszcza dalekowschodniej proveniencji.

KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI

Przez długie wieki ludność zamieszkująca miasto nad Łódką skupiała się wokół jednej parafii rzymskokatolickiej - Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny - przynależnej do połowy XVIII stulecia do archidiecezji gnieźnieńskiej, a przez następne półwiecze do diecezji kujawskiej. Tę, w miarę stabilną, sytuację miejscowej parafii diametralnie zmieniły w wieku następnym akty władzy państwowej i kościelnej. W 1820 roku z inicjatywy Stanisława Staszica (reprezentującego rząd Królestwa Polskiego) i Rajmunda Rembielińskiego (przedstawiciela władz województwa mazowieckiego) Łódź zaliczono w poczet miast fabrycznych. Dwa lata wcześniej w wyniku reorganizacji Kościoła rzymskokatolickiego w Królestwie Kongresowym utworzono metro-

polię warszawską (na mocy bulli papieża Piusa VII *Militantis Ecclesiae* z 12 marca 1818 roku) i dokonano nowego podziału diecezji w całym Królestwie (zgodnie z bullą papieską *Eximposita nobis* z 30 czerwca 1818 roku). W efekcie tych posunięć Stolicy Apostolskiej parafia łódzka, jak również znaczna część miejscowości z tego obszaru diecezji wrocławskiej, znalazła się w granicach archidiecezji warszawskiej.

Te dwa wydarzenia - państwowe i kościelne - stworzyły dla naszego miasta i miejscowego Kościoła zupełnie nowe formy istnienia i funkcjonowania. Łódź w niezwykle szybkim tempie przerażała się zaczęła w wielką metropolię przemysłową, zaś lokalna parafia stanęła przed zupełnie nowymi problemami duszpasterskimi. Wspólnota ta - pod koniec XIX stulecia - licząca kilkadziesiąt tysięcy wiernych przez długi czas nie posiadała własnych instytucji o charakterze społeczno-państwowym. Nie mogła w sposób swobodny rozwijać swoich narodowych aspiracji (a Polacy w tej grupie dominowali), zaś działalność społeczna ograniczała się w dużym stopniu do pałazczyzny kościelnej.

W ramach miejscowej parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny funkcjonowały bractwa, animowano życie liturgiczne i sakramentalne. Nie obce były tej wspólnocie kwestie narodowościowe, jako że w jej ramach funkcjonowali katolicy narodowości polskiej i niemieckiej. W połowie XIX wieku miały miejsce pewne nieporozumienia między tymi dwiema grupami narodowościowymi na tle obsady stanowiska miejscowego proboszcza. Z kolei systematyczny wzrost liczby mieszkańców miasta powodował gigantyczne zwiększanie się liczby wiernych. W 1860 roku podjęto próbę utworzenia nowej parafii i budowy nowej świątyni katolickiej - Podwyższenia Świętego Krzyża. Rozpoczęte wówczas prace budowlane na długie lata przerwał wybuch powstania styczniowego i popowstaniowe represje administracji carskiej. Te ostatnie doprowadziły do poważnych perturbacji w życiu parafialnym - sama parafia przez osiem lat nie miała stałej opieki duszpasterskiej.

Dopiero od początku lat 70-tych ubiegłego wieku sytuacja katolików łódzkich zaczęła się stabilizować. W 1872 roku, po ośmiu latach wakansu, zamianowano nowego proboszcza łódzkiego. Wznowiono budowę drugiego kościoła parafialnego, uaktywniono stowarzyszenia i bractwa religijne. Tu także zainicjowano regularną obsługę duszpasterską dla katolików narodowości niemieckiej. Stworzono dla nich odpowiednie warunki do kultuwowania swoich własnych tradycji i zwyczajów (bractwa, chóry, organizacje charytatywne).

Jedną świątynią na Starym Mieście i jedna w Nowym Mieście, kilku duchownych i ogromna rzesza wiernych powodowało, że prowadzenie działalności apostołskiej w zdeintegrowanym środowisku było niezwykle trudne. Kościół nie nadążał w swych działaniach za lawinowym wzrostem liczby wiernych. Potrzeby były duże, zdawano sobie z nich sprawę, ale nie było środków na ich realizację. Nadto i tak trudną sytuację duszpasterską ograniczały rozporządzenia administracji carskiej.

Pod koniec 1920 roku Łódź stała się stolicą samodzielnej jednostki organizacyjnej polskiej prowincji kościelnej. Powstanie diecezji łódzkiej w sposób zdecydowany zmieniło możliwości oddziaływania duszpasterskiego duchowieństwa i świeckich w lokalnym środowisku

robotniczym. Rozbudowywano organizację Kościoła łódzkiego oraz systematycznie udoskonalano instytucje diecezjalne. W miarę sprawnie funkcjonowało duszpasterstwo katolików narodowości niemieckiej. Dla tej grupy wiernych przydzielono specjalnego duchownego, który duszpasterzował w kościele Podwyższenia Świętego Krzyża, jak również pełnił obowiązki prefekta w niemieckich szkołach średnich istniejących na terenie miasta.

Od jesieni 1939 roku stopniowo ograniczano wolność duchownym katolickim (aresztowanych w listopadzie 1939 roku umieszczono w więzieniu na Radogoszczu), na dłuższy lub krótszy czas osadzano ich w więzieniach, jak również zmuszano do wyjazdu na obszary Generalnego Gubernatorstwa. W wyniku kilku masowych akcji przeprowadzonych pomiędzy 1939 a 1941 rokiem aresztowano prawie wszystkich duchownych i osadzono ich w obozach koncentracyjnych a zwłaszcza w KL Dachau. Efektem tych działań represyjnych było zamknięcie niemalże wszystkich katolickich miejsc kultu (katolikom narodowości polskiej pozostawiono trzy otwarte świątynie, jedną zaś niemieckim katolikom).

Natychmiast po zakończeniu okupacji hitlerowskiej i działań wojennych, wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniom społecznym, katolickie środowiska zorganizowały na szeroką skalę akcję dobroczynną. Początkowo prowadzono ją w ramach istniejącego „Caritasu” - rozdawano odzież, żywność i lekarstwa. Po zlikwidowaniu przez władze państwowe tej kościelnej instytucji, akcja charytatywna koordynowana była w poszczególnych parafiach. Systematycznie szkolono opiekunki i opiekunów parafialnych, organizowano również dla nich dni skupienia, rekolekcje zamknięte i konferencje.

Po usunięciu religii ze szkół państwowych miejscowa władza kościelna musiała stworzyć od podstaw sieć punktów katechetycznych, przygotować odpowiednią grupę katechetów i zapewnić im oraz katechizowanym dzieciom odpowiednie warunki pogłębiania wiedzy religijnej. Biorąc pod uwagę, iż po 1945 roku Łódź stała się dużym ośrodkiem akademickim, otoczono opieką duszpasterską młodzież studiującą na wyższych uczelniach. Już w latach czterdziestych przy miejscowym kościele jezuitów zaczęło funkcjonować Studium Wyższej Wiedzy Religijnej. Duszpasterstwo akademickie przez bardzo długi czas skupiało się wyłącznie przy tym właśnie ośrodku. Obecnie braki w uzupełnianiu wiedzy teologicznej i filozoficznej - już na wyższym szczeblu - stara się wypełnić łódzki Instytut Teologiczny (a przy nim trzyletnie Kolegium Teologiczne) oraz filia Akademii Teologii Katolickiej. Zmiana ustroju państwa (jaka nastąpiła po 1989 roku), jak również wyniesienie Łodzi do rangi stolicy arcybiskupstwa bezpośrednio podległego Stolicy Świętej (na mocy bulli papieża Jana Pawła II *Totus Tuus Poloniae Populus* z 25 marca 1992 roku) stworzyła dla Kościoła łódzkiego warunki właściwej, niczym nieograniczonej, realizacji zadań. Systematycznie rozbudowywana jest sieć parafialna. Wznoszone są nowe obiekty sakralne. Lokalna „Caritas” prowadzi szeroko zakrojoną akcję charytatywną. Rozwijają się duszpasterstwa środowiskowe i zawodowe. Kościół łódzki posiada własną rozgłośnię radiową, redakcję katolicką w lokalnej telewizji oraz redakcję wydawnictw katolickich.

STAROKATOLICKI KOŚCIÓŁ MARIAWITÓW

Wyjątkowym zjawiskiem w życiu narodu i Kościoła polskiego początku naszego stulecia było wyodrębnienie się z katolicyzmu rzymskiego ruchu mariawickiego. Początki łódzkiego mariawityzmu sięgają 1906 roku, kiedy to zapał organizacyjny duchownych mariawickich, wyjątkowa aktywność wiernych, a przede wszystkim skromność, ubóstwo, żarliwość religijna i wrażliwość na potrzeby innych spowodowały niesamowity rozwój miejscowej parafii św. Franciszka z Asyżu. W 1909 roku była to już wspólnota licząca 40.000 wiernych (zwłaszcza z najuboższej dzielnicy Łodzi - Bałut) i posiadająca cztery parafie, w nich murowane świątynie, domy ludowe, żłobki, przedszkola, darmowe kuchnie i sklepy spożywcze, drukarnię, księgarnię i szkołę. W rok później w mieście nad Łódką utworzono biskupstwo mariawickie - tym samym Łódź po raz pierwszy w swej historii stała się stolicą biskupią.

Niebywały rozwój Starokatolickiego Kościoła Mariawickiego skutecznie zahamowany został w latach 20-tych ubiegłego stulecia. Była to konsekwencja bardzo aktywnej działalności duszpasterskiej Kościoła rzymskokatolickiego, ale także akcji dezawuowania środowiska mariawickiego czynionego przez administrację państwową. Wprowadzenie przez mariawitów nowości liturgicznych i dogmatycznych, a zwłaszcza usankcjonowanie małżeństwa duchownych spowodowało rozbitcie ruchu mariawickiego. Nadto kwestie ambicjonalne w łonie hierarchii ograniczały zdecydowanie ekspansywność apostołską i tłumiły w sposób naturalny aktywność misyjną oraz zakres prozelityzmu. Wszystko to doprowadziło do zamknięcia się wiernych w swym małym, stopniowo starzejącym się kręgu nie mającym większego oddziaływania zewnętrznego.

W czasie II wojny światowej wspólnota mariawitów łódzkich była tolerowana przez okupacyjne władze niemieckie. Co prawda zabrano im świątynię św. Franciszka przy ulicy Franciszkańskiej się znajdującą (ta część ulicy weszła w skład getta żydowskiego), jednakże przekazano im pomieszczenie zastępcze do celów kultowych. Swoją świątynię odzyskali jednak po odzyskaniu niepodległości.

Starokatolicki Kościół Mariawitów - mający w Łodzi stolicę diecezji łódzko-śląskiej - prowadzi działalność liturgiczną, sakramentalną i społeczną wśród 1000 łódzkich mariawitów. Parafia utrzymuje katechetę, który prowadzi lekcje religii w Szkole Podstawowej nr 158, przy ul. Janosika 136.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI MARIAWITÓW to drugi, wybitnie sfeminizowany, odłam mariawityzmu samodzielny w 1935 roku. Siedzibą jego władz naczelnych został Felicjanów koło Płocka. Podział administracyjno-kościelny obejmował dwie kustodie (diecezje): warszawsko-lubelską (z siedzibą w Warszawie) oraz płocko-łódzką (z siedzibą w Łodzi).

Ten odłam mariawityzmu działał według zasad wytyczonych przez ks. Jana Marię Kowalskiego - odrzucił celibat, usankcjonował kapłaństwo kobiet, wprowadził pewne innowacje w zakresie sakramentologii i liturgii. Szczególną cześć otoczono „Mateczkę” - Felicję Kozłowską. W Łodzi wierni Katolickiego Kościoła Mariawitów zafunkcjonowali w połowie lat trzydziestych.

Obecnie jedna parafia, wchodząca w skład diecezji

płocko-łódzkiej, liczy zaledwie 40 rodzin. Podobnie nieliczne parafie znajdują się w Niesułkowie, Strykowie i Zgierzu. Skupiają one, według danych z końca XX wieku, około 600 osób. W samej Łodzi około 200 wiernych. Obsługiwane są przez kilku duchownych (także kobiet posiadających święcenia kapłańskie).

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI

Skład narodowościowy mariawitów był jednorodny. Wspólnotę tworzyli wyłącznie Polacy, uprzednio należący do Kościoła rzymskokatolickiego. Tę samą proveniencję narodową i wyznaniową posiadali członkowie Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, którego ideę przeszczepiono na ziemie polskie po 1918 roku z USA. W Łodzi rozpoczęli swą działalność w 1927 roku.

Podkreślanie miłości i obowiązku czynnego działania na rzecz odrodzonej Ojczyzny, używanie języka polskiego w liturgii, otwarcie na potrzeby ubogich i biednych, stałe propagowanie ubóstwa Kościoła, a zwłaszcza bezpłatna obsługa duszpasterska stały się przyczyną szybkiego wzrostu liczebnej wspólnoty polskokatolickiej w społeczeństwie łódzkim. W 1939 roku liczyła ona około 400 rodzin. Po pierwszym okresie znacznego rozkwitu, tuż przed wybuchem II wojny światowej, proces ten się zatrzymał. Łódzki ośrodek polskokatolicki (podobnie jak mariawicki, przeżywający trudy wewnętrznego rozbitcia) stracił ekspansywność, zaś całkowity regres nastąpił w czasie okupacji hitlerowskiej.

Po II wojnie światowej nastąpiła pewna stabilizacja łódzkiej wspólnoty Kościoła Polskokatolickiego, ale w dalszym ciągu była ona małą grupą wyznaniową. Współcześnie około 700 wiernych skupionych jest w dwu parafiach łódzkich. Problemy teologiczne, organizacyjne i materialne, uniemożliwiają im ekspansywność misyjną.

KOŚCIÓŁ EWANGELICKO-AUGSBURSKI

Losy łódzkich protestantów przeczą powszechnie obowiązującej tezie, że Polak to katolik, a Niemiec to protestant. Już w pierwszych dziesięcioleciach XIX stulecia struktura narodowa mieszkańców Łodzi absolutnie nie pokrywała się z przynależnością wyznaniową. W tym wyjątkowym mieście więcej było katolików niż Polaków, jak również mniej Niemców niż protestantów. Nadto nie kto inny jak właśnie ci ostatni nadawali ton naszemu miastu, miastu które w krótkim czasie stało się wielką metropolią przemysłową.

Era przemysłowego miasta, datująca się od 1820 roku, sprzyjała przybyzdom posiadającym zdolności rękodzielnicze, których cechowała niezwykła pracowitość i przedsiębiorczość. Władze Królestwa Polskiego udzielały im kredyty, zwalniały z części podatków, przydelały materiały budowlane. Nie zapomniano o potrzebach duchowych. Nowo przybyli wybudowali Nowe Miasto z Nowym Rynkiem w jego centrum. W południowej zaś jego części, u wylotu traktu piotrkowskiego wzniesiono nie tylko klasycystyczny ratusz, ale także równie klasycystyczny zbór luteranski Świętej Trójcy.

Łódzcy ewangelicy augsburscy najwcześniej uświadomili sobie potrzebny kulturalne, a zwłaszcza oświatowe. To właśnie koloniści protestancy pierwsi zorgani-

zowali nauczanie dzieci na szczeblu podstawowym. Już w 1834 roku posiadali własną szkołę ewangelicką (do której uczęszczały również dzieci polskie), a także kilka szkół zawodowych. W następnym dziesięcioleciu przenieśli z Warszawy do Łodzi Szkołę Realną Niemiecko-Rosyjską, mającą charakter szkoły średniej. Po powstaniu styczniowym planowali również utworzenie Instytutu Politechnicznego. Jednakże nieustępliwość władz carskich stanęła na przeszkodzie w zrealizowaniu tych planów. Oni też wydawali własne czasopisma, pierwsze w Łodzi i to nawet w języku polskim. Jak silny był wówczas łódzki ośrodek luterński świadczy fakt przeniesienia z Warszawy w 1911 roku seminarium ewangelickiego, w którym kształcono nauczycieli, kantorów i organistów.

Na polu oświatowym, społecznym i charytatywnym niezwykłą aktywnością wykazywały się wspólnoty parafialne. Z tych właśnie środowisk wyszły inicjatywy budowania szpitali, przytułków i domów dla sierot. Przy parafiach istniały znakomicie prowadzone chóry i orkiestry dęte. O ich rozwoju liczebnym i znaczeniu w lokalnej społeczności świadczy fakt wybudowania w 1884 roku drugiej świątyni, neoromańskiej św. Jana, a w trzydzieści lat później neoromańskiego zboru św. Mateusza. Ewangelicy byli również inicjatorami założenia łódzkich klubów sportowych, straży pożarnej i chrześcijańskich związków zawodowych.

Druga i trzecia generacja Niemców łódzkich, albo rodzimych luteran, identyfikowała się z kulturą polską oraz solidaryzowała się z dążeniami niepodległościowymi Polaków.

Połowa czwartej dekady XX stulecia to w historii Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego działającego na ziemiach polskich okres ostrej walki o zachowanie swej niezależności i stawianie barier przed infiltracją narodowego socjalizmu. Najlepiej zorganizowany i najsilniejszy ze wszystkich wspólnot protestanckich działających w Polsce stanowił trzon ewangelicyzmu polskiego.

Konsystorz warszawski był polski i stał na gruncie polskiej racji stanu, a jego generalny superintendent, biskup Juliusz Bursche, był lojalnym obywatelem państwa polskiego. Niemniej tu właśnie zaznaczyły się trudności narodowościowe, co starały się wykorzystać władze berlińskie. Starano się uaktywnić, a następnie wzmocnić opozycję wobec bp. Bursche, sugerowano rozdział narodowościowy wewnątrz samego Kościoła, zarzucono polskim luteranom majoryzowanie niemieckiej części wiernych, inspirowano niewybredne ataki prasowe na osobę generalnego superintendenta. Ten ostatni jednakże zebrał wokół siebie spore grono współpracowników ostro przeciwstawiających się wszystkim tendencjom proniemieckim. Do grona tego należeli także duchowni kaliskiej, piotrkowskiej i łódzkiej wspólnoty.

Na terenie Łodzi społeczność luterńska była już zasymilowana i w dużym stopniu spolszczona. Wszak większość lokalnego patrycjatu tworzyli właśnie ci spolonizowani przybysze, spośród których rekrutowały się osoby zajmujące poważne stanowiska w życiu społecznym, gospodarczym i kulturalnym lokalnego społeczeństwa. Oni również poprawnie ułożyli swe stosunki z lokalnymi władzami państwowymi i samorządowymi. Nie odnotowano większych nieporozumień między ewangelikami - Niemcami, a ewangelikami - Polakami, jak

również między ewangelikami - Niemcami a władzami polskimi. Co więcej postawa miejscowych pastorów skutecznie niwelowała jakiegokolwiek nieporozumienia na tle narodowościowym. Nie korzystano z zagranicznej pomocy finansowej, jak również nie sprowadzano duchownych z Niemiec.

Życie religijne, praca i działalność łódzkich zborów nie odbiegała zbytnio od podobnych w Polsce centralnej. Poza nabożeństwami organizowanymi w miejscowych świątyniach, wychodzono na zewnątrz z posługami i czynnościami religijnymi. W szkołach podstawowych i średnich pastory prowadzili naukę religii, zwłaszcza naukę przedkonfirmacyjną. Roztaczali także opiekę nad młodzieżą już konfirmowaną. Organizowali dla niej stowarzyszenia i związki młodzieży ewangelickiej.

Według przybliżonych danych statystycznych we wrześniu 1939 roku Łódź (wraz z osadami podmiejskimi, włączonymi w późniejszym czasie przez okupanta niemieckiego w granice miasta) zamieszkiwało 660.000 osób. W tej liczbie znajdowało się blisko 60.000 wszystkich protestantów.

Podobnie jak w Kościele rzymskokatolickim, także w Kościołach protestanckich wystąpił rozdział narodowościowy wprowadzony przez okupacyjne władze hitlerowskie. Choć oczywiście przez całą okupację wszystkie świątynie luterzańskie w Łodzi były dostępne dla wiernych. W 1940 roku kiedy zakazano używania języka polskiego, część luteran przeniosła się do zboru ewangelicko - reformowanego, gdzie liturgię sprawowano w języku czeskim.

Choć sytuacja protestantów łódzkich była znacznie lepsza niż katolików, niemniej i tu stosowano środki przymusu administracyjnego, występowały trudności z obsadzeniem stanowisk duszpasterskich, odbierano domy modlitwy a samo duszpasterstwo było niewystarczające. Duchowni protestanci, zwłaszcza ci spośród luteran, którzy w sposób jednoznaczny deklarowali swą dezaprobatę dla systemu nazistowskiego byli natychmiast aresztowani, osadzeni w więzieniach lub obozach koncentracyjnych, gdzie kilku spośród nich poniosło śmierć.

Powojenne dzieje luteranizmu łódzkiego mieszcza się w ramach specyficznych stosunków wyznaniowych panujących w państwie socjalistycznym. Konstytucyjna zasada wolności sumienia i wyznania istniała jedynie na papierze, zaś rzeczywistość PRL-owska wykazywała daleko idącą ingerencję władz państwowych w funkcjonowanie poszczególnych Kościołów i związków wyznaniowych. Biurokratyczne naciski administracji państwowej wpływały na kształt stosunków zewnętrznych i wewnętrznych poszczególnych wspólnot. Zwłaszcza tych, w których elementy wyznaniowe łączyły się z narodowymi.

Jesienią 1944 roku rozpoczęły się masowe ucieczki łódzkich Niemców, w tym wypadku przede wszystkim luteran. Trwały one nieprzerwanie do stycznia 1945 roku, a ich konsekwencją było poważne zmniejszenie się liczby członków Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego istniejącego od blisko półtora wiecza w Łodzi. Stan ten jeszcze bardziej pogłębił się w latach następnych, bowiem władze polskie sukcesywnie przeprowadzały przymusowe wysiedlenia ludności pochodzenia niemieckiego. Kilkadziesiąt tysięcy osób zmuszono do opuszczenia Łodzi, a ich nieruchomości upaństwowiono lub przekazano innym wyznaniom chrześcijańskim.

Dziś jedna tylko parafia łódzkich luteran, proboszcz, kilku wikariuszy, rada parafialna i około 1000 wiernych nie nadaje już swoistego piętna całemu miastu. Wierni organizują spotkania biblijne, działają w Polskim Towarzystwie Ewangelickim, pracują w Kołach Seniorów i Pań. Specjalna Komisja Charytatywna udziela pomocy wszystkim potrzebującym, co uwidoczniło się w sposób wyjątkowy w latach stanu wojennego. Przy kościele św. Mateusza istnieje apteka leków pochodzących z darów, w której zaopatrują się nie tylko luteranie.

KOŚCIÓŁ EWANGELICKO-REFORMOWANY

Polski rodowód Kościoła Ewangelicko-Reformowanego - sięgający jeszcze XVI wieku - absolutnie nie był na rękę zaborcy carskiemu. Kalwiniści, rekrutujący się przeważnie z polskich rodzin szlacheckich, byli - jak to eufemistycznie określano - *patriotami polskimi i wrogami Rosji* (...). Zwolennicy nauki Mistrza z Genewy pojawili się w Łodzi dość późno, a ich wspólnota była nieliczna. Początkowo wszystkich kalwinistów łódzkich było zaledwie 500. Pierwszym administratorem filiału łódzkiego (powstałego w 1888 roku, do rangi zboru podniesionego w 1904 roku) został niezwykle aktywny duszpasterz, pastor Władysław Semadeni. W lokalu parafialnym odprawiano 12 nabożeństw w roku (11 w języku polskim i jedno po niemiecku). Problemów narodowościowych w łonie zboru nie było - od samego początku był jednoznacznie propolsko nastawiony.

Wspólnota łódzkich kalwinistów przynależna była do jednoty warszawskiej Kościoła Ewangelicko-Reformowanego. W dalszym ciągu nieliczna, skutecznie odpowiadała na aktualne potrzeby lokalnej społeczności. Kryzys ekonomiczny lat 30-tych obecnego wieku spowodował całkowite otwarcie się łódzkich „uczniów Mistrza z Genewy” na potrzeby drugiego człowieka. Na cele charytatywne przeznaczano znaczne fundusze, zubażając inne dziedziny życia parafialnego. Istniejącą od 1905 roku szkołę kantorską zamknięto tylko dlatego, że należało rozpocząć akcję dożywiania dzieci. Towarzystwo Kulturalne i biblioteka zaprzestały swej działalności, zrezygnowano z miejscowego kantora, a nawet wstrzymano prace budowlane przy wznoszeniu nowej świątyni, bowiem wszystkie fundusze przeznaczano na wspomaganie potrzebujących.

Według przybliżonych danych statystycznych we wrześniu 1939 roku Łódź zamieszkiwało około 1.000 kalwinistów. Początkowo działali bez większych przeszkód. A kiedy 1940 roku zakazano używania języka polskiego i część luteran przeniosło się do zboru reformowanego, rozporządzenie władz okupacyjnych zinterpretowano swoiście, wprowadzając do nabożeństw język czeski.

Propagowanie tradycyjnie polskich wartości i idei narodowych stanowiło charakterystyczny rys działań apostołskich kalwinistów. Nie akceptowanie narzuconego z zewnątrz systemu politycznego było natomiast charakterystyczną cechą tej wspólnoty wyznaniowej. Oczywiście administracja państwowa skutecznie przeciwstawiała się tym tendencjom, nie zawsze jednak mogła w sposób zdecydowany przeciwdziałać niektórym

rym akcjom publicznym kalwinistów polskich. Oni to w 1982 roku, jako jedyny Kościół skupiony w Polskiej Radzie Ekumenicznej nie zaakceptował wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. A trzeba pamiętać, że Kościół Ewangelicko-Reformowany był stosunkowo nieliczny. Łódzka wspólnota grupująca zaledwie 150 wiernych, z jednym pastorem po 1982 roku koordynowała ogromną akcję charytatywną obejmującą swym zasięgiem wiele szpitali łódzkich. W miejscowym zborze - wzorem Kościoła katolickiego - odprawiano przez wiele lat nabożeństwa w intencji Ojczyzny. Obecnie łódzka parafia ewangelicko-reformowana liczy ponad 100 wiernych. Skupiona jest wokół zboru przy ul. Radwańskiej 37.

POLSKI KOŚCIÓŁ CHRZEŚCIJAN BAPTYSTÓW

Od końca lat 60-tych XIX stulecia funkcjonował w Łodzi „zбір wierzących i ochrzczonych świadomie”. Baptyści, rekrutujący się przede wszystkim z potomków niemieckich emigrantów, kładli nacisk bardziej na duszpasterskie niż narodowe oddziaływanie. Grupa łódzkich baptystów, obejmująca przede wszystkim niższe i średnie warstwy miejscowego społeczeństwa, rozrastała się w sposób niebywale szybki. W 1869 roku liczyła ona 71, a w roku następnym już ponad 100 osób. Ich akcja misyjna bazowała wyłącznie na grupie ewangelików łódzkich. Bliska doktryna teologiczna, podobne praktyki religijne, analogiczne motywy działania ewangelicznego. Początkowo więc nie traktowano ich jako „nowinkarzy”, ale nawet cieszyli się przychylnością miejscowego pastora luterńskiego.

Działalność baptystów była wielopłaszczyznowa, choć wyjątkowy nacisk położony był na akcję misyjną i charytatywną. Pracę duszpasterską prowadzono w czterech zborach istniejących od początku stulecia na terenie miasta. Istnienie dwóch seminariów baptystycznych, wydawnictwa „Kompas” i nowoczesnej drukarni (obecnie Drukarnia Wojskowa) pozwoliło stworzyć w Łodzi potężne centrum pracy misyjnej baptystów polskich. Z kolei w szpitalu „Betlejem” (lecznicy chirurgicznej i położniczo-ginekologicznej przy ul. Podleśnej 15), jednym z najlepiej wyposażonych szpitali specjalistycznych, realizowali nakazy miłości i braterstwa wypływające z Ewangelii Chrystusowej.

We wrześniu 1939 roku w Łodzi zamieszkiwało kilkuset baptystów. Choć sytuacja protestantów łódzkich była znacznie lepsza niż katolików, niemniej wobec nich okupant hitlerowski stosował środki przymusu administracyjnego, występowały trudności z obsadzeniem stanowisk duszpasterskich, odbierano im domy modlitwy a samo duszpasterstwo było niewystarczające. Władza nazistowska na ogół tolerowała baptystów, ale roztoczyła nad nimi ścisłą kontrolę, a działalność znacznie ograniczyła administracyjnymi zarządzeniami. Ich świątynie były przez cały czas okupacji otwarte.

Dzisiejszy Kościół Chrześcijan Baptystów w Łodzi, przewyciężywszy wewnętrzne podziały, grupuje obecnie ponad 100 osób dorosłych. W dwu zborach prowadzona jest bezpośrednia praca misyjna, urządzane są studia biblijne, wiara pogłębianą jest na lekcjach

religii organizowanych dla dzieci i młodzieży, niesiona jest pomoc ludziom biednym.

Mimo ogromnej presji zewnętrznej, łódzcy baptyści pracują z „dziećmi ulicy” - wyświetlają dla nich filmy biblijne, udzielają korepetycji z różnych przedmiotów. Opieką duszpasterską roztoczono nad więźniami w Zakładzie Karnym przy ul. Kraszewskiego I (także z oddziału AIDS). Osoby tam przetrzymywane, mogą uczestniczyć w wykładach z Pisma św., otrzymywać publikacje o treści religijnej i podstawową pomoc materialną.

KOŚCIÓŁ ADWENTYSTÓW DNIA SIÓDMEGO

Łódzki ruch adwentystyczny zaczął się rozwijać na bazie rodzimego środowiska baptystów. W początkach października 1893 roku do Łodzi przybyła z Wołynia pierwsza grupa adwentystów. Śpiew, modlitwa, głoszenie bliskiego powrotu Jezusa Chrystusa, a zwłaszcza święcenie soboty zwróciły uwagę łodzian, przede wszystkim pochodzenia niemieckiego. Ale dopiero w 1896 roku założono pierwszy zbor, w którym organizowano publiczne odczyty ewangelizacyjne i lekcje biblijne. Efektem tych działań był stopniowy wzrost liczby członków zboru. W 1905 roku liczył on 24 dorosłych ochrzczonych (nie licząc dzieci i sympatyków nowego ruchu ewangelizacyjnego). Po pokonaniu pewnych perturbacji związanych z wydarzeniami rewolucyjnymi, mającymi miejsce w naszym mieście w latach 1905-1907, społeczność adwentystyczna nie tylko utrzymała swą jedność, ale nawet powiększyła swój stan osobowy. W chwili wybuchu I wojny światowej łódzki zbor liczył 60 osób.

W dwudziestoleciu międzywojennym adwentyści bez większych przeszkód prowadzili swą pracę apostolską. W latach 1923-1926 łódzka wspólnota adwentystyczna posiadała pierwszego w Polsce zarejestrowanego duchownego adwentystycznego. Tak jak przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości adwentyści łódzcy rekrutowali się przede wszystkim ze środowiska protestanckich Niemców. Jednakże kwestia narodowościowa w tym środowisku nie odgrywała większej roli.

W czasie okupacji hitlerowskiej zagadnienie rozdziału narodowościowego zupełnie nieoczekiwanie pojawił się w łonie łódzkich adwentystów. Zakazano im posługiwania się językiem polskim, jak również duszpasterzowania pastorom pochodzenia niemieckiego wśród wiernych narodowości polskiej. W tych okolicznościach szukano nietypowych rozwiązań, aby z jednej strony przestrzegać przepisów władz nazistowskich, a z drugiej nie rozbijać jedności zboru. Tak więc w jednym pomieszczeniu siedzieli wierni pochodzenia niemieckiego i polskiego, ale przedzieleni kotarą.

Adwentystów administracja hitlerowska na ogół tolerowała, ale roztoczono nad nimi ścisłą kontrolę, a działalność znacznie ograniczono administracyjnymi zarządzeniami.

W 1946 roku adwentyści polscy uznani zostali przez władze Polski powojennej za publicznoprawny związek religijny. W historii łódzkiego zboru rozpoczął się zupełnie nowy rozdział. Przede wszystkim jego skład narodowościowy stał się jednoznacznie polski. Ponadto społeczność adwentystyczna coraz częściej widoczna była

na płaszczyźnie społecznej - zwłaszcza na polu walki z alkoholizmem, nikotynizmem i narkomanią.

Działalność adwentystów w Łodzi zawsze była spokojna. W konsekwencji tak prowadzonej pracy misyjnej kilku żarliwych pastorów stopniowo wzrastała liczba wiernych, tak że w 1985 roku łódzki zbor liczył 186 wyznawców. Praca apostolska koncentrowała się wokół zboru przy ul. Kopcińskiego 67. W momencie wzrostu liczebności wspólnoty zaistniała konieczność podziału jej na mniejsze grupy, nie przekraczające 80-100 wyznawców. I tak w 1987 roku wyodrębniono i usamodzielniono grupę w Zgierzu, która liczyła 9 osób. Na początku ostatniej dekady obecnego stulecia nastąpił wyraźny wzrost liczebności wspólnoty adwentystycznej. W efekcie czego na przełomie 1991 i 1992 roku utworzono dwa nowe zbory. W połowie lat 90-tych na terenie Łodzi wszystkich adwentystów jest około 300 osób. Średnia wieku wyraźnie wskazuje na tendencję „odmładzania się” zboru.

KOŚCIÓŁ EWANGELICZNYCH CHRZEŚCIJAN DNIA SOBOTNIEGO

W pierwszych latach czwartej dekady XIX stulecia w łonie adwentyzmu polskiego doszło do rozłamu na tle nieścisłości życia wiernych z zasadami zawartymi w Piśmie św. W jego efekcie powstał Kościół Ewangelicznych Chrześcijan Dnia Sobotniego. Autonomiczny zbor zorganizowano także w Łodzi. Liczył on kilkanaście rodzin, a nabożeństwa odbywały się w domach prywatnych.

W czasie II wojny światowej hitlerowskie władze okupacyjne dokonały podziału narodowościowego Kościoła. Środkami administracyjnymi zmuszono jego członków do zaprzestania pracy apostolskiej. W efekcie tych działań zbor łódzki uległ likwidacji. Działalność zboru łódzkiego - reaktywowanego po 1945 roku - skierowana była przede wszystkim na głoszenie prawd biblijnych. W razie potrzeby prowadzono opiekę duchową, jak i spieszono z pomocą materialną dla osób jej potrzebujących. Ostatnio rozpoczęto ewangelizację w zakładach karnych. W latach 80-tych XX wieku zbor liczył około 20 wiernych. Jednakże naturalne zgony, apostazje, wyjazdy poza granice miasta spowodowały, że liczy on obecnie jedynie kilka osób.

BADACZE PISMA ŚWIĘTEGO

W 1913 roku na Chojnach zawiązała się pierwsza grupa osób zainteresowanych badaniem Pisma św. Działała ona w oparciu o reskrypt generał-gubematora warszawskiego. Podczas wojny światowej wspólnota ta uległa rozproszeniu. Jednakże na tej bazie w 1919 roku stworzono w Łodzi silny ośrodek Badaczy Pisma Świętego - ruchu religijnego nawiązującego do antytrynitaryzmu chrześcijańskiego. W wynajętych salach kinowych, teatralnych oraz w Filharmonii Łódzkiej organizowano odczyty na temat Biblii. W latach 1921-1923 wykłady publiczne prezentowano w teatrze „Skala” przy ul. Cegielnianej 18 (obecnie Więckowskiego 15).

W 1923 roku powstał w mieście samodzielny zbor, który w dwa lata później dysponował stałą salą zebrania na zapleczu posesji przy ul. Piotrkowskiej 108. Tu też, w 1930 roku, przeniesiono z Warszawy biuro koordynujące działalność ewangelizacyjną Badaczy Pisma Świę-

tego w skali całej Polski. Działalność charytatywna, jaką prowadzili wśród biednych i bezrobotnych łodzian, spowodowała poważny wzrost liczebności miejscowego zboru, mieszczącego się przy ul. Wólczańskiej 129. W nim odbywały się wykłady i wspólne studia biblijne prowadzone w języku polskim i niemieckim.

Z kolei rozłam, jaki nastąpił w łonie tego ruchu w 1924 roku, spowodował powstanie w Łodzi centrum Zjednoczenia Badaczy Pisma Świętego. Od 1932 roku mieściło się ono w budynku przy ul. Rzgowskiej 24. Tu też istniała redakcja wydawnictwa „Straż”, które posiadało własną drukarnię. W ramach restrykcji administracyjnych 22 maja 1938 roku zakazano działalności członkom wspólnoty akcji apostolskiej a pomieszczenia Biura Krajowego zostały opieczetowane.

W 1931 roku z tego ruchu wyłonił się Świecki Ruch Misyjny „Epifania” oraz Zrzeszenie Świadców Jehowy.

W trakcie II wojny światowej okupant hitlerowski zastosował wobec Badaczy Pisma Świętego natychmiastowe i radykalne środki eksterminacyjne. Członków zboru aresztowano, osadzano w więzieniach lub obozach koncentracyjnych.

Po zakończeniu wojny ruch Badaczy Pisma Świętego, w sensie ścisłym, nie został reaktywowany. Natomiast jego tradycje kontynuują w sposób bezpośredni Świadcowie Jehowy.

„STRAŻNICA” - TOWARZYSTWO BIBLIJNE I TRAKTATOWE ZWIĄZEK ŚWIADKÓW JEHOWY

Natychmiast po zakończeniu działań wojennych, w 1945 roku rozpoczęło publiczną działalność Zrzeszenie Świadców Jehowy. Funkcjonowało ono w dawnym Biurze Krajowym Badaczy Pisma Świętego przy ul. Rzgowskiej 24. Ponieważ liczba członków stale się powiększała powstały aż cztery zbory liczące około 100 aktywnych Świadców.

W 1950 roku polskie władze państwowe gwałtownie wystąpiły przeciwko Świadców Jehowy, oskarżając ich o szpiegostwo na rzecz USA. Pierwsze aresztowania nastąpiły 21 kwietnia, ale dopiero akcja przeprowadzona 2 czerwca spowodowała zatrzymanie kilkudziesięciu osób. W miesiąc później oficjalnie ogłoszono zakaz działalności tego związku wyznaniowego. Po 1956 roku wypuszczono na wolność wszystkich zatrzymanych, ale nie przeprowadzono relegalizacji.

W latach osiemdziesiątych organa państwowe tolerowały ich działalność. Z chwilą legalizacji (jaką przeprowadzono 12 maja 1989 roku) „Strażnica” - Towarzystwo Biblijne i Traktatowe - Związek Wyznania Świadców Jehowy stał się najbardziej dynamiczną i rozwijającą społecznością wśród mniejszości religijnych. Obecnie na terenie Łodzi działa 40 zborów, a kilkanaście tysięcy członków spotyka się w kilkunastu własnych obiektach zwanych „Salami Królestwa”.

ŚWIECKI RUCH MISYJNY „EPIFANIA”

Celem Świeckiego Ruchu Misyjnego „Epifania” jest nauczanie ewangelii, zachęcanie do wzrostu na podobieństwo Chrystusowe, rozpowszechnianie wiedzy biblijnej oraz pobudzanie do większego zainteresowania indywidualnym i grupowym studiowaniem Biblii. Organizuje więc regularne wykłady z Pisma św., wspólne

studiowanie różnorodnych tematów biblijnych w oparciu o literaturę paruzijną i epifaniczną. Rozpowszechnia czasopismo „Sztandar Biblijny i Zwiastun Chrystusowego Królestwa”. Zbor łódzki liczy około 200 członków.

KOŚCIÓŁ WOLNYCH CHRZEŚCIJAN

Wierni Kościoła Wolnych Chrześcijan pochodzą z różnych kręgów społecznych. Większość z nich uprzednio funkcjonowała w ramach Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego. Od połowy lat 80-tych posiadają w Łodzi jeden zbor. Wokół niego grupuje się obecnie 8 osób, wraz z rodzinami. Prowadzą ewangelizację w różnych kręgach, organizują spotkania biblijne, rozpowszechniają Pismo św. i własne czasopismo „Słowo Boże ma Moc”.

POLSKI AUTOKEFALICZNY KOŚCIÓŁ PRAWOSŁAWNY

Pierwsze pojedyncze rodziny prawosławnych pojawiły się w Łodzi na początku lat 50-tych XIX wieku. Okres międzypowstaniowej stabilizacji, a później „odwilży pokrymskiej” oraz iluzorycznej liberalizacji życia społeczno-politycznego pierwszych lat panowania cara Aleksandra II sprzyjały kontaktom Łodzi z Cesarstwem Rosyjskim. Zwłaszcza kontaktom handlowym. Stąd też przedstawiciele łódzkiego przemysłu coraz częściej udawali się do Rosji. Stamtąd przedsiębiorcze osoby przybywały do miasta nad Łódką.

Dopiero po upadku powstania styczniowego wpływ Rosjan - prawosławnych stał się większy. Była to konsekwencja antypolskiej i rusyfikacyjnej polityki Petersburga wobec społeczeństwa Królestwa Polskiego i represyjnego postępowania aparatu carskiego wobec ludności polskiej. Wszystkie stanowiska administracyjne stopniowo przejmowali Rosjanie. Miasto stało się garnizonem wojskowym, w którym stacjonował 37. jekarynburski pułk piechoty, 10. brygada artylerii i 6. sotnia 5. dońskiego pułku kozaków. Ściągnięto tu również z Rosji aparat policyjny. Początkowo prawosławni mieszkańcy Łodzi korzystali z opieki duszpasterskiej duchownych wojskowych. Zbierali się w cerkwi zorganizowanej w prywatnym mieszkaniu przy ul. Nawrot. Uczestniczono również w nabożeństwach odprawianych w cerkwi w Piotrkowie Trybunalskim. Niezależną parafię łódzką utworzono w 1884 roku przy cerkwi św. Aleksandra Newskiego.

Na przełomie XIX i XX wieku liczba Rosjan jeszcze bardziej wzrosła. Wówczas to otwarto dwuklasową szkołę parafialną i dwa gimnazja, w których nauce religii prowadził miejscowy duszpasterz. Zorganizowano także przytułek dla prawosławnych sierot, wzniesiono dwa budynki parafialne oraz dwie kolejne cerkwie: św. Aleksego i św. Olgi.

Kolejna fala Rosjan pojawiła się w Łodzi w związku z prowadzeniem prac przy budowie linii kolejowej warszawsko-kaliskiej. Wszystko to spowodowało, że w latach 1905-1906 liczba prawosławnych przekroczyła 10.000 osób. Ale był to szczyt liczebny łódzkich prawosławnych.

Niepowodzenia militarne w 1914 roku i ewakuacja z Łodzi carskiej administracji, policji i wojska, spowodowało poważne zmniejszenie liczby prawosławnych mieszkających w Łodzi. Po zakończeniu Wielkiej Woj-

ny i powstaniu Polski niepodległej było ich zaledwie 1.500 osób. Co prawda po rosyjskich wydarzeniach rewolucyjnych 1917 roku przybyła jeszcze do Łodzi grupa emigrantów rosyjskich, ale już nigdy prawosławni nie stanowili istotnej grupy w strukturze wyznaniowej i narodowościowej naszego miasta.

Według przybliżonych danych statystycznych we wrześniu 1939 roku Łódź (wraz z osadami podmiejskimi, włączonymi w późniejszym czasie przez okupanta niemieckiego w granice miasta) zamieszkiwało 660.000 osób. W tej liczbie znajdowało się około 1.000 prawosławnych.

W Łodzi nadal zamieszkują prawosławni skupieni wokół cerkwi św. Aleksandra, św. Olgi i Zaśnięcia Najświętszej Panny Maryi. Jest to jednak nieliczna grupa wiernych (licząca około 300 osób), widoczna jedynie podczas corocznych spotkań ekumenicznych. Na mocy uchwały Świętego Soboru Biskupów Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego z 5 września 1951 roku cerkiew św. Aleksandra w Łodzi stała się świątynią biskupa prawosławnej diecezji łódzko-poznańskiej. Jej aktualny ordynariusz 8 czerwca 1993 roku podniesiony został do godności arcybiskupa.

GMINA WYZNANIOWA ŻYDOWSKA

Przez długie wieki Żydzi tylko przelotnie nawiedzali Łódź. Systematycznie zaczęli się w niej osiedlać dopiero po drugim rozbiórce Polski, kiedy znalazła się ona w granicach zaboru pruskiego. Warunki stworzone przez administrację Fryderyka Wilhelma II jednoznacznie zaczęły sprzyjać stałej migracji do miasta nad Łódką. Ale dopiero lata wielkiego *boomu* ekonomicznego trzeciej dekady XIX wieku spowodowały masowy napływ Żydów do nowo powstającego ośrodka przemysłowego.

Do 2. połowy XIX wieku społeczność żydowska, nie nadawała tonu miastu. Trzymała się ona swych wiekowych zwyczajów podporządkowanych w całości prawu moźeszowemu. Wyróżniała się nie tylko tradycyjnym strojem i odmiennym językiem - ale również sama izolowała się od reszty miejscowego społeczeństwa. Utworzony w 1825 roku, w południowej części Starego Miasta, rewir żydowski był podwójnie izolowany. Przez długie lata skutecznie przeciwstawiano się jakimkolwiek je próbom asymilatorskim. Także katolicko-protestanccy łodzianie stawiali skuteczne bariery wychodzącym poza wspomniany rewir Żydom.

Łódzka gmina żydowska od drugiej dekady XIX wieku posiadała zawsze swoich własnych rabbinów. To właśnie oni inspirowali życie umysłowe lokalnej społeczności, która zorganizowała sieć kilkudziesięciu szkół podstawowych i zawodowych, wykazywała znaczną aktywność także na polu charytatywnym i filantropijnym. Bez wątpienia miejscowi Żydzi nie opanowali wielkiego przemysłu, ale na pewno zdominowali drobny handel, przemysł i bankowość. Co więcej, większość niewykwalfikowanej siły roboczej wielkich zakładów przemysłowych, obok Polaków, stanowiła ludność żydowska, która przybyła do Łodzi zwabiona mirażem „ziemi obiecanej”. Z kolei łódzka inteligencja, nie mająca zbyt dużego wpływu na sprawy miejskie, przez długie lata była przeważnie obca. Początkowo niemiecka, a dopiero w 2. połowie XIX wieku polska i żydowska. Ta

ostatnia w końcu XIX stulecia zaczęła dominować w lokalnej społeczności. Żydzi stopniowo ale nieustannie zajmowali pierwsze miejsca wśród miejscowych adwokatów, lekarzy, a zwłaszcza twórców i ludzi kultury. Bez wątpienia Łódź nie była miejscem, gdzie talenty artystyczne mogły się w sposób autentyczny rozwijać. Dlatego też z miasta nad Łódką wyruszyli na podbój świata muzycy, plastycy, literaci.

Zniszczenia po I wojnie światowej, trudności w odbudowie niepodległego państwa polskiego, a zwłaszcza krach ekonomiczny w sposób znaczny spauperyzował społeczność żydowską. W mieście przestali być liczącą się siłą ekonomiczną, a partie jakie tworzyli stanowiły zaledwie margines życia politycznego Łodzi. Pozostała im kultura i nauka, w których to dziedzinach niekiedy zdołali odcisnąć swe wyjątkowe piętno.

Znamienna była atmosfera pozwalająca łódzkiemu Żydom działać na płaszczyźnie publicznej. Co prawda, ani w XIX wieku, ani w następnym stuleciu nie wykształcili w Łodzi żydowskiej myśli teologicznej, to jednak byli widocznymi na niwie społeczno-politycznej. W okresie międzywojennym trzon łódzkiego środowiska artystycznego tworzyli przede wszystkim twórcy pochodzenia żydowskiego. Najślawniejsza była grupa „Jung Idysz” skupiająca światowej stawy artystów i literatów. Polskie i żydowskie środowiska twórcze integrowało ugrupowanie artystyczne „Srebrny Wóz” i Stowarzyszenie Miłośników Sztuki „Start”, które stało się zalążkiem przyszłych związków zawodowych artystów. Stowarzyszenie Literacko-Muzyczne „Harfa” prowadziło bibliotekę im. Grossera. W oparciu o żydowskie organizacje społeczno-polityczne działały wypożyczalnie książek, a dwie duże biblioteki z pozycjami w języku jidysz utworzyło Towarzystwo Krzewienia Oświaty. Język jidysz propagował także teatr miniatur „Ararat” oraz Towarzystwo Literackie i Muzyczne „Hazomir”. To ostatnie utrzymywało bibliotekę, prowadziło kółko dramatyczne i chór muzyczny.

Żydzi łódzcy wydawali swe własne czasopisma (w tym kilka dzienników: „Najer Folksbałt”, „Łodzer Togblat” i „Folkscajtung”), rozwinięli własne szkolnictwo podstawowe i zawodowe, zorganizowali towarzystwa i kluby sportowe. Uaktywnili się ponadto na polu politycznym Łodzi. Tu funkcjonował socjalistyczny „Bund” i Poalej Syjon. Reprezentanci tych ugrupowań politycznych zasiadali w radzie miejskiej oraz reprezentowali miejscową społeczność w Sejmie II Rzeczypospolitej Polskiej.

Według przybliżonych danych statystycznych we wrześniu 1939 roku Łódź (wraz z osadami podmiejskimi, włączonymi w późniejszym czasie przez okupanta niemieckiego w granice miasta) zamieszkiwało 200.000 Żydów.

Konsekwencją tzw. ujednolicenia życia okupacyjnych władz hitlerowskich w Kraju Warty i podporządkowanie go celom narodowosocjalistycznym było całkowite wyeliminowanie wszelkich sił politycznych i ideowych nie związanych z nazizmem. Szczególnie brutalne środki likwidacyjne zastosowano zwłaszcza wobec Żydów. Prześladowanie miejscowej ludności żydowskiej w sposób szczególny daje się zaobserwować już w pierwszych dniach okupacji Łodzi. Codziennie odbywały się łapanki Żydów do prac publicznych i fizyczne znę-

canie się nad schwytanymi. Nadto bezustannie wyrzucano ich z mieszkań, przeprowadzano bezprawne konfiskaty i organizowano masowe grabieje mienia żydowskiego.

W listopadzie 1939 roku zniszczono wszystkie synagogi łódzkie. Następnymi etapami bezwzględnej segregacji rasowej był nakaz oznakowania zakładów należących do Żydów, zakaz wykonywania niektórych zawodów oraz obowiązek noszenia opasek, a później żółtej gwiazdy Dawida. Oznakowano ludzi by następnie zamknąć ich za drutami kolczastymi specjalnej dzielnicy. Decyzję o całkowitej izolacji ludności żydowskiej od reszty społeczeństwa całego obszaru Polski zachodniej włączonej do III Rzeszy podjęto 10 grudnia 1939 roku, lecz oficjalnie ją ogłoszono dopiero 8 lutego 1940 roku. „Wohngebiet der Juden” utworzono w północnej dzielnicy Łodzi - Bałutach. Na niewielkiej przestrzeni do końca kwietnia 1940 roku odizolowano od świata zewnętrznego ponad 160.000 osób.

Getto łódzkie nie było li tylko miejscem powolnej eksterminacji ludności żydowskiej, lecz stało się dziwnym, ale potężnym obozem pracy. W ponad 100 zakładach produkcyjnych zatrudniano blisko 80.000 osób. Wielu Żydów sądziło, że „jedyną ich drogą jest praca”.

Bezpośrednia eksterminacja Żydów skupionych w getcie łódzkim rozpoczęła się pod koniec 1941 roku. Przystępując do akcji „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” wybudowano specjalny ośrodek zagłady w Chełmnie nad Nerem. Od 7 grudnia zaczęto przyjmować w nim transporty Żydów z getta łódzkiego. Masowe uśmiercanie odbywało się w ruchomych komorach gazowych. Do jesieni 1942 roku zamordowano w ten sposób blisko 200.000 osób, w tym około 85.000 mieszkańców getta łódzkiego. Dalszych 46.000 osób zmarło w samym getcie w wyniku eksterminacyjnych działań nazistów. W sierpniu 1944 roku ostatnią grupę 80.000 Żydów wywieziono do obozów w Oświęcimiu, Stutthofie i Ravensbrück i tam prawie wszystkich zamordowano. Po pięciu latach istnienia getta łódzkiego „problem żydowski” przestał istnieć dla okupanta hitlerowskiego. Holocaust w getcie łódzkim dopełnił się. Nacja ta fizycznie przestała istnieć, zaś w dziejach społeczności łódzkiej rozdział dotyczący Żydów uległ całkowitej zmianie.

Po zakończeniu II wojny światowej Łódź przestała mieć stałą i liczebnie widoczną nację żydowską. Co prawda pod koniec 1945 roku przebywało w niej blisko 40.000 Żydów, to jednak była to nieliczna grupa dawnych łodzian oraz repatriantów przybyłych z terenów polskich zajętych przez ZSRR. Po raz ostatni doszło wówczas do zaktywizowania lokalnej społeczności żydowskiej. Powstawać zaczęły teatry i szkoły, wydawać zaczęto lokalne gazety, rozpoczęła działalność Centralna Żydowska Komisja Historyczna. Jednakże z biegiem lat funkcjonowanie żydowskich organizacji, grup i stowarzyszeń stało się coraz bardziej ograniczone. Z chwilą ugruntowania się władzy komunistycznej w 1949 roku zakazano prowadzenia działalności żydowskim partiom politycznym, w tym także socjalistycznego „Bundu” i kilku organizacjom syjonistycznym. Poważnym ograniczeniem poddano także szeroko pojętą żydowską działalność kulturalną.

Kryzysy polityczne w 1956 i 1968 roku spowodowały masowe emigracje Żydów polskich, w tym także łódzkich. Zwłaszcza rozpęta w 1968 roku kampania antysemicka doprowadziła do ogromnego *exodusu* obywateli polskich narodowości żydowskiej. Obecnie na terenie Łodzi zamieszkuje pewna grupa Żydów (aktywna w ramach Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów i Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej) nie utrzymująca jednak bliższych związków z miejscową Gminą Wyznaniową. Ta natomiast liczy około 100 członków i to w większości osób w podeszłym wieku. Do Gminy należy synagoga, dom modlitwy, stołówka oraz największy w Europie cmentarz żydowski.

MAHOMETANIE

W ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku w Łodzi pojawili się mahometanie. Najprawdopodobniej był to efekt handlowych kontaktów łodzian z mieszkańcami cesarstwa rosyjskiego, którzy wyznawali islam. Około 100 osób na stałe zamieszkiwało w Łodzi. Dwieście dalszych przebywało w mieście okresowo. Byli to przeważnie drobni kupcy i rzemieślnicy. Ale wyznawcami Proroka byli również żołnierze carscy z jednostek stacjonujących w miejscowym garnizonie. Pierwszą salę modlitwy muzułmanie urządzili w Łodzi dopiero wiosną 1914 roku.

INNE ZWIĄZKI WYZNANIOWE

Ostatnie dwie dekady XX wieku i pierwsza XXI stulecia charakteryzują się wyjątkową aktywnością „nowych ruchów religijnych”. Część z nich wywodzi się z chrześcijaństwa, część bazuje na różnych systemach religijnych Dalekiego Wschodu, niektórych nawet nie można zaliczyć do jakiegokolwiek religii.

Najliczniejsze i najaktywniejsze są ruchy pochodzenia judaistyczno-chrześcijańskiego. Charakteryzuje je literalna bądź wybiórcza interpretacja Pisma św., często idąca w parze z eschatologią millenarystyczną. Ideologia tych ruchów przesycona jest entuzjazmem, niekiedy połączonym z nietolerancją wobec innych grup religijnych. W tym kręgu znajdują się ruchy bardzo znane, jak chociażby Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (mormoni).

Wśród młodego pokolenia niezwykle modne są różne typy mistyki orientalnej. Ruchy te (Stowarzyszenie Buddyjskie Zeń „Czogie” w 1997 roku liczyło w Łodzi 15 członków i miało jednego duchownego - Światowy Uniwersytet Duchowy Brahma Kumaris posiada dwie placówki, 30 członków i jednego duchownego - Związek Adżapa-Jogi skupia w Łodzi i województwie łódzkim 66 członków - Kościół Zjednoczeniowy czyli Ruch pod wezwaniem Ducha Świętego dla Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego posiadający w Łodzi dwie placówki - bliżej nie znany Związek Buddyjski „Dak Shang Kagyu” oraz Zachodni Zakon „Sufi”, uznają istnienie istoty absolutnej, ale odrzucają soteriologiczną rolę Chrystusa. Jakąkolwiek religię odrzucają natomiast grupy chcące manipulować siłami nadnaturalnymi. W tym kręgu znajdują się wszystkie formy okultyzmu, magii inicjacyjnej i ceremonialnej, spirytyzmu oraz satanizmu. Wszystkie wymienione tu grupy często mają zupełnie nieformalny charakter i stosunkowo małą liczbę stałych członków.

Horak, Richter i Hoffrichter - Niemcy, Czesi czy Polacy?

Wśród tkaczy - osadników zasiedlających ziemie polskie pod koniec XVIII w. a szczególnie w I poł. XIX stulecia, znaczną grupę stanowili koloniści narodowości czeskiej. Jako poddani króla Prus bądź też cesarza Austrii posługiwali się językiem niemieckim i byli z reguły protestantami. Ludność miejscowa traktowała ich zatem jako „Niemców” tym bardziej, że z reguły nosili mało czeskie nazwiska. Ot choćby takie jak John, Gampe, Richter czy Hoffrichter. Ten ostatni o imieniu Karol pojawił się w Łodzi stosunkowo późno, bo około 1840



(fot. zbiory prywatne)

Staw fabryczny przy ul. Piotrkowskiej 204 z widokiem na willę Eitingonów

roku. Pochodził z tej części Śląska której ludność od wieków uważała się za Czechów, choć językiem urzędowym był tam niemiecki. Rodzina Hoffrichterów była wielodzietna, liczne więc były także ich mariaże i koligacje z rodami łódzkich fabrykantów. Nie zniweczyło to sentymentów do kraju swego pochodzenia choć na łódzkim gruncie czuli się „jak u siebie”. Karol Hoffrichter junior studiował włókiennictwo w Pradze i uruchomił pod koniec XIX wieku w głębi posesji przy ul. Piotrkowskiej 202/206 manufakturę bawełnianą „Carl Hoffrichter-Łódź” której ślady odnaleźć można jeszcze wśród budynków Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w obrębie Manhattanu II. Nie ocalał natomiast ani „domek tkacza” w którym na 11 ręcznych krosnach zaczynał karierę Karol Hoffrichter - senior, ani też staw fabryczny w miejscu którego mieści się dziś Łódzkie Pogotowie. Zachowały się jednak resztki ogrodu zakupione w okresie międzywojennym przez Szpital św. Rodziny (dziś L. Pasteura).

Z końcem XIX wieku zakłady Hoffrichtera przeniosły się na tereny leżące przy ówczesnej ul. Kętnej (dziś Wróblewskiego) dysponując 12 ha terenu pod rozbudowę. W pierwszej dekadzie XX wieku firma miała już pełny cykl produkcyjny (od magazynów surowca poprzez szarpalnię, przedziałnię, tkalnię, draparnię i farbiarnię po magazyny wyrobów gotowych, laboratoria i warsztaty pomocnicze) i była samowystarczalna w zakresie transportu uzyskując w 1908 roku własną bocznicę kolejową.

Hoffrichterowie spolonizowali się do tego stopnia

że przeszli na katolicyzm i sponsorowali budowę kościoła św. Stanisława Kostki (dziś archikatedra) nie wspominając już ich udziału w licznych akcjach i stowarzyszeniach dobroczynnych. Karol Hoffrichter junior, jako jeden z niewielu łódzkich fabrykantów, wsparł po odzyskaniu w 1918 roku przez Polskę niepodległości Skarb Państwa, likwidując swoje zagraniczne konta bankowe. Jego córki - Helena i Irena wyszły za mąż za polskich oficerów, zaś po śmierci ojca w 1933 roku stały się jedynymi jego spadkobiercami. W czasie okupacji hitlerowskiej, kiedy fabryką zarządzał niejaki Kehrlert, nie mogły zostać zatrudnione we własnej fabryce bowiem „Polek do pracy przyjmować nie było wolno”. Uprawiały więc sad i ogród warzywny przylegający do fabrycznych murów i jakoś przeżyły. Ten luksus bycia u siebie i na swoim został im odebrany kiedy w pierwszych latach po wojnie powstały w miejsce firmy państwowe już Zakłady Przemysłu Bawełnianego nr 6 - im S. Kunickiego - późniejszy „Maltex”. Kiedy zorientowano się że zatrudniono tu także byłe właścicielki fabryki, zwolniono je z pracy z zakazem zbliżania się do tych terenów...

Nieco inaczej potoczyły się losy Richterów. Do Łodzi przybyli oni z Czeskiej Lipy stosunkowo wcześnie, bo już w 1825 roku. Osadzili się na terenie pobliskiej wsi Wólka i założyli manufakturę tkacką składającą się początkowo z 8 ręcznych krosien. W latach 80-tych XIX stulecia pracowało już 170 krosien mechanicznych poruszanych trzema maszynami parowymi.

Podobnie jak Hoffrichterowie, Richterowie byli rodziną wielodzietną ale w przeciwieństwie do nich mieli potrzebę błyszczenia wśród łódzkiej burżuazji. Powstały więc kolejne rezydencje: Wólczańska 188 Zygmunta Richtera, Józefa Richtera przy ul. ks. Skorupki 10/12 i - Reinholda Richtera róg ks. Skorupki i Wólczańskiej. Są one ciągle jeszcze ozdobą tej części Łodzi i funkcjonują służąc zarówno Politechnice Łódzkiej jak i Dyrekcji Międzynarodowych Targów Łódzkich. Zachowały się też wspaniałe ogrody przypałacowe w które częściowo w latach 50-tych ub. stulecia wkomponowano Łódzką Halę Sportową. Richterowie należeli też do grona fundatorów kościoła pw. św. Stanisława Kostki i zasiadali w licznych komitetach i zarządach. Byli członkami Rady Banku Handlowego i wspierali budowę szkół przyzakładowych. W czasie I wojny światowej Zyg-



(fot. archiwum)

Reklama firmy z początku XX w.

munt Richter działał w Głównym Komitecie Obywatelskim m. Łodzi, zaś jego bracia byli członkami zarządu Towarzystwa Kolei Elektrycznej Łódzkiej. Richterowie - jak większość łódzkich przemysłowców - dotrwali do wybuchu II wojny światowej. Nie przetrwali już jednak w czasach PRL-u i nawet Leszek Skrzydło oddając do druku drugi tom swoich „Rodów Fabrykanckich” nie był w stanie dotrzeć do potomków tego tak liczego niegdyś i znaczącego łódzkiego rodu.

Na tle Richterów i Hoffrichterów jakże inaczej rysują się dzieje fabryki Adolfa Horaka, wyrosłej przy tzw. szosie pabianickiej na pograniczu Nowego Rokicia i Rudy Pabianickiej. Był on spadkobiercą swojego ojca - Józefa Horaka - gorliwego baptysty i opiekuna gminy tego wyznania zlokalizowanej początkowo na Chojnach, później zaś także w Łodzi przy ul. Nawrot. Jego syn - prezbiter rudzkiego zboru baptystów w swojej fabryce zatrudnił przede wszystkim przedstawicieli tego odłamu protestantyzmu. Wraz z żoną Friedą powołali Ewangelicko-Baptystyczne Towarzystwo Dobroczynności „Wifleem” którego celem było niesienie pomocy chorym i bezdomnym.

W 1929 roku fabryka Horaka przekształciła się w spółkę akcyjną i przyjęła oficjalną nazwę Zakłady Włókiennicze Adolf Horak Sp. Akc. Miała swoją filię w Warszawie, Krakowie i Lwowie. W zatrudnianiu preferowała oprócz baptystów, Niemców zamieszkujących Rudę Pabianicką. Jednak kiedy w 1939 roku w przeddzień nawały hitlerowskiej powołano zbiórkę na Fundusz Obrony Narodowej, w zakładach Horaka zebrano najwięcej pieniędzy. Tak więc także i łódzcy Niemcy

ANDRZEJ GAŁECKI

Kilka słów o Rosjanach w Łodzi

W 1857 roku, czyli nieco ponad ćwierć wieku od narodzin Łodzi przemysłowej, rządowe statystyki odnotowały zaledwie trzech Rosjan, którzy osiedlili się w mieście nad Łódką i Jasieniem. Jak podaje prof. Krzysztof Stefański z Uniwersytetu Łódzkiego, osiedlali się tu także prawosławni Grecy i Słowianie z Bałkanów. Dopiero po upadku Powstania Styczniowego napływ prawosławnych Rosjan stał się większy. Byli to najczęściej urzędnicy carscy, sędziowie, adwokaci, prokuratorzy, kupcy, lekarze oraz wojskowi. Jedynym Rosjaninem, który zdobył znaczącą pozycję w łódzkim przemyśle był Włodzimierz Stolarow. W 1888 r. odkupił on od Henryka Hüffera fabrykę wyrobów bawełnianych przy ul. Rzgowskiej 26/28 i zatrudnił tam blisko 1000 robotników.

Od 1863 r. w Łodzi zaczęła działać parafia prawosławna, z pierwszą - wybudowaną bardzo szybko - cerkwią św. Aleksandra Newskiego, oddaną do użytku wiernych w 1884 r.

W mieście istniał garnizon wojskowy liczący ponad 4 tys. żołnierzy. Stacjonowały tutaj: 37. jekaterynburski pułk piechoty, 10. brygada artylerii i 6. sotnia 5. dońskiego pułku kozackiego. Ściągnięto tu również z Rosji aparat policyjny. W 1896 r. przypadł jubileusz stulecia istnienia 37. jekaterynburskiego pułku, utworzo-



(fot. Izabela Nowakowska)

Współczesny wygląd świątyni baptystów przy ul. Nawrot 46

obawiali się swoich współbraci spod znaku swastyki. W czasie okupacji produkcja przestawiona została na potrzeby Wehrmachtu i zaczęto zatrudniać Polaków. Byli tu traktowani lepiej niż w innych fabrykach. Kiedy do Łodzi wkroczyła Armia Czerwona wraz z Polskim Wojskiem zastała Pałac Horaka przy ul. Pabianickiej 182 wypalony i splądrowany zaś część maszyn i urządzeń zdemontowanych. Po 1945 roku uruchomiono na terenach fabrycznych Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej, późniejsze „Alba”. Dziwnym zarządzeniem losu to właśnie Adolf Horak - mimo słowiańsko brzmiącego nazwiska - uważany był bardziej za Niemca aniżeli Richterowie czy Hoffrichterowie za spolonizowanych Czechów.

nego w 1786 r. na cześć cesarzowej Katarzyny II i noszącego jej imię. Łódzcy przemysłowcy spontanicznie postanowili uczcić tę uroczystość budową murowanej



(fot. archiwum)

Cerkiew garnizonowa św. Aleksego na widokówce sprzed 1914 roku.

cerkwi garnizonowej. Świątyni nadano wezwanie św. Aleksego Metropolity Moskiewskiego, zaś jej poświęcenie odbyło się 27 listopada 1896 r. W tym też roku rozpoczęto trwającą dwa lata budowę szkoły i ochronki dla dzieci z rodzin prawosławnych oraz trzeciej już w mieście cerkwi św. Olgi, znajdującej się przy ul. Piramowicza.

Pod koniec XIX stulecia w Łodzi mieszkało już kilka tysięcy Rosjan - w większości żołnierzy i oficerów garnizonu - przybyłych do Łodzi z głębi Imperium. Warto odnotować, iż sporą grupę wśród nich stanowili muzulmanie.

Można zaryzykować stwierdzenie, że Rosjanie osiedlali się w Łodzi raczej bez entuzjazmu. Na początku XX wieku liczba prawosławnych znacznie wzrosła w związku z kolejną rozbudową carskiego aparatu administracyjnego i policyjnego oraz napływem dużej grupy nauczycieli i pracowników oświaty. Ponadto nowa fala Rosjan pojawiła się w Łodzi także w związku z prowadzeniem prac przy budowie nowej linii kolejowej warszawsko-kaliskiej. W latach 1905-1906 liczba prawosławnych przekroczyła więc 15 000 osób. W Łodzi działały prawosławne ochronki, cztery rosyjskie szkoły elementarne, dwa gimnazja państwowe i szereg rosyjskich średnich i zawodowych szkół prywatnych. W latach 1910-1914 działały trzy rosyjskie wydawnictwa. Ukazywał się także rosyjski tygodnik "Łodzinskij listok".

Spółeczność rosyjska posiadała w Łodzi dwa cmentarze - przy ul. Ogrodowej i na Dołach. Spoczywają na nich urzędnicy, policjanci, oficerowie carscy i członkowie ich rodzin. Na najstarszym, godnym zwiedzenia prawosławnym łódzkim cmentarzu przy ul. Ogrodowej znajduje się wiele zabytkowych nagrobków. Do szczególnie interesujących należą: pomnik porucznika 37. jekaterynuburskiego pułku Wiktora Michajłowicza Kaniszewa, grób 9 rosyjskich żołnierzy 40. koływańskiego pułku piechoty i mauzoleum rodziny Gojżewskich (odrestaurowane wysiłkiem społeczeństwa i władz miasta w 2001 r. za sumę ok. 150 tys. zł). Mauzoleum znajduje się na pograniczu cmentarza prawosławnego i katolickiego. Po stronie prawosławnej grobowiec przypomina bizantyjską świątynię, i kryje szczątki męża, po stronie katolickiej - w skromniej wyglądającym grobie - spoczywa żona.

Największą liczbę prawosławnych obywateli miała Łódź w swojej historii tuż przed I wojną światową, jednak na tle całego zróżnicowania narodowościowego miasta nadal prezentowało się to skromnie. W przededniu wojny Łódź liczyła bowiem (wliczając ówczesne przedmieścia - Chojny i Bałuty) około 670 tys. mieszkańców, z czego 50 % stanowili Polacy, 33% Żydzi, 15% Niemcy, zaś Rosjanie zaledwie 2-3 %.

Łódzcy przemysłowcy byli prawie wyłącznie pochodzenia niemieckiego i żydowskiego. Potrafiliby oni doskonale wykorzystać sprzyjającą im koniunkturę, jak również starali się zawsze podkreślać swoją lojalność wobec cara. Oto kilka przykładów dalekowzrocznej roztropności (dziś pewnie powiedzielibyśmy - oportunisty). W 1879 r., kiedy do Łodzi doszła wiadomość o nieudanym zamachu "Narodnoj Woli" na cara Aleksandra II, najwięksi łódzcy przedsiębiorcy postanowili wy-

budować cerkiew św. Aleksandra Newskiego, jako pamiątkę cudownego ocalenia monarchy. Patronem cerkwi został żyjący w XIII wieku książę włodzimierski i nowogrodzki, nazwany później Aleksandrem Wielkim, po zwycięskiej bitwie nad Newą w walce z Kawalerami Mieczowymi o Inflanty. W 1883 r. łódzcy fabrykanci zbierali pieniądze na uroczystość koronacji Aleksandra III, rok później właściciele 27 łódzkich fabryk witali przejeżdżającego cara w Koluszkach, zaś w 1891 r. zbierali środki dla uczczenia "cudownego" ocalenia następcy tronu carewicza Mikołaja. Delegacja łódzkich fabrykantów w osobach E. Herbsta i J. Kunitzera brała udział w koronacji cara Mikołaja II w roku 1896. Łódzcy fabrykanci szczerze wspomagali także rosyjskie towarzystwa filantropijne i z wdzięcznością przyjmowali orderzy św. Stanisława, św. Anny i św. Włodzimierza. Po walkach rewolucyjnych 1905-1907 r. zebrano niemałą kwotę 12 tys. rubli na zapomogi dla wdów i sierot po zabitych w zajściach policjantach i żandarmach.

Sukcesy gospodarcze łódzkich przemysłowców na rynkach rosyjskich wywołały ostrą reakcję moskiewskiej burżuazji. Moskiewscy przemysłowcy ostrą walkę konkurencyjną w połowie lat 80-tych ukazywali w kategoriach zwycięstwa niemczyzny nad słowiańskim przemysłem tekstylnym. Sfinansowali nawet wydanie specjalnej broszury na ten temat: "Dlaczego Łódź i Sosnowiec zwyciężyły Moskwę". Naciski te spowodowały powołanie przez rząd carski specjalnych komisji gospodarczych, badających warunki rozwoju przemysłu łódzkiego i moskiewskiego. Pomimo uznania racji łodzian, że okręg moskiewski posiada tańsze paliwo, tańszą siłę roboczą, niższe podatki i ceny za bawełnę, w 1890 r. wprowadzono bardzo niekorzystne, wyższe o 80% kolejowe opłaty przewozowe na łódzkie wyroby. W tym też okresie wskutek silnej konkurencji okręgu moskiewskiego łódzkie wyroby były wypierane z Rosji środkowej, Ukrainy i Białorusi. Po nieudanych próbach eksportu łódzkich wyrobów do Rumunii, Bułgarii i Turcji trafiły one na rynki dalekowschodnie: syberyjski, kaukaski i perski. Efektem walki konkurencyjnej stało się to, iż łódzcy fabrykanci przestawili się na produkcję wyrobów tanich, o niskiej jakości, ale chętnie kupowanych nawet przez najuboższą ludność chłopską. Były to tzw. "łódzkie barchany" - tkaniny ciężkie, kosmate, wigoniowe, często tandetne wyroby o bajecznej kolorystyce, do których produkcji wykorzystywano stare szmaty, odpady z innej produkcji, dodając jedynie niewielką ilość "świeżej" wełny i bawełny. Koniec wojny konkurencyjnej nastąpił w 1892 r., ale zbiegł się z kryzysem przemysłowym w Łodzi. Fabrykanci moskiewscy zajęli 48% rynku Królestwa. Walkę wygrały więc jednak "moskiewskie perkale"...

W czasie I wojny światowej większość Rosjan opuściła Łódź. W 1914 r. miała miejsce w okolicach Łodzi ciężka bitwa wojsk rosyjskich z niemieckimi. Historycy rosyjscy te militarne zmagania nazwali "łódzinską operacją". Zabici żołnierze obu stron spoczywają dziś na wspólnym cmentarzu wojskowym w Gadce Starej koło Rzgowa i na cmentarzu prawosławnym na Dołach przy ul. Telefonicznej. Miasto przechodzące kil-

akrotnie z rąk do rąk, zawsze entuzjastycznie witało powracające oddziały rosyjskie. Ostatecznie zostało zajęte przez armię niemiecką 6 XII 1914 r.. Niemcy brutalnie ograbili miasto i jego mieszkańców, dlatego też nastroje prorosyjskie utrzymywały się w Łodzi bardzo długo.

I wojna światowa i rewolucja październikowa odcięły Łódź od wschodniego rynku zbytu oraz pozbawiły dostępu do taniej rosyjskiej bawełny. Łódzcy fabrykanci utracili także sporą część kapitału zdepono-

DANUTA GRUSZCZYŃSKA

Po I Festiwalu Dialogu Czterech Kultur

Rozmowa z profesorem etnologii Ludwikiem Stomma, wykładowcą paryskiej Sorbony

- **Panie profesorze, jak to się stało, że zainteresował się pan Festiwałem Dialogu Czterech Kultur?**

- Dowiedziałem się, że pan prezes Knychalski wymyślił kapitalną, wspaniałą rzecz i do tego bezinteresownie. A wie pani... jest coś takiego w człowieku... to dzisiaj strasznie niemodne, nawet trudno mi to powiedzieć, że czasem lubi zrobić coś dobrego. A ponieważ tak się złożyło, że ja jakiś czas temu zakochałem się w Łodzi (z zupełnie innego powodu), to kiedy usłyszałem co się tu robi, natychmiast zaproponowałem swoje usługi. W miarę swoich możliwości.

- **Zakochał się pan w Łodzi?!**

- Tak. Jestem absolutnie zakochany w Łodzi. A stało się to przez przypadek. Francuzi z firmy Absys, którzy zainteresowali się fabryką Poznańskiego i mają zamiar zrobić tam wielkie centrum kulturalno-rozrywkowe, poprosili mnie, jako polsko-francuskiego profesora, żebym coś o tym powiedział we Francji. Przyjechałem, zobaczyłem. To jest wspaniałe. A pomysł na zagospodarowanie - świetny. Poczulem, że i ja mogę jakąś cegiełkę w to włożyć. Przy okazji poznałem lepiej miasto. Łódź jest kapitalna. Naprawdę! To jest tak, urodziłem się w Krakowie. Jadę do Krakowa, budzę się w hotelu i wiem, że na Rynku będzie Miłosz, Szymborska. Wszystko będzie tak samo. Jak umrze Miłosz, oby żył jak najdłużej, to będzie inny noblista. A w Łodzi budzę się z „jaskółczym niepokojem”, że coś mogło się stać. Na 99% nic się nie stało, ale coś mogło się stać. Ja to tak strasznie lubię, to mnie tak fascynuje! I jest taka myśl: a jak coś ma się stać, to dlaczego ja nie mam w tym uczestniczyć? Łódź jest miastem, które wsysa. To jest miasto modliszka, które zjada człowieka. Zjada emocjami, swoją przeszłością... Kto nie kocha Łodzi - ten jest dureń.

- **Wróćmy do festiwalu.**

- Obserwowałem cały proces jego powstawania. Od pomysłu do realizacji, a także zainteresowanie, jakie ta impreza wzbudziła poza granicami Polski. To było wydarzenie i to nie tylko w Łodzi, czy w kraju. Naprawdę masa ludzi po raz pierwszy usły-

wanego w bankach rosyjskich. Straty przemysłu w wyniku niemieckiej okupacji miasta wyliczono na ponad 400 mln rubli w złocie. Po I wojnie przez Łódź przepłynęła fala porewolucyjnej "białej" emigracji. W tym też okresie, w 1925 r., kościół prawosławny w Polsce uniezależnił się od Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Niektórzy uciekinierzy ze wschodu osiedlali się w Łodzi na stałe. Jednak w czasie spisu powszechnego w 1931 r. tylko 1 tys. łodzian zadeklarowało język rosyjski jako swoją mowę ojczystą.

szła nazwę Łódź! Nawet w Japonii, bo i stamtąd była korespondentka. Bardzo ważne jest także spojrzenie na to, na poziomie moralnym. - Ten festiwal, jego idea, należy się przeszłości. Należy się tym ludziom, którzy żyliby tu, gdyby nie straszne zwroty historii. Jest też wymiar najprostsz, ludyczny. Przecież wiele wspaniałych grup, zespołów, osób, po prostu nie przyjechało by do Łodzi, gdyby nie było takiego pomysłu i tego wspaniałego kontekstu. Dlatego myślę, że to jest niesłychana, cudowna rzecz. Tyłko - i tu jeszcze raz muszę schylić czoło przed panem Knychalskim - uważam, że ten festiwal powinien trwać w różnych formach, także poza jego oficjalną datą, przewidywaną teraz na przełom maja i czerwca, jest na przykład w tej chwili pomysł, żeby w szkołach zorganizować lekcje o tym, co ten festiwal daje. Na razie zrobić eksperyment na poziomie Łodzi, a potem objąć nim całą Polskę. Taki program jest już pisany. Myślę, że jest to znakomity pomysł, pod którym może podpisać się każdy. No, może z wyjątkiem jakichś nacjonalistów, czy innych oszołomów.

- **Co pan sądzi o pogłoskach, że nowo wybrany prezydent miasta, nie patrzy zbyt przychylnie na festiwal?**

- Ponieważ śledziłem drogę pana prezydenta, czytałem jego książkę, uważam, że pogłoski o zastrzeżeniach przeciwko festiwalowi są oczywistym nieporozumieniem, jestem absolutnie przekonany, że jest to przekłamanie. Festiwal jest dla Łodzi ogromną, ogromną sprawą. Po prostu Łódź się staje. Łódź - punkt na mapie, staje się miastem w świadomości świata. A dotąd nim nie była. A jeżeli nawet - to ze złej strony, jako brudna, szara i czerwona, jestem przekonany, że pan prezydent rozumie to, i że poprzez ten festiwal ze wszystkich sił.

Myślę, że właśnie pan Jerzy Kropiwnicki, który walczył o tolerancję, o prawa więźnia, o prawa człowieka, rozumie najlepiej, że właśnie Łódź, jako miasto tego festiwalu, jest w jakiś sposób spełnieniem jego marzeń z tamtych lat.

- **No, to się okaże. Dziękuję za rozmowę.**



PIOTR MACHLAŃSKI

Tropem łódzkiej secesji

Często możemy usłyszeć w radio czy w telewizji, że Łódź jest miastem w którym króluje styl w architekturze zwany secesją. Nie można zgodzić się z wyżej przedstawionymi wypowiedziami, gdyż w Łodzi odnaleźć możemy zaledwie około trzydziestu budynków secesyjnych a większość z nich posiada tylko pewne detale architektoniczne wykonane w tym stylu. Większą część budowli: pałaców, willi, kamienic czy domów czynszowych znajdujących się przy ulicy Piotrkowskiej i z nią sąsiadujących zbudowana jest w stylu eklektycznym, często mylonym z secesją.

Eklektyzm bowiem skupiał w sobie elementy architektoniczne charakterystyczne dla budowli wcześniejszych epok, powstałych w stylach: gotyckim, renesansowym, barokowym czy klasycznym. Spacerując po ulicach Łodzi, spostrzec możemy półkoliste renesansowe łuki okien, wkomponowane w inne elementy elewacji kamienic, opływające przepychem baroku tworząc z nimi harmonijną jedność. Między tymi budowlami jak perełki umiejscowione są secesyjne budynki o charakterze rezydencjalnym czy fabrycznym. Były one zwiastunami postępu ich budowniczych i właścicieli, ze smakiem pojmyjących nową modę rozprzestrzeniającą się w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych w ostatnich dziesięcioleciach XIX w i pierwszych kilku-

nastu latach XX w. Secesja była nazywana różnie. W Niderlandach stylem węgorza, we Francji stylem metra (od dekoracyjnych daszków nad zejściami do stacji metra w Paryżu), a w Austrii stylem młodych, oraz „secesją”, skąd zaczerpnęliśmy używany u nas termin. W Polsce secesja pojawiła się w latach dziewięćdziesiątych XIX w., a głównym jej ogniskiem był Kraków i tam zachowało się do dzisiaj najwięcej jej relikwów. Innymi większymi miastami, gdzie występuje są: Warszawa, Poznań, Wrocław oraz Szczecin.

Secesje tworzyli w Belgii Wiktor Horta i Henry van de Velde, w Stanach Zjednoczonych Louis Tiffany, słynący z delikatnych wyrobów ze szkła, a w Austrii Gustaw Klimt i Otto Wagner..... Secesja ogarnęła swym pięknem wszystkie dziedziny sztuki. Obok architektury wystąpiła w malarstwie i sztuce użytkowej. Malowidła pojawiły się na fasadach budynków i wewnątrz pomieszczeń mieszkalnych. Charakteryzowały się pastelowymi odcieniami barw. Powstawały secesyjne meble, a nawet drobne przedmioty codziennego użytku takie jak wazon, dzban, serwisy do kawy.

Twórcy stylu secesyjnego zrywali - jak to określali - z brzydota przeszłości, uciekając do świata baśni i iluzji. Posłużono się w tym celu linią krzywą, falującą ale jednocześnie dynamiczną, symbolizującą rozwiane włosy kobiety, dym wydobywający się z komina, czy ruch wody. Budowle secesyjne charakteryzuje takie asymetryczność (na zasadzie kontrastu). Dobierano różne rodzaje tynków: jasny z ciemnym, gładki z chropowatym. Styl secesyjny wzbogacił świat o nowe techniki budowlane. Zaczęto łączyć umiejętnie beton i szkło z elementami drewnianymi i cegłą. Pojawiły się również elementy ceramiczne, wpływające na oryginalność budowli. Materiał budowlany pozwolił, dzięki swej plastyczności, na wzbogacanie elewacji o wspaniałe motywy roślinne i zwierzęce. Pojawiły się pięknie ułożone liście kasztanowca czy akantu i pnące krzewy polnej róży, orchidee i chryzantemy. Obserwować możemy również owady takie jak pszczoły lecące do swego ula, mrówki symbolizujące uczciwą, sumienną pracę, oraz zwierzęta i ptaki takie jak sowy oznaczające mądrość, pelikany, pawie czy raki.

Secesja przywróciła należyte miejsce witrażom. Do dzisiaj możemy podziwiać w Łodzi wspaniałe arcydzieła wykonane przez polskie i zagraniczne pracownie. Koniec XIX wieku był czasem kiedy secesja przywędrowała do Łodzi. Początkowo pojawiały się tylko na elewacjach kamienic jej elementy, natomiast później już całe budowle ubrane w secesyjne kształty. Po 1907 r. architekci jakby ugładzili secesję, pojawiło się mniej ozdób roślinnych i zwierzęcych. Jest to okres nowego jej oblicza, które nie zostało do końca ukazane, gdyż zahamowała ten proces pierwsza wojna światowa.



(fot. B. Bazyliński)

Fragment budynku przy ul. Piotrkowskiej 145

Pojawienie się secesji w naszym mieście związane było z bardzo intensywną rozbudową miasta, czemu sprzyjała korzystna koniunktura gospodarcza. Powstało wiele nowych willi, pałaców i kamienic czynszowych, a istniejące modernizowano. Nawet fabryczne mury ubierano w secesyjny kostium. Często trudno dotrzeć do nazwiska twórcy danego obiektu, chociaż wielu jest nam znanych. Są to przede wszystkim Gustaw Landau-Gutenteger, absolwent Instytutu Inżynierów Cywilnych w Petersburgu, działający w Łodzi i Warszawie, Dawid Lande praktykujący w Berlinie po ukończeniu studiów w Petersburgu, a potem pracujący w Łodzi oraz Franciszek Chełmiński, również absolwent tej samej szkoły w Petersburgu, pełniący funkcję architekta miasta. Byli również jeszcze inni architekci tworzący budowle secesyjne w naszym mieście, ale powyżsi należą do najbardziej znanych.

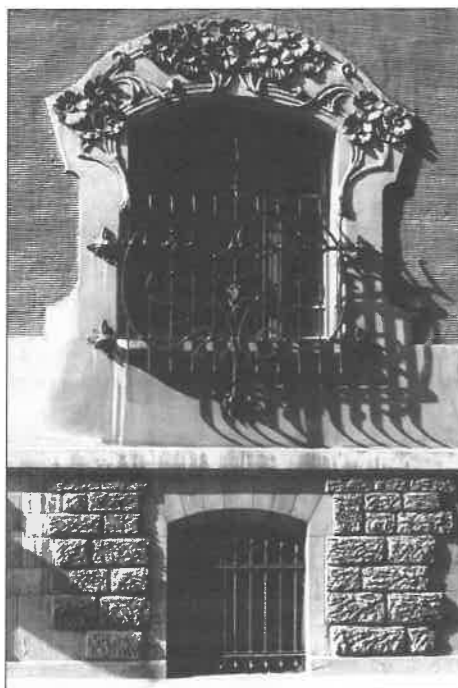
Historycy sztuki zgodnie twierdzą, że jednym z najpiękniejszych obiektów secesyjnych w kraju jest wybudowana w 1903 r. łódzka willa Leopolda Rudolfa Kindermanna umiejscowiona przy ul. Wólczańskiej 31/33. Jej projektantem był Gustaw Landau-Gutenteger. Początkowo willa miała charakterem nawiązywać do bawarskich myśliwskich zameczków romantycznych, co możemy dostrzec oglądając ją od strony ogrodu. Jednak w czasie budowy nadano jej ostatecznie kształt secesyjny. Podziwiać możemy bogactwo dekoracji fasad, obramowania okien ozdobione motywami roślinnymi i zwierzęcymi, wspaniałe witraże i piękne, fantazyjnie wyprofilowane kraty okienne. Innym dziełem Landau-Gutentegera jest okazała kamienica czynszowa przy al. Kościuszki 93 i kamienica przy ul. Piotrkowskiej 29, przeznaczona na Dom Bankowy Wilhelma Landaua. Ponadto Landau-Gutenteger był twórcą kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 37 z bardzo ciekawie zaprojektowanym wykuszem, wspartym nad parterem na wolutowych wspornikach i zakończonym balkonem, powyżej którego znajduje się smukła kopuła nakryta miętko układającym się hełmem. Landau-Gutenteger zaprojektował jeszcze dwie kamienice, również przy ul. Piotrkowskiej:

pod numerem 128 należąca niegdyś do rodziny Schichtów, gdzie architekt miał pracownię i pod numerem 43 - nazywana „Kamienicą pod kasztanami”, od wspaniałego wystroju elewacji, gdzie pierwszoplanowe miejsce zajmują kasztanowce. Ciekawym budynkiem, o którym należy wspomnieć, jest Dom Tańca zaprojektowany przez tego samego architekta, mieszczący się przy ul. Wólczańskiej 5. Urządzono w nim sale readowo-weselne, dziś mieści się tu teatr „Arlekin”.

Powstanie secesyjnych budynków w Łodzi zawdzięczamy - jak wspominałem - również Dawidowi Landemu, który był projektantem pałacu Reincharda Benicha, usytuowanego przy ul. Gdańskiej 89, z fantastycznie bogatą ornamentacją z korzeni, pni, gałęzi, liści i kwiatów kasztanowca, bluszczu, a także sówich głów. Zaprojektował on również monumentalny budynek banku przy al. Kościuszki 14, ozdobiony dekoracją roślinną i zwierzęcą.

Natomiast Franciszek Chełmiński zaprojektował willę dla Ryszarda Schimmela przy ul. Karolewskiej 1. Zastosował tu po raz pierwszy w Łodzi niesymetryczne elewacje o zróżnicowanej fakturze tynków, bogate dekoracje secesyjne o motywach roślinnych i dekorację szachulcową. Spod jego ręki wyszła również willa Jakuba Kestenberg, znajdująca się przy ul. Jaracza 62, oraz willa Juliusza Langego przy ul. Wólczańskiej 51. Był twórcą Hotelu Savoy, określanego kiedyś mianem drapacza chmur, mającego aż siedem pięter. Faktem jest, że był to do 1955 r. najwyższy budynek w Łodzi. Godna podziwu jest przesłiczna supraporta nad wejściem do hotelu, ze stylizowanymi pawiami.

Przykładami budowli secesyjnych są: willa Leona Rappaporta przy ul. Rewolucji 1905 r. nr 44 projektu Romualda Millera jak i kamienica czynszowa Rachmilla



(fot. B. Bazyliński)

Fragment budynku przy ul. Wólczańskiej 31/33



(fot. B. Bazyliński)

Fragment budynku przy ul. Rewolucji 1905 r. nr 44

Lipschitza przy ul. Narutowicza 44, kamienica z 1905 r. z bogatą dekoracją roślinną w łukach okien przy Placu Dąbrowskiego pod numerem 4 oraz willa przy ul. Gdańskiej 107, wybudowana w 1910 r. Willa ta jest przykładem zmięszczenia secesji w naszym mieście.

Ciekawe pod kątem architektonicznym są budynki: Siedziby Zgromadzenia Majstrów Tkackich, przy ul. Tuwima 3/5 z zachowanym witrażem przedstawiającym tkacza siedzącego przy krośnie; Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców, przy ul. Narutowicza 68, wzniesionej przez Landau-Gutentegera, wykorzystując nowoczesne rozwiązania, o dekoracji opartej na zasadach oszczędnego zdobnictwa w duchu wiedeńskiej secesji; Gmachu dawnego Gimnazjum Niemieckiego, projektu Karola Herrringa, przy al. Kościuszki 65. Nad wejściem umieszczono stylizowane pszczoły symbolizujące wysoki poziom pracy i zorganizowania społecznego.

Oprócz budynków o charakterze mieszkalnym secesje rozpoznajemy w budowach przemysłowych. Przykładem są fabryki: Ernsta Wevera przy ul. Kopernika 1/3, w której produkowano guziki i koronki; Adolfa Daube przy ul. Wólczańskiej 128/130, tu wytwarzano wyroby bawełniane i wełniane; Braci Huffer przy Wólczańskiej 243, specjalizującej się w wyrobach dziewiarskich.

JADWIGA ZAREDA, KAJETAN ZAKRZEWSKI

Z historii Rudy Pabianickiej

Pragniemy przedstawić Państwu cykl artykułów o Rudzie Pabianickiej, leżącej w południowej części dzielnicy Górna.

Do przedstawienia tego cyklu skłonił nas niezwykle jubileusz 80-lecia nadania Rudzie Pabianickiej praw miejskich. Bogata historia Rudy, położenie i ukształtowanie, ciekawe i tajemnicze miejsca, obiekty przemysłowe, sakralne i rekreacyjne z pewnością zainteresują czytelników i skłonią do wędrówek, spacerów, zwiedzania. Ruda Pabianicka to dzielnica z „duszą”, wyjątkową atmosferą, kochana przez wszystkich jej mieszkańców - obecnych i byłych. Rudzianie, którzy z różnych powodów ją opuścili z nostalgią snują wspomnienia i chętnie, choć na chwilę, tu wracają.

Od 1997 roku działa Towarzystwo Przyjaciół Rudy Pabianickiej jako część Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Jego celem jest zbieranie informacji, ciekawostek, zdjęć i pamiątek z Rudy Pabianickiej które z przyjemnością będziemy Państwu przekazywać w następnych numerach „Wędrownika”.

Dziękujemy redakcji za udostępnienie nam swoich łamów i umożliwienie podzielenia się z Państwem wiadomościami o Rudzie. Zapraszamy do lektury!

Ruda Pabianicka, wchodząca dzisiaj w skład wielkiej Łodzi, uchwałą z dnia 14 lutego 1923 r. otrzymała prawa miejskie i jako samodzielne miasto, a właściwie miasteczko podłódzkie egzystowała do kwietnia 1940 roku. Okupant niemiecki nadał jej wówczas nazwę „Erzhausen”. Po wojnie w roku 1945 władze polskie oficjalnie włączyły ją do Łodzi, a w roku 1957 razem z Rokiciem i Chojnami utworzyły południową dzielnicę miasta - „Górna”.

Ruda Pabianicka jako miasto, graniczyła od półno-

Bardzo interesującym zabytkiem, choć niedostępnym, jest hala turbin elektrowni fabrycznej Scheiblerów przy ul. Milionowej 8, wybudowana w 1910 r. według projektu Alfreda Frischa. Warto również obejrzeć secesyjne domy handlowe Schmechel i Rosner przy ul. Piotrkowskiej 98 i 100 - ten ostatni zamieniono w latach 1926-28 na cukiernię i kawiarnię pod nazwą Esplanada oraz znajdujące się w pobliżu dawne kino Gdynia.

Spacerując ulicami: Piotrkowską, Wólczańską i z nimi sąsiadującymi warto spojrzeć w górę, by przekonać się jak Łódź jest piękna. Wtedy odnajdziemy jej niepowtarzalny charakter. Zaczniemy podziwiać budowlę, a gdy się trochę postaramy w niektórych z nich dostrzeżemy elementy secesyjne i stwierdzimy, że te kamienice, wille czy pałace są jednymi z piękniejszych, jakie widzieliśmy w naszym życiu. W Polsce są miejsca, gdzie obiektów secesyjnych jest po prostu więcej niż w Łodzi, ale należy podkreślić, że Łódź jest jedynym miastem w Polsce, gdzie wytworzył się specyficzny architektoniczny klimat. Tworzą go stylowe, choć nieliczne kamienice secesyjne, ukryte wśród zadziwiającego i barwnego eklektyzmu odwracającego uwagę od pozornie bezstylowych brył budynków fabrycznych, których urok zaczyna być powoli dostrzegany.

cy z linią kolei obwodowej, od wschodu ze Starymi i Nowymi Chojnami, od południa i zachodu z rzeką Ner i dalej aż po osadę Chocianowice - z Rokiciem Nowym. Śledząc rodowód Rudy Pabianickiej trzeba przyznać, że właściwie jest ona „dzieckiem” dawnej wsi położonej nad Nerem (z dopływami Jasieni, Karolewką i Olechówką).

Według pabianickiego dziejopisarza, Maksymiliana Barucha, opisującego historię Pabianic, Rzgowa i wsi okolicznych (monografia dawnych dóbr kapituły krakowskiej w sieradzkim i łączyckim z 1903 r.) „Ruda otrzymała swoją nazwę od dobowanej tu rudy żelaznej. Osada hutnicza położona była w obrębie wsi Chocianowice, stąd po prostu zwano ją Kuźnią Chocianowicką. Najpierwszą wzmiankę o Rudzie spotykamy w dokumencie z 1398 r. z okazji kolendy, przynależnej pleba-



(fot. Jadwiga Zareda)

Ruda Pabianicka - Magistrat - ul. Rudzka 7



(fot. Jadwiga Zareda)

Tablica pamiątkowa na budynku Magistratu - ul. Rudzka

nowi w Pabianicach. Obok zakładu hutniczego powstał folwark Ruda, jak opiewa lustracya z 1906 r., przynależny do Rzgowa, przy którym folwarku żadnej wsi nie masz, ani ogrodników, jak tylko młyn.” Dalej w opisie parafii pabianickiej z końca XVIII w. nie ma jeszcze mowy o wsi, a tylko o folwarku Ruda na rzece Ner przy młynie Chachuła.

Godnym uwagi jest ówczesny rozwój nie tylko hutnictwa żelaznego, ale również szklarskiego w Chocianowicach i to już od początków XV wieku. Tak więc występujące pokłady rudy darniowej w pradolinie rzeki Ner w okolicy Chocianowic, zdecydowały o historycznym rodowodzie Rudy Pabianickiej.

Najstarsze zapisy dokumentujące stosunki własnościowe tego terenu, dotyczą głównie adnotacji o przekazaniu kasztelanii zwanej Chrapami Książęcymi w 1086 r. kanonikom krakowskim przez żonę Hermana, a matkę Bolesława Krzywoustego (Chrapy to w języku staropolskim moczary, bagna zalegające teren poprzecinany licznymi ciekami wodnymi).

Po rozbiorach Polski Ruda przeszła na własność rządu rosyjskiego, od którego wykupił ją Ludwik Geyer, przemysłowiec łódzki. Wykorzystując urodzajne ziemie pod uprawy buraków cukrowych wybudował w Rudzie dobrze prosperującą cukrownię i gorzelnię, które w ciągu 40 lat eksploatacji przyniosły właścicielowi poważne zyski. W 1869 r. majątek ten przeszedł w ręce innego przemysłowca Loevenberga, który znacznie rozszerzył cukrownię i zatrudnił ok. 300 pracowników. Cukrownia rudzka była jedną z największych w Polsce.

Na skutek rozszerzenia działalności i zwiększenia popytu, właściciel zaciągnął wielkie pożyczki w Banku Natansona w Warszawie. Niestety, pożyczek tych nie spłacił, zmarł, a właścicielem majątku stał się Bank Natansona. Natansonowie cukrownię zlikwidowali, a ziemie uprawne podzielili na parcele i wystawili do sprzedaży.

Przełomem cywilizacyjnym dla Rudy stało się połączenie linią tramwajową Pabianic z Łodzią. Wówczas to Rudę zakupił dyrektor zajezdni tramwajowej w Chocianowicach inż. W. Gierlicz w 1923 r. W tym czasie Ruda otrzymała prawa miejskie. Dalszy rozwój linii tramwajowych, łączących Rudę również ze Rzgowem a potem z Tuszymem, podniósł atrakcyjność tej pełnej zieleni i czystych wód miejscowości. Rudzka Góra, Stawy Stefańskiego, kilkudziesięciomorgowy teren wyścigów konnych (raz do roku - derby z nieodłącznym totalizatorem) przyciągały zamożniejszych łódzian.

W 1925 r. na północno-zachodnim obrzeżu już miasta Ruda Pabianicka powstało lotnisko w Lublinku.

Wszystko to sprawiło, że Ruda stała się jedną z najatrakcyjniejszych miejscowości w aglomeracji łódzkiej. W latach 1925-1929 przeprowadzono elektryfikację miasta, co stworzyło korzystne warunki do rozwoju przemysłu. Powstały 4 większe fabryki i 15 mniejszych, mających charakter wytwórni, produkujących półfabrykaty dla potrzeb wielkiego przemysłu łódzkiego. Właścicielem największej fabryki był Horak - przemysłowiec czeski z pochodzenia Niemiec. Łódzcy fabrykanci budowali wille w najpiękniejszych zakątkach Rudy, część ich stoi do dzisiaj przy ul. Popioły, Letniskowej, Scałenowej i innych.

Dynamiczny rozwój Rudy szczególnie zawdzięcza władzom i ofiarnym, zaangażowanym mieszkańcom. Władze nabyły budynek na biura Zarządu Miasta, powstała przychodnia lecznicza, dwie ochronki, biblioteka publiczna, szkoła.

W Rudzie oprócz dwóch kościołów - katolickiego św. Józefa i dawnego ewangelickiego przy ul. Rudzkiej, powstały dwa cmentarze: parafialny katolicki nad Nerem i ewangelicki przy ul. Sopotkiej. W 1945 r. przy ul. Letniskowej 14 powstała szkoła nosząca nazwę: XXIII Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące dla Młodzieży, XXIV Gimnazjum i Liceum dla Pracujących.

Znaczącymi obiektami kulturalnymi były również trzy kina rudzkie - nieme przy ul. Rudzkiej, „Stare” przy ul. Zjednoczenia oraz „Muza” przy ul. Pabianickiej na Marysinie.

Klub Sportowy RKS (Rudzki Klub Sportowy) pozostawił po sobie obiekty sportowe, które niestety dzisiaj są wykorzystywane przez młodzież w niewielkim stopniu. W Rudzie działało 20 zarejestrowanych stowarzyszeń: Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Strzelców, Sokołów, Straży Ogniowej, Stowarzyszenia Śpiewacze, Spożywców, Przemysłowców i Kupców oraz Sportowe. Bardzo prężnie działało również harcerstwo. Historia tych organizacji odzwierciedla stosunki społeczne



(fot. archiwum)

Wnętrze kuźnicy z dymarką. Drzeworyt z XVI w.

kształtujące się w dawnym miasteczku Ruda Pabianicka.

Struktura narodowościowa w Rudzie w okresie międzywojennym przedstawiała się następująco: Polaków żyło tu 83%, Niemców ok. 14%, Żydów ok. 2% i 1% innych narodowości w tym kilka rodzin Czechów. Nietypowa zabudowa małego miasteczka (brak rynku, jako centrum miasta, domy rozrzucone bez ustalonego porządku) nie przeszkodziła w tworzeniu wielkiej wspólnoty. Ludzie żyli tu zgodnie i szczęśliwie.

Opisany czas przeminął, jednak do chwili obecnej

ZBIGNIEW LIPOWSKI

Rokicie Stare i Nowe

Na północnych krańcach mapy (sporządzonej przez M. Barucha) pabianickich włości kościelnych należących do dóbr Kapituły Krakowskiej oznaczone są trzy osady: Chachuły, Rokicie i Retkinia. Mapa nie jest zbyt dokładna, bowiem obok Dobrzyńki i Neru, nie ma na niej zaznaczonych rzeczek: Olechówki, Dąbrówki, Jasieni i Karolewki. Te ostatnie występują jednak w opisach dóbr Kapituły Włocławskiej obok rolniczego miasteczka Łódzia położonego tuż nad Ostrogą, późniejszą Łódką.

Być może owe nie oznaczone na mapie rzeczki wówczas jeszcze nie miały swoich imion, które pojawiły się dopiero wraz z powstaniem w ich górnym biegu znaczących wsi, takich jak Olechów czy Dąbrowa, ale ze źródeł pisanych - przede wszystkim inwentarzy kościelnych i spisów rządowych - wiadomo, że już w XVIII wieku, a szczególnie w początkach XIX stulecia działały tam liczne młyny i folusze. Te ostatnie zaczęły pojawiać się „jak grzyby po deszczu” tuż po wcieleniu tych ziem do zaboru pruskiego i migracji osiedleńczej sukieników z Saksoni, Czech, Śląska i Wielkopolski.

Jeszcze w 1750 roku księgi rachunkowe Kapituły Krakowskiej wymieniały w dobrach pabianickich 25 młynów w tym i we wsi Rokicie gdzie działał także folusz. Nazwa „Rokicie” pojawiła się w dokumentacji diecezji Krakowskiej już w 1411 roku, zaś w 1466 Jan Długosz ustalił, że na terenie Kasztelanii Pabianickiej działało 14 młynów.

Szybki rozwój Łodzi na początku XIX stulecia, a szczególnie w latach 1823-1828 - już jako osady sukieniczej - spowodował konieczność tworzenia nowych dzielnic, a co się z tym wiąże - wydłużenia dotychczasowych ulic i wytyczanie nowych. Poza Nowym Miastem - początkowo dzielnicą tkaczy lnianych, powstała jeszcze rękodzielnicza osada Łódka, zaś wieś Wólka i Widzew częściowo wchłonięte zostały przez tzw. „posiadła wodno-fabryczne” czyli tereny przeznaczone -



(fot. Krzysztof Stefański)

Kościół św. Franciszka, 2002 r.

pozostała w Rudzie pewna odrębność, do dziś ludzie „jadą do Łodzi”, do dziś mówią „Starostwo”, „Magistrat”, choć dawno te słowa nie mają swego znaczenia. Pozostała atmosfera, serce i cudowne miejsca warte zwiedzenia i obejrzenia. Żal serce ściska, że wiele zabytków nie znalazło właścicieli sponsorów i ulega niszczeniu w cieniu pięknego krajobrazu i soczystej, zdrowej zieleni.

(Tekst powstał przy współpracy członków Towarzystwa Przyjaciół Rudy Pabianickiej)

przynajmniej w założeniu - pod fabryki wełniane i bawełniane. Niebawem podobny los spotkał przylegające do Łodzi części Dąbrowy, Chojen i Rokicia. Zaczęto tu w najbliższej okolicy eksploatować złoża gliny zalegające obficie na niewielkiej głębokości i produkować cegłę, na którą z roku na rok zwiększał się popyt. Do jej produkcji niezbędne były olbrzymie ilości drewna, szły więc pod topór okoliczne lasy „odsłaniając” nowe przestrzenie pod dalszą eksploatację bądź też zabudowę. Na wykarczowanych i zdegradowanych eksploatacją gliny i piasku terenach roślinność odtwarzała się jak mogła. Gorzej było jednak z krajobrazem. Kominy cegielni, składowiska surowca i opału, suszarnie i magazyny zajmowały spore przestrzenie, toteż wielokrotnie ich właściciele zakładali obok sady i ogrody, a nawet gospodarstwa rolne, gdyż była to stosunkowo niedroga i łatwa inwestycja.

Kiedy w 1840 roku ukończono budowę nowego traktu łączącego Łódź od wysokości Górnego Rynku (dziś Pl. Reymonta) od wylotu ul. Piotrkowskiej z Pabianicami, Sieradzem i Kaliszem osuszając i regulując podtapiany wodami rzeczki Dąbrówki rejon dzisiejszego Placu Niepodległości, pomiędzy przebiegiem ul. Wólczańskiej do tzw. Szosy Pabianickiej, a rzeczką Olechówką przecinającą ją na skraju dzisiejszej Rudy Pabianickiej, utworzono osadę Nowe Rokicie, resztę historycznego Rokicia przemieniając na Stare Rokicie. W latach siedemdziesiątych XIX stulecia działała tu już cegielnia Ottona Krause (dziś stoi tam Szpital im. M. Kopernika) zaś tuż obok wznosił swoją przędzalnię, tkalnię i farbiarnię wełny Ferdynand Koenig. Na blisko 2 ha gruntu założył ogród, w którym stanął jego elektryczny pałacyk, zaś na początku XX stulecia wyrosła postsecesyjna willa będąca dziś siedzibą Hufca ZHP Łódź-Górna. Po fabryce i domach dla robotników nie ma już śladu, zachowały się natomiast wspomniane wille i fragmenty ogrodu pełniące dziś funkcję osiedlowego parku.

W latach 1882-1883 właściciel rokickiego młyna na Jasieni - Marcin Reich założył park rozrywkowy „Wenecja”. Licznym bywalcom dostarczano tu „wielu atrakcji”. Występowali akrobaci, śpiewały chóry amatorskie, grały orkiestry wojskowe, działała też estrada „na wodzie” i była to chyba jedyna paralela z prawdziwą Wenecją. Już po I wojnie światowej właściciel cegielni - Edmund Behm założył tuż obok ogród „Sielanka” konkurencyjny wobec działającego już „Parku Wenecja”.

Nieopodal posiadłości Ferdynanda Koeniga, po drugiej stronie Szosy Pabianickiej Jan Lissner uruchomił fabrykę kleju i kazeiny, zaś nieco na południe Artur Meister pobudował farbiarnię i wykańczalnię tkanin jedwabnych stawiając sobie w pobliżu malowniczą rezydencję w alpejskim stylu.

Mało kto już dziś pamięta, że wybudowany w kilkanaście lat po odzyskaniu niepodległości w 1932 roku, kościół pw. św. Franciszka z Asyżu u zbiegu ulicy Pabianickiej i Flatta stanął w miejscu zasypanego żużlem z łódzkich fabryk olbrzymiego wyrobiska gliny i piasku - do dziś zresztą po wiosennych roztopach podchodzącego wodą - na działce darowanej przez małżeństwo Behmów kościołowi. Jeszcze do końca lat 60-tych ubiegłego stulecia przy zbiegu ul. Św. Franciszka i Janiny (dziś fragment Al. Włókniarzy) istniała cegielnia Jana Kluka, której działalność przerwał dopiero pożar. Budynki mieszkalne i zabudowania gospodarcze, ogród i sad właściciela przetrwały właściwie do dziś, zostały jednak skomunalizowane i rozparcelowane, a na miejscu dawnej cegielni rozciągają się już ogródki działkowe.

W południowo-zachodniej części dawnego Rokicia, a na południe od Nowego Rokicia, na styku z kolonią Chachuły i nieopodal ujścia Jasieni do Neru rozciągały się łąki należące do folwarku młynarskiej rodziny Fijałkowskich. Oni to, jako pierwsi toczyli sądowe boje z łódzkimi fabrykantami i przedsiębiorcami, którzy po kolonizacji Wólki pobudowali tam liczne fabryki włókiennicze, z których zanieczyszczenia spływały do Jasieni. Czystość rzeki była warunkiem utrzymania pastwisk, hodowli bydła i ryb jak również jakości produkowanej przez młyn mąki. Spory toczyły się latami, a kiedy którejś wiosny powódź zniszczyła system śluz i kanałów, zaprzestano działalności. Po młynie i stawach rybnych dziś już nie ma śladu, zachowały się natomiast nieliczne budynki folwarczne - w wyniku działań i zmian własnościowych - rozrzucone po różnych posesjach. Przetrwało też gniazdo rodzinne Fijałkowskich - murowany budynek przy dzisiejszej ul. Dubois 77 - o dworowym charakterze.

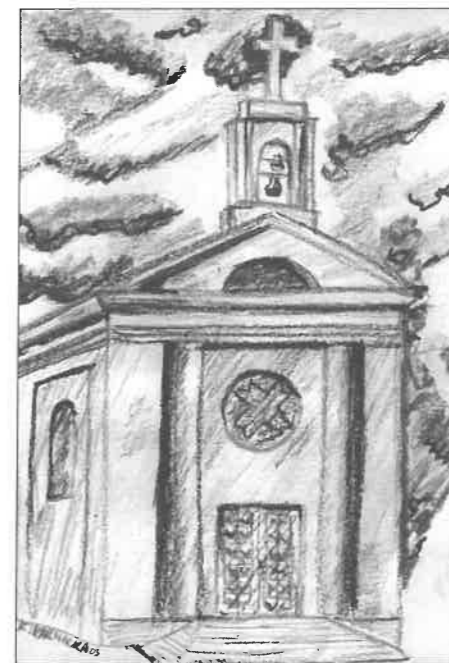
Zdecydowanej „parcelacji” Rokicie i Nowe Rokicie uległo jednak po wybudowaniu trasy tzw. Kolei Obwodowej, która z rejonu dworca Łódź Kaliska opasywała Łódź w kierunku południowym i wschodnim oraz regulacji Jasieni i wytyczenia dalszej części ul. Obywatel-

skiej. Na wysokości stacji benzynowej przy Al. Włókniarzy nieopodal skrzyżowania z ul. Obywatelską, a na tyłach gospodarstwa ogrodniczego klasztoru Sióstr Urszulanek i kościoła bł. Urszuli Ledóchowskiej istniało kiedyś rozwidlenie dróg, prowadzących z Łodzi przez Wólkę i Rokicie do Pabianic i Retkini. Część tego traktu to dzisiejsza ul. Skrzywana. Jej przebieg został zakłócony lokalizacją w 1898 roku nekropoli ewangelicko-augburskiej z głównym wejściem od ul. Wiznne (dziś Felsztyńskiego). Pozostałości cmentarza zachowały się do dziś choć przeznaczono go już w latach 70-tych na skwer osiedlowy. Na zapomnianym rozwidleniu dróg stała kapliczka ufundowana przez rodzinę Przybyłków. Oni to w roku 1930 przekazali swoją nieruchomość pod przyszłe zgromadzenie klasztorne.

Reliktem młyńskich tradycji Rokicia, po których ślady zachowały się do dziś jest zespół budynków przemysłowych przy ul. Cieszyńskiej pomiędzy Al. Politechniki a ul. Cieszkowskiej. W miejscu dawnego stawu młyńskiego stanął w latach 70-tych ub. wieku kompleks obiektów szkolnych, pawilon handlowy i przychodnia rejonowa. Osiedle mieszkaniowe „Nowe Rokicie”, które zaczęto wznosić począwszy od 1958 roku radykalnie zmieniło gospodarczy charakter tej części Łodzi, zamieniając ją w pełną zieleni enklawę dzielnicy Łódź - Górna. Oprócz młyna przy ul. Cieszyńskiej (dziś napędzanego już energią elektryczną), parków: „Wenecja” i „Sielanka”, wart wspomnienia jest też uznany za zabytkowy kompleks mieszkalno-szkolny przy ul. Przeszkole 42 powstały staraniem Magistratu m. Łodzi w 1925 roku z przeznaczeniem na dwie szkoły powszechne, męską i żeńską oraz domami dla nauczycieli. Był to - i do dziś pozostaje - jeden z bardziej efektownych budynków szkolnych nie tylko na Rokiciu

ale i w Łodzi stylizowany na okazały „Polski dwór”. Odrębne dla obydwu szkół pawilony sal gimnastycznych wychodziły na obszerne boisko, które w przyszłości miał oświetlić także i basen. Szkole towarzyszył sad i niewielki ogród botaniczny. Projektując osiedle Nowe Rokicie i rondo - dziś Lotników Lwowskich, a dawniej Titowa, ówczesne władze wymusiły na architektach i urbanistach „skrzyżowanie” ul. Tagore tak, by szkoła nie była widoczna od strony ul. Pabianickiej. Obszerne skwer przed szkołą, który miał być zabudowany z przeznaczeniem na kino, Osiedlowy Dom Kultury - stoi do dziś nie zagospodarowany i nie ma pomysłu (a może tylko pieniędzy?), na jego urządzenie. Rację bytu mógłby mieć tu dzisiaj jedynie parking podziemny wzięwszy pod uwagę ilość samochodów na ulicach i pomiędzy blokami osiedla...

Do chwalebnych tradycji historii Nowego Rokicia zaliczyć też trzeba działalność Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP, które zorganizowały i prowadziły do II wojny światowej słynną w kraju i zagranicą „Sienkiewi-



(fot. K. Krakowska)

Kościół pw. bł. Urszuli Ledóchowskiej w Łodzi

czówkę” - początkowo sierociniec, a niebawem placówkę wychowawczą dla tzw. „trudnej młodzieży” w budynku dawnego zajazdu „Pod Kurakiem” - zachowanego do dziś obok kościoła św. Franciszka i wiaduktu kolejowego.

Z kolei siostry Urszulanki z ul. Obywatelskiej z inicjatywy ich przełożonej m. Urszuli Ledóchowskiej „Apostołki Łodzi” - co wynika z jej działalności misyjnej i organizatorskiej na rzecz Diecezji Łódzkiej - prowadziły tu żłobek, przedszkole i świetlicę środowiskową dla młodzieży z ubogich rodzin robotniczych. I wreszcie działalność tzw. Łódzkiej Rodziny Radiowej, z której to społecznikowskiej inicjatywy ufundowano pierwszy w Łodzi Dom Wychowawczy przy ul. Przyszkole 38. Nazwa ulicy pochodzi oczywiście od wspomnianego już

JERZY ZIELIŃSKI

Perygrynacje figurki Matki Bożej ze Starego Rokicia

Ulica Obywatelska - łącząc Al. Politechniki z Retkinią stanowi dziś ważną arterię komunikacyjną w południowo-zachodniej części naszego miasta. W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia stała się...do Nowych Sadów, ulicą dwupasmową. Jeżdżą tu autobusy komunikacji miejskiej, w tym autobus 55, który kończy swoją trasę przy porcie lotniczym w Lublinku. W okresie międzywojennym była Obywatelska peryferyjną ulicą. Na początku ubiegłego wieku jej szlakiem biegła droga będąca głównym traktem podłódzkiej wsi - Starego Rokicia.

Maria i Teofil Przybyłowie - właściciele gospodarstwa rolnego we wschodniej części wsi - postanowili wybudować kapliczkę ku czci Matki Bożej. Na jej miejsce wybrali rozwidlenie dróg, istniejące w pobliżu ich gospodarstwa. W miejscu tym rozpoczynała się droga wiodąca w kierunku zachodnim przez całą wieś do Retkini. Stąd również - drogą prowadzącą w kierunku południowo-wschodnim - można było dotrzeć przez most na rzece Jasień, obok „rokickiego” młyna i „Wenecji” do Szosy Pabianickiej (późniejszy szlak ul. Cieszyńskiej). Tu wreszcie rozpoczynała bieg w kierunku północnym droga, nazwana w 1906 r. ul. Żurawia (dzisiejsza ul. Rejtana).

Na rozstaju tych trzech dróg wiosną 1902 r. stała murowana kapliczka. Zbudowana została na planie kwadratu o boku 1,60 m. Górną część wieńczyła mała wieżyczka o wysokości 4,50 m z krzyżem na

kompleksu szkolnego, a budynek - dziś Dom Dziecka im. S. Żeromskiego - funkcjonuje do dziś tuż obok domów nauczycielskich i szkoły. Trochę szkoda, że jego patronatem nie został H. Sienkiewicz, zachowała by się wtedy bowiem ciągłość historycznej tradycji placówek wychowawczych na Nowym Rokiciu.

Do ciekawostek zaliczyć trzeba i to, że podczas zabawy w „Parku Wenecja” w 1924 roku (a miał on wówczas nie najlepszą wśród łodzian opinię) 19-letnia Helena Kowalska - (późniejsza s. Faustyna) doznała tu objawienia, które zapoczątkowało jej drogę do świętości. Dokładnie nie wiadomo czy była to „Wenecja” czy też „Sielanka”, bowiem i tu i tam zachowały się zawieszane na starych topolach kapliczki, przy których ludzie modlą się, palą świeczki i przynoszą kwiaty.

szczyt. Na froncie (od strony zachodniej) na wysokości 1,80 m istniała duża wnęka, osłonięta oszkłoną i odpowiednio zamykaną ramą.

We wnęce tej została umieszczona figura Matki Bożej, przy czym przed figurą było miejsce na kwiaty i olejną lampkę. Po stronie północnej (od ul. Rejtana) w kwadratowej, otwartej wnęce umieszczono

obraz Matki Boskiej Gidelskiej, po stronie południowej (od ul. Cieszyńskiej) w podobnej wnęce obraz św. Michała Archanioła. Tylne ściany kapliczki (od strony wschodniej) ozdobiona była dużym, cementowym krzyżem. Kapliczkę otaczała żelazna balustrada. Zamykana furka znajdowała się od strony frontowej. Na zewnątrz przy narożnikach balustrady rosły cztery drzewa.

Kapliczką opiekowała się rodzina fundatorów. We wnęce przed figurą zawsze były świeże kwiaty, a w wigilie i święta Maryjne paliła się olejna lampka. - Trzeba w tym miejscu dodać, że Stare Rokicie należało wówczas jeszcze do parafii Podwyższenia Świętego Krzyża w Łodzi.

W 1906 roku wschodnią część Starego Rokicia (do toru kolei obwodowej)

przyłączona została do Łodzi, a droga wiejska otrzymała nazwę ulicy Obywatelskiej. Posesja fundatorów kapliczki oznaczona została numerem drugim.

W 1909 roku arcybiskup warszawski Wincenty Teofil Chościak Popiel erygował w Łodzi parafię św. Stanisława Kostki. Objęła ona południową część Łodzi oraz Stare i Nowe Rokicie.



(fot. archiwum)

Kapliczka - zdjęcie z czerwca 1931 r.

Wiosną 1910 roku proboszcz nowej parafii ksiądz Wincenty Tymieniecki w asyście duchowieństwa, przy licznych udziałach mieszkańców Starego i Nowego Rokicia dokonał uroczystego poświęcenia omówionej kapliczki i figury Matki Bożej.

W 1915 roku w granicach Łodzi znalazło się niemal całe Stare Rokicie. Poza miastem pozostał jedynie rejon dzisiejszej ulicy św. Franciszka.

W marcu 1930 roku powstała przy ul. Obywatelskiej 2 (obecnie 60) placówka urszulańska. Fundatorzy kapliczki - Maria i Teofil małżonkowie Przybył, których trzy córki wstąpiły do Zgromadzenia Sióstr Urszulanek ofiarowali Zgromadzeniu swój dom rodzinny z ogrodem i nieruchomością rolną. Nad przydrożną kapliczką opiekę przejęły ss. Urszulanki.

Przy końcu lat dwudziestych XX w. Magistrat m. Łodzi rozpoczął budowę głównego kanału kanalizacyjnego dla południowej części Łodzi. Kanał ten - przeprowadzany na długim odcinku linią ul. Obywatelskiej - miał połączyć rejon Pl. Reymonta z głównym kolektorem miejskim, przebiegającym przez zachodni skraj Starego Rokicia.

Wiosną 1931 roku zwrócono się do ks. bpa Tymienieckiego z prośbą o wyrażenie zgody na usunięcie kapliczki, stojącej w miejscu przyszłych prac kanalizacyjnych. Ordynariusz Łódzki wykorzystał tę sytuację dla poparcia budowy świątyni przy klasztorze Sióstr Urszulanek.

Po porozumieniu się z Przełożoną Generalną SS Urszulanek M. Urszulą Ledóchowską bp Tymieniecki zgodził się na rozebranie kapliczki pod warunkiem udzielenia pomocy Zgromadzeniu SS Urszulanek przy budowie świątyni. W zawartej w tym zakresie umowie Magistrat Łódzki zobowiązał się do wybudowania fundamentów przyszłego kościoła.

W czerwcu 1931 roku kapliczka została roze-

EDMUND ADAM JARZYŃSKI

O młynie Chachuła i dworku Fijałkowskich

Rzadko który z miłośników Łodzi zabłądzi w swych odkrywczych przechadzkach na ulicę Równikową, bo i taka jest w Łodzi. Uliczka to krótka, boczna ul. Dubois, tworząca trójkąt z dwiema krótkimi uliczkami Powiatową i Zabrzeżną. Znajduje się na niej po jednej stronie kilka parterowych domków, po drugiej, nad rzeczką Jasienią, duży, stary sad z murowanym dworkiem i wielkim podwórzem. Podwórce zamykają zabudowania gospodarcze, z frontu przed domem jest mały ogródek warzywny i brama wjazdowa. Dworek od ul. Dubois oznaczony jest numerem 77.

Budynek choć, nieciekawym pod względem architektonicznym, nie pozbawiony jest skromnych elementów dekoracyjnych. Wybudowany został z przeznaczeniem na młyn wodny, co jest tym dziwniejsze, że do najbliższego potoku jest co najmniej sto kroków. Kiedyś jednak, przez kilka wieków, płynęła tędy rzeczka zasilająca młyn w wodę.

brana, a figura Matki Bożej przeniesiona do kaplicy domu zakonnego.

Po sporządzeniu projektu budowy kościoła przez inż. arch. Wiesława Lisowskiego przystąpiono do budowy fundamentów. Prace w tym zakresie zostały zakończone późną jesienią 1931 roku.

Dnia 1 października 1933 roku - po dwóch latach budowy - bp Wincenty Tymieniecki konsekrował świątynię pod wezwaniem św. Urszuli Męczennicy. Równocześnie przeniesiono uroczyście do kościoła figurę Matki Bożej. W latach 1936-39 Zgromadzenie SS Urszulanek wybudowało obok swój nowy dom zakonny.

W październiku 1941 roku kościół został zamknięty, a w styczniu 1942 roku siostry musiały opuścić swoją nieruchomość. Uzyskały jednak zezwolenie na zabranie z kościoła wielkiego ołtarza, który po zdemontowaniu został przechowany w kościele św. Kazimierza na Widzewie. Na ołtarzu jednej z kaplic tego kościoła ustawiona została także figura Matki Bożej.

Nieruchomość przy ul. Obywatelskiej zajęła niemiecka militarna formacja - Państwowa Służba Pracy („Reichsarbeitsdienst”). W domu zakonnym urządzono lazaret. Istniały plany przebudowy kościoła na sale operacyjne. Na szczęście nie doczekały się realizacji.

Na początku 1945 roku Zgromadzenie SS Urszulanek objęło w posiadanie swoją nieruchomość. Do kościoła wróciła figura Matki Bożej.

W 1980 roku przy kościele erygowana została parafia pod wezwaniem św. Urszuli Męczennicy. Kardynał Józef Glemp dekretem z dnia 3 listopada 1983 roku ustanowił patronką kościoła i parafii Błogosławioną Urszulę Ledóchowską. Stuletnia figura Matki Bożej znajduje się na kościelnym chórze.

Miejsce to ma starą historię. Już Długosz wspomina, że w Chachułach jest biskupi młyn. Księgi rachunkowe kapituły krakowskiej z roku 1750 wyliczają aż 9 potoków, których wody pędzą 25 biskupich młynów, między innymi młyn Chachuła koło Chocianowic, który niegdyś posiadał folusz. Młyn należał do klucza pabianickiego, będącego własnością kapituły krakowskiej. Księgi nie mówią, w którym stał miejscu, można jedynie przypuszczać, że po każdym pożarze odbudowywano go tam, gdzie stał przedtem.

W aktach gminy Widzew w poszycie: Wykaz młynów z roku 1848 znajdujemy taki oto opis:

„Wieś, kolonia: Chachuły,
Właściciel: Ignacy Fijałkowski,
Rodzaj młyna: Drewniany, wodny,
Ilość kamieni: Dwa,

W którym roku wystawiony: Młyn ten od czasów niepamiętnych istnieje. Nowo odbudowany po spustoszeniu w 1833 roku, na starym miejscu”.

W relacji o stanie miasta z 1860 r. prezydent Traeger dokładnie opisuje „rzeczkę, która obok wsi Rokicie w powiecie sieradzkim wpada z lewej strony do stawu młyńskiego zwanego”. Rzeczka ta, Jasień, tworzyła cztery ongiś stawy: przy ulicy Przędzalnianej, Widzewskiej (Kilińskiego), Piotrkowskiej i koło młyńskiego na Rdzicin.

Do dziś zachowały się tylko dwa stawy: jeden przy ul. Przędzalnianej, obok ogródków działkowych, drugi, tzw. staw Geyerowski, przy ul. Piotrkowskiej - w latach 1965-1969 oczyszczony i obudowany. Jasień ujęta została w uregulowane koryto. Do ul. Wólczniańskiej płynie zakrytym kanałem, dalej otwartym, łącząc się na Starym Rokiciu z rzeczkami Karolewką i Olechówką.

Staw młyński Chachuły był płytki i niewielki, „szeroki do czterech łokci, brzegi (miał - przyp. mój E. A. J.) niskie, spadziste i nie rozlewał się, chociaż w czasie największych wezbrań”. Mimo że niewielki, staw ten był jednak zbiornikiem zapewniającym kołom młyńskim regularny napęd.

W aktach policmajstra miasta Łodzi znalazłem taki raport: „...od r. 1875 prowadził młynarz

Jan Fijałkowski z kolonii Chachuły proces przeciw fabrykantom z Wólki o zanieczyszczanie rzeczki, nad którą stał młyn. W pierwszej instancji wygrał, w drugiej wygrali fabrykanci, (900 rubli kosztów). Fijałkowski odniósł się do Sądu Najwyższego, który wyznaczył komisję, mającą sprawę definitywnie rozstrzygnąć. Komisja rozstrzygnęła na korzyść młynarza. Na skutek tej decyzji Ministerstwo poleciło fabrykantom złożyć do trzech miesięcy projekt zapobieżenia zanieczyszczaniu wód. W tej sprawie odbyło się w Magistracie posiedzenie pod przewodnictwem prezydenta Pieńkowskiego. Uznano termin trzymiesięczny za zbyt krótki i uchwalono prosić o przedłużenie go do roku.”

KAMIL NOWICKI

Lwowscy lotnicy nad Łodzią

Niewielu Łodzian wie, skąd wzięła się nazwa Ron-do Lotników Lwowskich na Nowym Rokiciu. A wiąże się ona z walkami w Łodzi w 1939 roku. Wg zawartych z Francją i Anglią porozumień mieliśmy stawić twardy opór około dwóch tygodni, po czym miała rozpocząć się ofensywa wojsk francuskich i brytyjskich odcinająca polski front.

III/6 Dyon Myśliwski w składzie 161 i 162 Eskadry Myśliwskiej miał swoje lotnisko pokojowe i bazę

Jak widać sprawa zanieczyszczania wód już przed stu laty była aktualna.

Korzystając z uszług pomocy prezydenta Pieńkowskiego postanowili fabrykanci grą na zwłokę storpedować wyrok sądu i decyzję ministerstwa. Oficjalnie próbowali drogi ugodowej. Przyjechali na miejsce pięknymi powozikami i zaproponowali Fijałkowskiemu odszkodowanie, jednak tak małe, że nie kryło nawet części kosztów sądowych, nie mówiąc o stratach materialnych. Fijałkowski uznał propozycję za kpiny i odszedł wzburzony. Zadowoleni i pewni siebie fabrykanci urządzili sobie piknik nad stawem. Zabawiali się puszczaniem „kaczek” po wodzie. „Kaczką” był srebrny rubel. Zakłady szły o to, czy rubel więcej razy odbije się od wody. Po sutym poczęstunku odjechali, nie żegnając się nawet z Fijałkowskim.

Fijałkowski próbował pracować przy zanieczyszczonej wodzie. Okazało się to jednak niemożliwe. Kwasy płynące z wodą żarły kamień i inne urządzenia młyńskie, a co gorsza szkodziły ludziom na oczy. Na dobitkę jednej wiosennej nocy rozszalała się burza o niebywałej sile. Masy wód wy-

stąpiły z brzegów, zerwały służę na stawie, zalały całą okolicę i wyszukały sobie nowe koryto z pominięciem stawu, który wysechł.

Jan Fijałkowski tak wziął sobie tę podwójną klęskę do serca, że rozchorował się i umarł. Stało się to w czasie pierwszej wojny światowej.

Po jego śmierci majątek uległ działom rodzinnym. Przy dawnym młynie i gospodarstwie został syn młynarza Jana, Zygmunt Fijałkowski, na młynie ostatni z rodu.

(Tekst archiwalny ze zbioru autora pt. „Tajemnice starych kamienic” Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972 r.)



(fot. archiwum)

Dziewiętnastowieczny dworek Fijałkowskich (nieistniejący)



(fot. archiwum)

Messerschmitt Bf 110C, najgroźniejszy przeciwnik polskich lotników nad Łodzią

nach wylądowań własnych oddziałów lądowych. Dla sprawniejszego działania jako formę walki przyjęto organizację tzw. zasadzek, pozwalających na szybsze znalezienie się w powietrzu w rejonach zagrożenia. Leżały one na kierunku natarcia wroga na oddziały Armii Łódź.

Dowództwo dyonu III/6: dowódca - mjr pil. Stanisław Morawski, oficer taktyczny - por. pil. Tadeusz Jeziorowski, oficer techniczny - ppor. techn. Władysław Gander, oficer gospodarczy - ppor. Falkowski, lekarz - ppor. Stanisław Pokrzywnicki, szef łączności - st. sierż. Wierski. Dowództwo miało do dyspozycji 31 pojazdów mechanicznych obsługujących obie eskadry (1611162).

161 Eskadra Myśliwska (16 pilotów): d-ca kpt. pil. Władysław Szczęśniewski, z-ca d-cy por. pil. Władysław Goettel. Godłem jednostki malowanym na kadłubie był uskrzydłony gronostaj w kolorze białym z czerwonym skrzydłem.

162 Eskadra Myśliwska (15 pilotów): d-ca por. pilot Bernard P. Groszewski, z-ca d-cy por. pil. Jan Wiśniewski. Godłem jednostki był malowany na kadłubie gronostaj w kolorze białym z niebieskim skrzydłem.

Kalendarium działań III/6 Dyonu w rejonie działań Armii Łódź (1- 6.09.1939):

- 1.09.1939 - Rozkaz operacyjny nr I. Zadanie organizacja lotniska w Ksawerowie.

- 2.09.1939 - Przed południem walki przebiegały w rejonie dworca Łódź Kaliska. Największa bitwa powietrzna na łódzkim nie-

bie, uważana przez historyków niemieckich za najbardziej zaciętą w pierwszych dniach wojny, rozegrała się po godz. 16.00. Polscy lotnicy musieli stawić czoła nowej wyprawie bombowej Luftwaffe. Na pomoc kolegom przybyły trzy PZL II ze 161 Eskadry z zasadzki w Zduńskiej Woli. Wśród tej trójki był por. pil. Jan Dzwonek ranny w poprzednim starciu. Niedługo walczył, celna seria z Bf-110 zamieniła jego samolot w ognistą kometę lecącą do ziemi! Ppor. Głównyński tak wspomina tę chwilę: „*Wtem błysk i płomień. Chryste! Nasz się pali! Dzwonek tam siedzi! Był na zasadzce, przyszedł nam z pomocą, a teraz sam leży. Może jeszcze wyskoczy? Ale ognista kometa ciągnąca za sobą ogień i dym idzie do ziemi! Nagle rozkwitł biały jedwab spadochronu. Bogu dzięki. Co to? Strzelają do niego Messerschmitty? Na spadochronie?! I najbliżsi rzucili się na ratunek, młody Malinowski ma zbrodniarza na celowniku i daje mu ciąg! Niemiec dał gazu do ucieczki przed karą, która go nie ominęła.* Ppor. Dzwonek wylądował na polu niemieckiego kolonisty z przestrzeloną ręką i spaloną twarzą. Sanitarka odleciał do Warszawy. W tym dniu zestrzelono 4 niemieckie samoloty, zginęło dwóch polskich pilotów, jeden ciężko ranny, 7 samolotów zostało zniszczonych.

- 3.09.1939 - Z Woli Wężykowej wystartował

kpr. Urbańczyk ze 162 Eskadry i w krótkim starciu nad linią frontu zestrzelił samolot obserwacyjny Hs 126. W południe doszło do ciężkich walk z wyprawą bombową w rejonie miejscowości Chojnie koło Sieradza. Dyon w tym dniu wykonał 24 samolotowozadania.

- 4.09.1939 - III/6 Dyon ze stanem 9 myśliwców PZL (w tym pięć PZL-7) w dniu 4.09 był jedyną jednostką myśliwską nad całym obszarem operacyjnym na południowym froncie! Przeciw nim Luftwaffe przeciwstawiła 700 samolotów 4 Floty! W walkach polscy lotnicy stracili 1 pilota, 7 samolotów, 1 pilot został ranny. Mimo oczywistego zdekonspirowania podstawowego lotniska Widzew-Żdżary dyon nie otrzymał rozkazu zmiany lotniska.

- 5.09.1939 - Sytuacja sprzętowa dyonu wobec braku możliwości uzupełnienia stawała się tragiczna. Z 23 samolotów po trzech dniach zostało tylko 5 sprawnych. Ciągłe wyczekiwanie na rozkaz zmiany lotniska i straty w dniu poprzednim nie sprzyjały działalności bojowej. Wieczorem otrzymano wreszcie

rozkaz przebazowania na lotnisko Drwalew k. Grójca. Natychmiast przystąpiono do ewakuacji. Tak kończył się okres bohaterskich zmagania III/6 Dyonu na łódzkim niebie w 1939 roku.

- 6.09.1939 - Ostatnim łódzkim epizodem związanym z lwowskimi pilotami była wyprawa ppor. Kórnickiego, który z plut. Domagała i majstrem Żubrzyckim przedostał się na lotnisko Widzew po uszko-

dzzonego PZL-11. Po prowizorycznej naprawie przebazowano samolot do Drwalewa. Trzy samoloty Heinkle, które zaatakowały III/6 Dyon w rejonie Grójca, zostały zestrzelone.

Jak potoczyły się dalsze losy III/6 Dyonu Lwowskiego? Obie Eskadry włączono do Brygady Pościgowej. 161 Eskadra walczyła jak i cała brygada pościgowa z rejonu sieci lotnisk na południowym wschodzie. 162 Eskadra uzupełniona sprzętem z rozwiązanych jednostek lotniczych przy pozostałych armiach na swych przestarzałych PZL-7 pełniła rolę Eskadry Rozpoznawczej. Łącznie od 1-17 września przed przebazowaniem do Rumunii wysiłek bojowy eskadr przedstawiał się następująco: zestrzelenie 12 samolotów niemieckich, straty: 5 poległych, 3 rannych, 17 samolotów zniszczonych.

Wśród przytaczanych tu nazwisk w późniejszym okresie II wojny św. nazwisko ówczesnego ppor. Głównyńskiego zrobiło się bardzo znane. Po kampanii wrześniowej, ewakuacji do Francji, walczył tam w 1/145 Dywizjonie Myśliwskim, a po kapitulacji Francji znalazł się w Anglii w składzie 302 Dyw. Myśliwskiego. Z początkiem 1942 został adiutantem gen. broni Wł. Sikorskiego.

(przedruk z „Kultura i Biznes” z 4/2002)

Jedzie pociąg z daleka...

W listopadzie, ubiegłego roku przypadła setna rocznica powstania linii kolejowej warszawsko-kaliszkiej. Nowa linia, biegnąca przez Łódź, łączyła ją m.in. z dużymi ośrodkami przemysłu- włókienniczego, jak Zgierz, Pabianice, Zduńska Wola.

Sprawa linii kolejowej do Kalisza ciągnęła się od lat osiemdziesiątych XIX wieku. Władze rosyjskie ze względów strategicznych nie wyrażały zgody na budowę kolei w kierunku granicy pruskiej. Dopiero w 1900 roku w tej kwestii zmieniły swoje stanowisko. Wtedy też założono Towarzystwo Warszawsko-Kaliszkiej Kolei Żelaznej, w skład którego weszli finansisci łódzcy i warszawscy. Prezesem Towarzystwa został baron Leopold Kronenberg (junior) z Warszawy.

Budowniczości kolei zamierzali odcinek linii pomiędzy Zgierzem i Pabianicami poprowadzić najkrótszą drogą przez prywatny majątek Brus, a więc w znacznej odległości od granic ówczesnej Łodzi, przy czym lokalizację dworca kolejowego dla Łodzi przewidzieli właśnie w Brusie. Zamiarom budowniczych, sprzeciwili się zdecydowanie przedstawiciele władz miejskich i przemysłowcy łódzcy. Domagali się oni, ażeby dworzec usytuować na wschodnich krańcach lasu miejskiego, a więc dużo bliżej śródmieścia Łodzi.

Ostatecznie zatwierdzony został projekt komisji obywatelskiej, powołanej specjalnie dla dokładnego oznaczenia miejsca pod budowę dworca. Komisja, po dokładnym zbadaniu terenu, uznała, że nowa linia kolejowa na obszarze Łodzi winna być poprowadzona wzdłuż wschodniego krańca lasu miejskiego (dziś park im. J. Piłsudskiego na Zdrowiu), przy czym przewidziano budowę czterech wiaduktów kolejowych: nad ul. Konstantynowską (Legionów), przy ul. Benedykta (6 Sierpnia), przy ul. Andrzeja (Struga) i przy ul. Karolewskiej. W rzeczywistości zaś ze względów oszczędnościowych zbudowano tylko dwa wiadukty: nad ulicami Konstantynowską i Karolewską.

Budowa linii kolejowej przebiegała sprawnie. Całością prac kierował inżynier Kazin. W porównaniu z koleją fabryczno-łódzką rozstaw szyn na nowej linii był nieco szerszy. Przy ich układaniu zastosowano nowość techniczną: zamiast dotąd używanych 9-metrowych szyn, kładziono szyny 15-metrowej długości. Wszystkie budynki stacyjne ulokowano w sporym oddaleniu od centrum miast. Dworce w Łodzi i Kaliszu otrzymały indywidualny wystrój architektoniczny oraz kryte perony. Pozostałe stacje zbudowano z czerwonej cegły w jednym typie.

Budynek Dworca Kaliskiego w Łodzi wzniesiono w 1902 roku na nasypie pomiędzy dwoma torowiskami. Projektantem był architekt warszawski, Czesław Domaniewski. Obiekt tworzył zwartą bryłę z oryginalnymi bastionami wysuniętymi w stronę przybywającego pociągu. Fasadę budynku urozmaicała wieżyczka z zegarem. Szerokie schody prowadziły do wnętrza gmachu.

Na całej, trasie nowej linii kolejowej najważniejszą stacją znajdowała się w Łodzi. Tutaj stanęły zabudowania warsztatów kolejowych, parowozownia oraz domy mieszkalne służby stacyjnej.

W sobotę 15 listopada 1902 roku spełniło się wreszcie pragnienie mieszkańców wielu miast i miasteczek - nastąpiło uruchomienie kolei warszawsko-kaliszkiej. Tłumnie zgromadzona na peronach stacyjnych publiczność entuzjastycznie witała zbliżający się od strony Kalisza pociąg złożony z czterech wagonów, wypełniony przedstawicielami władz i założycielami kolei oraz dziennikarzami. Otwarcie nowej linii znalazło szerokie odbicie w prasie. W reportażach wskazywano na jej znaczenie dla rozwoju miast przy niej położonych. W „Kurierze Warszawskim” pojawił się nawet żartobliwy wierszyk, którego fragment przytaczam:

Cosik dudni, poświstuje,
Niby z nogi przytupuje.
Krzesze ognie, sypie skrami
Niczym w tańcu podkówkami.
Dziwują się starzy, dzieci,
Pokrzykając: „Kolej leci!”

Pociągi jeździły tylko w dzień, na noc zatrzymywały się w Łodzi. Początkowo kursowały tylko dwa zestawy dziennie. Chętnych do podróżowania było znacznie więcej niż miejsc w pociągu, zwiększono więc liczbę wagonów, a następnie uruchomiono drugą parę pociągów. Przebiegały one z „zawrotną” szybkością... 25 km na godzinę.

Nowa droga żelazna, wiodąca przez Łódź, stwarzała ogromne bodźce dla dalszego rozwoju Łódzkiego Okręgu Przemysłowego. Dzięki niej zmniejszyły się znacznie koszty przewozu surowców i wywozu wyrobów gotowych z fabryk położonych w bliskości linii kolejowej. Kolej warszawsko-kaliszka, której szlak biegł równolegle do traktu drogowego, wyparła - co oczywiste komunikację dyliżansową skierowaną na boczne trasy, gdzie długo jeszcze służyła podróżującym.



(fot. archiwum)

Dworzec Kaliski w Łodzi

Przyczynek do działalności wystawienniczej Zygmunta Bartkiewicza i kolekcjonerów dzieł sztuki w Łodzi na przełomie XIX i XX stulecia

Postać Zygmunta Bartkiewicza (1867-1944) literata, amatora malarza związanego z Łodzią w latach 1896-1901 była obiektem zainteresowania zarówno literaturoznawców: J. Bartnickiej i J. Tyneckiego, jak i historyków sztuki: H. Zawilskiej i M. Motuckiej. Wraz z A. Rynkowską, autorką książki „Ulica Piotrkowska” pisały o Z. Bartkiewiczu jako właścicieli pierwszego stałego przedsiębiorstwa przyjmującego w komis i sprzedającego obrazy i dzieła sztuki - określanego przez współczesną mu prasę „Salonem Artystycznym”. Z postacią Z. Bartkiewicza związana jest opinia o Łodzi jako „złym mieście” zaczerpnięta z tytułu jego szkicu publicystycznego. Przez dziesięciolecie to negatywne określenie rozciągnięto na ogół zjawisk życia społecznego i kulturalnego naszego miasta. Autor swój tekst napisał z pozycji inteligenta pochodzenia szlacheckiego niezadowolonego z atmosfery „miasta pracy”, w którym musiał przebywać i zarabiać pilnowaniem handlu obrazami, zamiast cały czas spędzać w kawiarniach i „salonach towarzyskich”. Podobnie rozczarowani byli redaktorzy pism warszawskich przelotnie przebywający w Łodzi jak i przedstawiciele różnych firm handlowych licznie odwiedzający robotnicze miasto. Przesiadując w lokalach gastronomicznych i obracając się w kręgach ludzi interesu stykali się najczęściej z grupą „złotej młodzieży”, oszustów, kombinatorów i „wekslarzy”, których w mieście „błyskawicznych fortun i upadłości” było szczególnie dużo. Boczne ulice od Piotrkowskiej i dalekie dzielnice wypełnione szarą masą robotników widywali przelotnie czerpiąc z nich powierzchowne wrażenia.

Z. Bartkiewicz, syn praktykującego w Pabianicach i Łodzi lekarza, ukończył w Warszawie szkołę średnią oraz około 1890 r. Wyższą Szkołę Handlową Leopolda Kronenberga. Po powrocie do domu zaczyna obracać się w kręgach łódzkiej inteligencji pozostając prawdopodobnie na utrzymaniu ojca. Nie jesteśmy w stanie określić motywów jakim kierował się Z. Bartkiewicz otwierając w Łodzi punkt sprzedaży obrazów, zwany „salonem”. Handlowa edukacja, finansowa pomoc ojca, związki z łódzką inteligencją i burżuazją finansową, znajomość jej potrzeb oraz sprzyjająca sytuacja gospodarza odegrały zapewne znaczącą rolę. Obraz mecenas sztuki, pragnącego

zaspokoić artystyczne ambicje w działalności popularyzatorskiej, pozostaje w sprzeczności ze wspomnieniami zawartymi w liście pisanym ok. 1930 r. do p. Mińskiej: „Dobry to, interes taki sklepik z antycznym towarem, bo zawsze są tacy, co muszą sprzedać i tacy co mogą kupić i w tym wypadku nie liczą się z ceną. Mimo mojego całego wstrętu do handlu zawsze o takim sklepiku myślałem”. Zakładając „sklepik” Z. Bartkiewicz uwzględnił zapewne wyniki finansowe sporadycznie dotychczas organizowanych w naszym mieście, krótkotrwałych akcji sprzedaży



(fot. archiwum)

Zygmunt Bartkiewicz
- w trakcie odsiadania kary w „cyrkule”
w Grodzisku Mazowieckim

obrazów w księgarniach, zakładach fotograficznych i salach „Grand Hotelu”. Podkreślając odmienny charakter swojego przedsięwzięcia używał w ogłoszeniach prasowych i reklamowych określenia „stały salon”. Uroczyste otwarty i poświęcony przez księdza w dniu 3 grudnia 1895 r. otworzył swoje podwoje przy ul. Benedykta 1 (obecnie ul. 6 Sierpnia) w przystosowanym do celów wystawowych lokalu handlowym. Prawdopodobnie ze względu na trudności finansowe jakie przeżywał właściciel, po trzech latach został przeniesiony 26 marca 1899 r. na ul. Zawadzka 3 (obecnie A. Próchnika), a rok później, w marcu 1900 r. do innego pomieszczenia w tymże domu. Pewne poczynania organizacyjne polegające na wprowadzeniu stałego rocznego abonamentu w formie 5 rublowych kart wstępu, dających prawo do losowania premii w postaci wystawionych obrazów wskazują, że Z. Bartkiewicz wzorował się na me-

todach stosowanych przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w galerii obrazów prowadzonej w Warszawie. Z niej też wypożyczał na zasadach komis su obrazy, podobnie jak z salonu Aleksandra Krywulca czynnego w latach 1880-1906 w salach „Hotelu Europejskiego”. Prawdopodobnie kontakty Z. Bartkiewicza z rodziną Krywultów istniały na gruncie towarzyskim już w 1896 r. Jego narzeczona - Mieczysława Trapszo (późniejsza wybitna aktorka M. Ćwiklińska) była bratanicą żony Jana Krywulca, syna właściciela salonu.

Brak polskiej i niezachowanie w bibliotekach egzemplarzy niemieckiej prasy nie pozwala na prześledzenie działalności Bartkiewicza w dwóch pierwszych latach istnienia „salonu”. Jedynie na łamach „Rocznika artystyczno-literackiego” pozwolono sobie na chwilę szczerości pisząc „zwiedzający łódzcy lodzer-

mensze podziwiali malowidła tylko na płótnie cmokając na widok cen, jaki to ciężki pieniądz”. Wydarzeniem był pokaz dwóch obrazów Wacława Przybylskiego o tematyce historycznej - Czarnecki oraz Kościuszko. Z. Bartkiewicz starał się, jednakże bez rezultatu sprowadzić z Zachęty do Łodzi część wystawy pośmiertnej Juliusza Kossaka. Pismo „Ognisko rodzinne” wymieniając oferowane w salonie obrazy malarzy: N. Altmana, A. Kędzierskiego, Miłozsa, J. Kotarbińskiego, S. Jareckiego i H. Piątkowskiego zachęcało czytelników do zapoznania się z opisywanymi dziełami „W ogóle wystawa przedstawia się nader interesująco i radzimy ją zwiedzić, tym bardziej że cena [biletu - J. S.] przystępna - 20 kopiejek pozwala na to każdemu mniej więcej inteligentnemu mieszkańcowi miasta”.

We wrześniu 1899 r. Z. Bartkiewicz odczuwał trudności finansowe, które zbiegły się w czasie z ofertą sprzedaży salonu Józefowi Pawłowskiemu - malarzowi znanemu wyłącznie z działalności handlowej. Wspólnie z krytykiem Franciszkiem K. Martynowskim założył w 1888 r. „Stowarzyszenie Warszawski Salon Artystyczny” objeżdżając z nim teren zaboru rosyjskiego. W maju 1889 r. zorganizował w łódzkim Grand Hotelu wystawę złożoną z około 100 obrazów. W czasie jej trwania do końca czerwca przeciętna liczba zwiedzających sięgała w dni świąteczne 500 osób. Po jedenastu latach oceniając Łódź za najlepszy obok Warszawy rynek zbytu dla dzieł sztuki, powrócił J. Pawłowski do naszego miasta otwierając około 25 X 1899 r. filię swojego warszawskiego salonu określaną na reklamach jako „Wystawa Sztuk Pięknych”. Jej prowadzenie powierzył malarzowi Kazimierzowi Krzyżanowskiemu, którego próbę zorganizowania sprzedaży obrazów w Kaliszu latem tegoż roku komentował redaktor gazety „Goniec Łódzki” pisząc, że udało mu się tam sprzedać zaledwie pięć prac. Odtąd prawie przez rok istniały w Łodzi dwa konkurujące ze sobą punkty sprzedaży dzieł sztuki, do których sporadycznie przyłączał się Konstanty Woźniak wydawca „Kraju w obrazach”, „Galicji w obrazach” i albumu pamiątkowego Henryka Sienkiewicza. On też urządził we wrześniu 1899 r. wystawę złożoną z dziesięciu prac Stanisława Batowskiego stanowiących oryginały ilustracji z wydawnego przez siebie wydawnictwa z bohaterami powieści pisarza.

Powyższe zmiany skłoniły Z. Bartkiewicza do poszerzenia liczby artystów, których prace oferował do sprzedaży, powierzania od listopada 1899 r. kierownictwa salonu Otto Bauerowi, młodemu malarzowi żydowskiemu i co dotychczas nie było praktykowane - ogłoszenia w piśmie „Ognisko Rodzinne” listy osób, które zakupiły niestety w nieokreślonym czasie obrazy w salonie. Wymieniono tam tytuły 19 obrazów - 12 autorów kupione przez 14 mieszkańców Łodzi. Dalsze próby ratowania egzystencji salonu, to obniżenie od stycznia 1900 r. ceny biletów rocznych dających prawo wolnego wstępu i losowania premii do sumy trzech rubli. Zyczliwa poczynaniem Z. Bartkiewicza prasa, wymieniając tytuły i autorów obrazów mających w drodze losowania stać się własnością łodzian jak: W. Przybylskiego „Czarnecki”, Sz.

Rutkowskiego „Krajobraz”, W. Wejcherta „W polu” i W. Betleya „Odaliska” wyrażała nadzieję, że ta akcja wspomocze działający już szósty rok i zasługujący na poparcie salon. W styczniu 1900 r. L. Pilichowski eksponował dwa swoje obrazy „Farbiarz” i „Poranek” poprzednio wystawione do sprzedaży w warszawskim Salonie Krywulta. W lutym pokazano prace Włodzimierza Tetmajera i ponownie Stanisława Batowskiego o tematyce historycznej ze scenami z „Pana Włodyjowskiego”. W ciągu kilku dni do 3 lutego obejrzały je 582 osoby, co wskazuje na znajomość dzieła, Henryka Sienkiewicza jak i atrakcyjność scen z historii Polski wśród patriotycznie nastawionych łodzian. Nie wiadomo czy te same motywy kierowały postępowaniem złodzieja-recydywisty Świderskiego, który w czasie zwiedzania salonu zdjął ze ściany obraz i wyszedł z nim na ulicę. Pilnując salonu określany wówczas mianem „służącego” zauważył brak obrazu i dogonił na ulicy złodzieja, narażając go po procesie sądowym na wyjątkowo wysoki wyrok 6 lat więzienia. Niestety notatka prasowa nie zawierała nazwiska autora i tytułu obrazu, wymieniając jedynie jego cenę - 36 rubli, co było jedynym wypadkiem w historii handlu obrazami w Łodzi. Szkoda, że pieniądź będący najczęstszym tematem rozmów łodzian nie był ujawniony przy obrocie dziełami sztuki. W marcu 1900 r. redaktor „Gońca Łódzkiego” pisał: „ruch sprzedaży” w salonie trwa ożywiony, gdyż salon po pięciu latach istnienia zdołał sobie zapewnić w sferach tutejszych, to zaufanie, że skromne potrzeby artystyczne naszej publiczności bywają zaspokojone bezpośrednio w salonie łódzkim”. Oferowano wówczas do sprzedaży obrazy: S. Fabiańskiego, W. Gersona, J. Karmańskiego, W. Przybylskiego i W. Tracowskiego. Pomiędzy kolejnymi obiektami spotykamy również duże cztery gobeliny wykonane techniką żakardu udoskonalonego przez sławnego wówczas wynalazcę Jana Szczepanika, a w maju 1900 r. pokazano indywidualną wystawę batalisty Wacława Tracowskiego złożoną z 25 obrazów przedstawiających sceny z wojny Napoleona z Rosją w 1812 r. i Rewolucji 1831 r. W czerwcu można było oglądać prace wypożyczone z warszawskiej Zachęty: O. Bonnańskiej, A. Kędzierskiego, A. Piotrowskiego, W. Wankie i K. lub L. Wasilkowskiego.

Nie udało się ustalić co pokazał Z. Bartkiewicz jesienią 1900 r., prawdopodobnie wobec sukcesów konkurencyjnego punktu sprzedaży nie dysponował nowymi atrakcyjnymi obrazami mogącymi znaleźć nabywców. Nie bez wpływu na działalność salonu pozostawał kryzys finansowy zapoczątkowany na terenie Łodzi w lipcu tegoż roku. Od 12 grudnia 1900 r. urządzili w salonie swoje indywidualne wystawy dwaj zaprzyjaźnieni miejscowi malarze: Otto Bauer kierujący salonem w zastępstwie Z. Bartkiewicza i Lech (Noel) Hirszenberg. Pierwszy przedstawił 30 pejzaży z okolic Inowodza, a drugi studia z Rzymu i liczne inne określone przez prasę jako „modernistyczne”. Pragnąc ratować prowadzony w salonie handel obrazami, właściciel obniżył w grudniu tegoż roku ceny biletów wstępu jak i wystawionych obrazów co prasa oceniła, że „idzie za biegiem czasów obecnych a obrazy chce udostępnić na podarki gwiazd-

Plan Rudy Pabianickiej

PLAN Z 1937 ROKU





Sulejów - Podklasztorze

fot. Daniel Buczyński



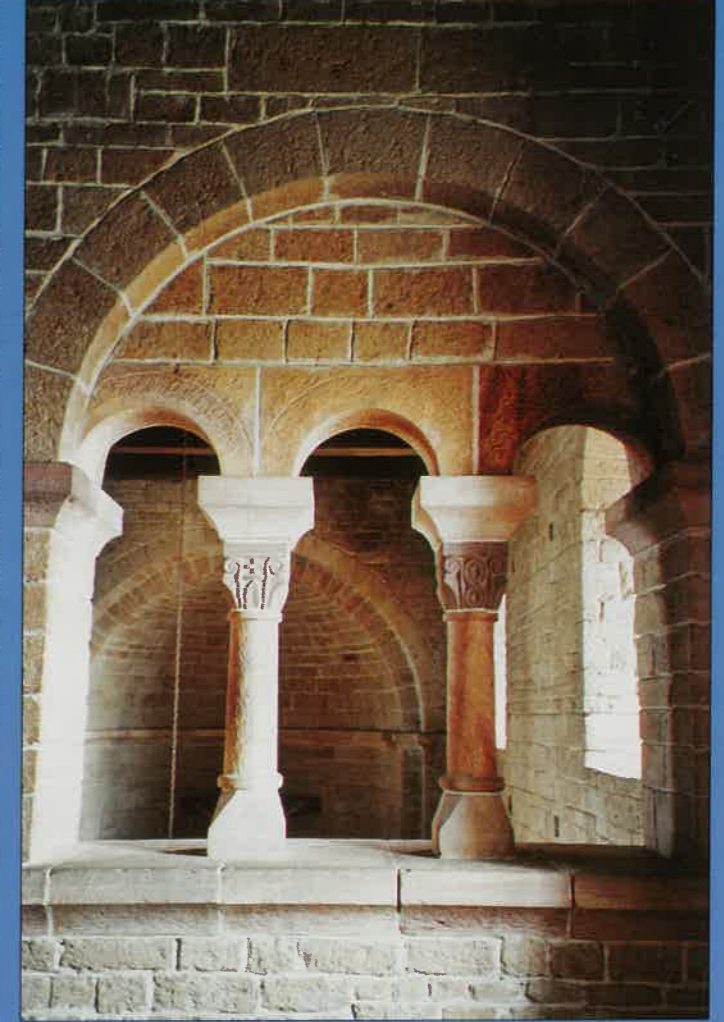
Tomaszów Mazowiecki - cmentarz żydowski

fot. Mirosław Jaskulowski



Inowłódz n/Pilicą - romański kościół św. Idziego

fot. Wilhelm Starzanowicz



Wnętrze kościoła św. Idziego w Inowłodzu

fot. Izabela Nowakowska

Klub Fotograficzny przy CFK PTTK prezentuje

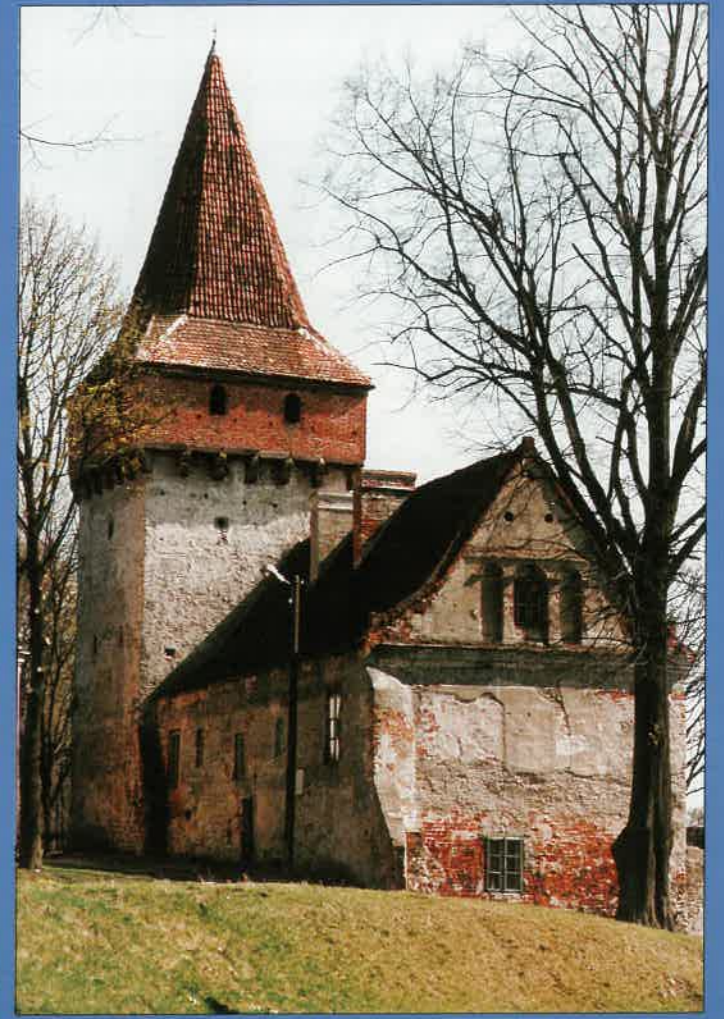


Tomaszów Mazowiecki - cmentarz żydowski

fot. Iza Śródłowska

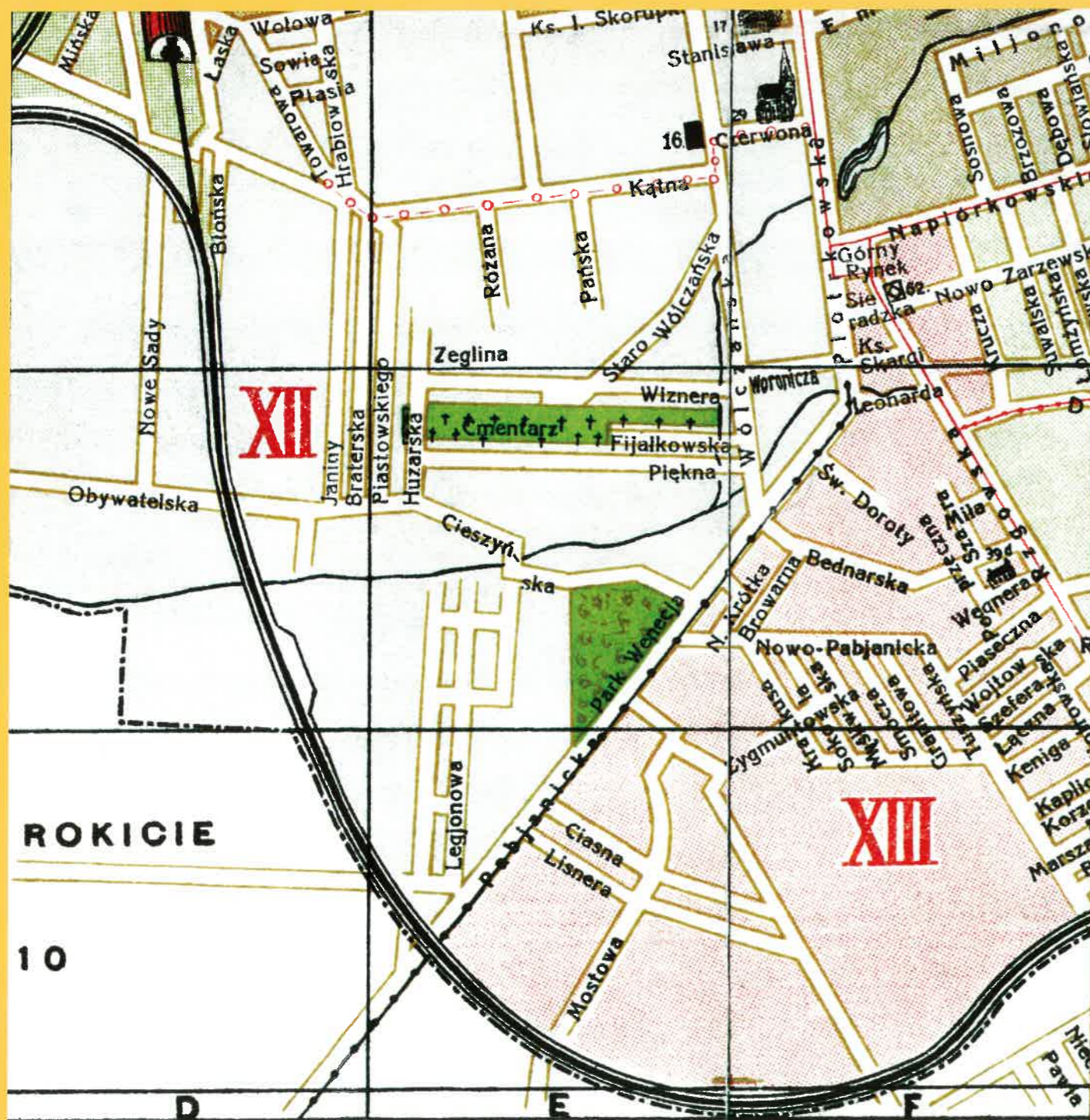


Tomaszów Mazowiecki - kamienica fabrykancka rodziny Knothe (obecnie siedziba sądu) *fot. Inga Nowakowska*



Sulejów. Podklasztorze Cystersów. Baszta Opacka, arsenał *fot. Ryszard Śmiech*

Plan Rokicia z 1925 roku



udostępniony ze zbiorów J. Barańskiego

Objaśnienie znaków.	
	Kol. żelazne
	Kol. dojazdowe
	Tramwaje miejskie
	Urzędy
	Szpitale
	Teatry
	Boiska sportowe
	Kinoteatry
	Straże ogniowe
	Hotele
	Wieżenia
	Rzeźnie
	Gazownia i Elektr.

kowe". Prawdopodobnie już po świętach Bożego Narodzenia, salon nie wznowił działalności. Z. Bartkiewicz wyjeżdżający w lutym 1901 roku na studia za granicę jest już określany przez gazety jako, były właściciel salonu artystycznego.

W kręgu mecenatu artystycznego w Łodzi uczestniczyli głównie ci, których ze względu na nieprzypadkowy dobór twórców posiadanych obrazów, jak i ich liczbę możemy zaliczyć do grona kolekcjonerów. Ich nazwiska często występowały na łamach prasy jako inicjatorów wystaw dzieł sztuki, konkursów na projekty plakatów, opiekunów artystów i fundatorów pomocy materialnej w postaci stypendiów.

Kilka zapomnianych postaci zasługuje na specjalną uwagę. Jeżeli za decydujące przyjmujemy kryterium ilościowe, to najwybitniejszym kolekcjonerem malarstwa był przed 1918 r. Wilhelm Lurkens. Właściciel od ok. 1884 r. fabryki trykotaży przy ul. Spacerowej (obecna Al. Kościuszki), wybudował około 1910 r. przy fabryce trzykondygnacyjny pałacyk. Po 1950 r. mieścił się w nim pod nr 33/35 popularny dom związków twórczych. Znajdujące się w nim sale swoją powierzchnią i wysokością sięgającą dwóch kondygnacji wskazują na przeznaczenie pałacyku dla galerii obrazów. Rozwieszane były na ścianach o prawie sześciometrowej wysokości, a dostęp do nich umożliwiały biegnąca na trzecim piętrze galeryjka. Na głównej klatce schodowej dwudzielne okno posiada witraż z postaciami młodych kobiet podpisanych MALEREI i PLASTIK.

O właścicielu pałacyku jak i zbioru obrazów wiadomo niewiele. Urodzony w 1853 r., przybył do Łodzi w 1880 z Eupen (miasto koło Aachen, obecnie na terytorium Francji) i tu poprzez związek małżeński objął kierownictwo jednej z fabryk jedwabiu, aby w końcu XIX wieku dojść do posiadania własnej. Jako wyznanie podał „katolik”, jednak brak przekazów o jego kontaktach ze środowiskiem polskim. Również nie współpracował przy urządzaniu wystawy w 1916 r., na której pokazał swój zbiór obrazów. Obejmował on 43 obiekty za wyjątkiem dwóch, wszystkie prezentujące malarstwo niemieckie i zachodnioeuropejskie. O poziomie kolekcji świadczą nazwiska kilku autorów: Johna Constable, Edgara Degas, Auguste Renoira, Alfonsa Sisleya czy Hansa Thomy. Można tylko wyrażać żal, że dzieła tak wybitnych artystów opuściły Łódź, prawdopodobnie wkrótce po 1920 r., czyli po śmierci W. Lurkensa, która nastąpiła 22 II 1920 r.

Nie są znane początki kolekcjonerstwa barona Juliusza Heinzla (1860-1922), który wraz z zakupionym zamkiem w Coburgu w północnej Bawarii nabył prawo do używania tytułu barona von Hohenfels. Był synem również Juliusza - jednego z pierwszych przemysłowców, który zaczął od pracy ręcznego tkacza przed 1861 r., a w 1876 r. miał około 350 krosien mechanicznych przy ul. Piotrkowskiej 104. W 1896 r. już stał pałac przy Piotrkowskiej (obecna siedziba władz miasta) w swojej pierwotnej formie rozdzielony krata, za którą znajdowała się tkalnia wyrobów wełnianych. Po ukończeniu ok. 1885 r. Politechniki w Rydze, kierował fabryką, równocześnie działając

w licznych towarzystwach. Dzięki niemu powstały tramwaje podmiejskie, jak i katedra łódzka. Pamięć o jego pasji kolekcjonerskiej przetrwała długie lata, skoro w 1938 r. Stanisław Rachalewski pisał „Szczególnie interesował się sztuką piękną i opiekował bracią artystyczną. Zgromadził też bezcenne zbiory sztuk pięknych”. Nie zachowały się relacje o Heinzlu jako mecenasie pomagającym artystom, natomiast świadectwo jego kolekcjonerskich zamiłowań stanowi zestaw 34 obrazów pokazanych w 1916 r. Dziesięć prac artystów polskich i równie wybitnych nazwisk obcych, pozwala wysoko ocenić zbiór. Są to jedne z najlepszych prac znanych artystów, których dobór świadczy o J. Heinzlu jako zbieraczu. Nie jest możliwe, aby nabył ten zbiór w całości, musiał go stopniowo kompletować, co podobnie jak dalsze jego losy wymaga szczegółowych badań. Kolekcja umieszczona była prawdopodobnie w pałacu przy ul. Piotrkowskiej 104. Wobec trudności finansowych, które podobnie jak cały przemysł łódzki przeżywała po 1915 r. rodzina Heinzłów, pozbywano się niektórych obrazów. Resztki pozostały jeszcze do drugiej wojny światowej, ponieważ Marian Minich w swojej „Szalonej galerii” (Łódź 1963) pisał: „Milicja około połowy 1946 r. przekazała kilka dobrych obrazów, które znajdowały się w byłym pałacyku barona Heinzla”.

Lekarz Maksymilian Cohn [Kon] (1850-1924) wypożyczył na wystawę w 1898 r. „kilkanaście sztychów grafików angielskich”. W tym samym roku prasa doniosła, że „rzadkie miedzioryty właściciel p.T. złożył w Salonie Artystycznym [własność Z. Bartkiewicz], gdzie można je oglądać wskutek zapytań czytelników”. Inną wiadomością o kolekcjonerstwie grafiki w Łodzi była zapowiedź organizacji „wystawy sztychów ze zbiorów fabrykantów”. Przez kwiecień 1913 r. systematycznie ją reklamowano, aby 15 maja dokonać otwarcia w Muzeum Miejskim. W bliżej nieokreślonym czasie M. Cohn przekazał zbiór swemu krewnemu Zenonowi Kon - dyrektorowi banku. Na wystawie ze zbiorów prywatnych eksponował on w 1916 r. - 34 miedzioryty wyłącznie sztycharzy angielskich.

Brak wiadomości o zainteresowaniach kolekcjonerstwem grafiki przez Henryka Karola Grohmana (1862-1939), właściciela zbioru ok. 1300 obiektów przekazanych w 1939 r. Gabinetowi Rycin Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Monografistka kolekcji - W. M. Rudzińska określa rok 1904, jako początek zbioru nie łącząc go z żadnym z powyżej wymienionych faktów. Porównanie spisu zamieszczonego w katalogu wystawy z 1916 r. z dołączonym do artykułu W. M. Rudzińskiej wykazem 100 grafik ze zbioru K. Grohmana nie wskazuje na obecność w tym ostatnim obiektów z kolekcji Z. Kona. Karol i Leon Grohmanowie uczestniczyli w wystawie w 1916 r. jako „pionierzy fotografii amatorskiej”, obok prac p. Solowiejczyka, który pokazał piękne portrety i fotografa ukrywającego się pod pseudonimem „Ekdar”, prezentującego zdjęcia fasad architektonicznych budynków łódzkich.

(Fragmenty z: „Artyści, obrazy i zbieracze w Łodzi do 1918 roku” Łódź 1991)

Henryk Grohman - mecenas i kolekcjoner

Urodził się 2 listopada 1862 roku w Łodzi. Otrzymał staranne wykształcenie, ukończył V Gimnazjum w Warszawie, Wyższą Szkołę Włókienniczą w Szwajcarii, a praktykę przemysłowo-handlową w Anglii. Po śmierci ojca objął kierownictwo całych Zakładów Grohmana, stając się wybitnym przemysłowcem i finansistą. W Zjednoczonych Zakładach K. Scheibler i L. Grohman stał na czele Zarządu. Był współzałożycielem Łódzkich Kolei Elektrycznych (tramwaje miejskie, 1896) i Łódzkich Wąskotorowych Kolei Elektrycznych (tramwaje podmiejskie, 1900). Stał się czołową postacią polskiego życia gospodarczego i łódzkiej finansjery, był członkiem Rady Nadzorczej Banku Polskiego, Komitetu Giełdowego, członkiem zarządu łódzkiego Banku Handlowego i Związku Polskiego Przemysłu, członkiem prezydium Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów (Lewiatan), Prezesem Towarzystwa Górniczo-Hutniczego „Saturn”. W 1916 roku został wybrany do Rady Miejskiej i działał w wielu lokalnych towarzystwach ekonomicznych, społecznych i dobroczynnych. W latach 1905-1908 przebywał w Berlinie, 1914-1916 w Szwajcarii, w 1917-1920 zamieszkiwał w Warszawie, przy ulicy Królewskiej 25 (w mieszkaniu tym także gromadził swoje zbiory).

Szczególnie aktywnie działał w okresie I wojny światowej, po powrocie z Lozanny zabrał się do odbudowy nieczynnych i zdewastowanych fabryk. Wznowił także działalność Towarzystwa Popierania Pracy Społecznej, utworzył Komisję do Spraw Ekonomicznych w Łodzi. W Warszawie odgrywał wpływową rolę w Związku Niezależności Gospodarczej, którą przyłączył do Koła Międzypartyjnego. Koło wysunęło go jako reprezentanta wielkiego kapitału na kierownika działu przemysłu w pierwszym departamencie gospodarczym, a potem na członka drugiej Rady Stanu.

Odnaczonego był m. in. Krzyżem Komandorskim Orderu „Polonia Restituta” i Złotym Krzyżem Zasługi.

Henryk Grohman znany był jako miłośnik i mecenas sztuki oraz kolekcjoner, był bardzo muzykalny i wrażliwy na piękno. W 1898 roku założył Łódzkie Towarzystwo Muzyczne (ŁTM) i pełnił funkcję prezesa przez cały czas jego istnienia tj. do roku 1906. Pełnił w nim rolę podobną do dzisiejszej funkcji dyrektora artystycznego. Przez cały czas wspierał finansowo Towarzystwo. Jak donosiła łódzka prasa, w corocznych sprawozdaniach z działalności ŁTM występował zawsze deficyt, który jak zwykle pokrywał prezes - pan Henryk Grohman. Wspierał także powstałą w 1901 roku 50-osobową orkiestrę symfoniczną Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego, a w sezonie 1902/1903 ofiarował pomoc finansową aż w wysokości 4326 rb. 57 kop. Henryk Grohman jako prawdziwy menedżer zapraszał do Łodzi wybitnych muzyków. Bliska znajomość łączyła go z

Ignacym Janem Paderewskim, który ilekroć przebywał w Łodzi, zawsze był podejmowany przez Henryka Grohmana w jego domu przy ulicy św. Emilii 24 (obecnie Tymienieckiego), m. in. w 1912 roku.

Sam Grohman pasjonował się muzyką, z zamiłowaniem grywał na skrzypcach, choć nic nie wiadomo na temat jego wykształcenia muzycznego, być może kształcił się u któregoś z wielkich mistrzów. Wiadomo natomiast, że wielokrotnie koncertował jako drugi skrzypek w kwartetach, kwintetach, oktetch zarówno na koncertach Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego jak i cotygodniowych koncertach kameralnych w swoim domu. Towarzyszyła mu żona Matylda oraz profesor Barcewicz i Julian Bimbaum. W willi Grohmana w sali



(fot. z arch. J. Grohmana)

Henryk Grohman

muzycznej na scenie stały dwa fortepiany i organy. Prawdopodobnie tu właśnie koncertował młody Artur Rubinstein, zapraszany przez Grohmana jako „cudowne dziecko”. Ze słynnym skrzypkiem profesorem Stanisławem Barcewiczem wiązała go długoletnia przyjaźń. To prawdopodobnie dla niego zakupił jesienią 1900 roku w przeddzień koncertu Barcewicza w Berlinie za sumę 50 000 franków słynne, jedne z najdroższych i najlepiej zachowane, skrzypce Antoniego Stradivariusa (do końca XVIII w. były one własnością skrzypka Lafonta, po wielokrotnej zmianie posiadacza, nabył je skrzypek Franciszek Reis). Instrument wykonany w 1719 roku otrzymał certyfikat wydany przez Oswalda Móczela 15 marca 1901 roku w Berlinie. Rzeczoznawca uznał je

za najpiękniejsze z widzianych przez niego skrzypiec Stradivariiego. Na skrzypcach tych koncertował S. Barcewicz wielokrotnie i nawet pierwotnie zapisał je skrzypkowi w spadku. Później jednak ofiarował je Państwu Polskiemu z przeznaczeniem, by granie na tych skrzypcach było najwyższą nagrodą dla laureata państwowego. Instrument ten, zdeponowany w Muzeum Narodowym w Warszawie, zaginął niestety w czasie drugiej wojny światowej. Jadwiga Trenklerówna i Jan Skotnicki przekazali instrument wraz z trzema smyczkami (jeden ozdobiony brylantem) i mahoniowym futerałem (roboty firmy H. Hilla) i dokumentacją w dniu 20 marca 1939 roku. Zabiegali także o utworzenie Fundacji Muzycznej im. Henryka Grohmana. W statucie fundacji projektowano powołanie komitetu opiekuńczego sprawującego pieczę na Stradivariusem. W czasie II wojny światowej zostały one zamurowane w specjalnej skrytce, jednak futerał z instrumentem i smyczkami zaginął w nie wyjaśnionych do dziś okolicznościach. Posiadał Grohman także skrzypce tzw. różowego Paniniego, Amatiego i Guamiego, które otrzymał bratanek Karol Grohman jr. - spotkał je podobny los jak i Stradivariusa. Instrumenty smyczkowe, wśród nich także wiolonczela Montagniana, były pieczołowicie konserwowane przez firmę Henry'ego Hilla w Londynie.

Po śmierci S. Barcewicza (1931) Grohman opiekował się jego rodziną i był jedynym fundatorem tzw. placu i nagrobka mistrza na warszawskich Powązkach, właściwie pomnika, nad którego wykonaniem czuwał specjalny komitet.

Wiadomo także, że Henryk Grohman przekazywał dotacje na rozwój szkolnictwa muzycznego w Łodzi, na przykład na szkołę braci Hanickich. W okresie międzywojennym dofinansowywał operę warszawską. Interesował się również młodymi talentami, a dla niektórych fundował nawet stypendia. Prawdopodobnie do jednych z nich należał Karol Sztompka.

Związany z kapitałem angielskim i niemieckim wiele podróżował po Europie. Początek pierwszej wojny światowej spędził w Lozannie, gdzie spotkał się z Ignacym Janem Paderewskim, Henrykiem Sienkiewiczem, Erazmem Piltzem, Janem Kuchrzewskim. Grohman znał Henryka Sienkiewicza z czasów jego pobytu w Łodzi w 1901 roku, podczas którego pisarz był podejmowany przez rodziny Scheiblerów, Grohmanów i Herbistów.

Bywając często w Paryżu, Londynie, Berlinie, Grohman odwiedzał liczne muzea, sale koncertowe, galerie, salony wystawowe, antykwiariaty, zetknął się blisko ze sztuką, co zainspirowało go do jej gromadzenia. Prawdopodobnie już od 1904 roku zaczął systematyczne kolekcjonowanie ceramiki, instrumentów muzycznych, orientaliów (kodzuka, drzeworyty, inro, puszki na susz herbaciany, tsuby), a przede wszystkim grafiki wraz z literaturą przedmiotu. Obiekty zdobywał osobiście drogą zakupu u artystów, w galeriach, antykwiariatach i na aukcjach. Korzystał także z usług pośredników i marszandów. Kolekcją opiekowało się dwóch specjalnie do tego zatrudnionych pracowników, którzy zajmowali się odnotowywaniem zakupów, ich katalogowaniem, oznakowaniem i prowadzeniem kartotek.

O kolekcji rzemiosła artystycznego (ceramiki, zbiorach japońskich) nie dochoowało się wiele przekazów poza informacjami z wystawy z 1911 roku w Zakopanem w salach „Bazaru Polskiego” oraz relacją Andrzeja Wierzbickiego (członka Centralnego Komitetu Obywatelskiego). Podobnie jak inne zbiory uległy rozproszeniu, fragment przechowywany jest w Muzeum Narodowym w Warszawie, zapewne z kolekcji Grohmana pochodzą tsuby i kodzuka z Muzeum Sztuki w Łodzi, które trafiły do ich zbiorów z adnotacją „zabezpieczono po opuszczeniu Łodzi przez okupanta”.

Grohman zorganizował i sponsorował dwa konkursy graficzne swego imienia. Pierwszy („konkurs akwafortowy”) w 1911 r. w Krakowie wraz z Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych) i wystawą w Zakopanem i drugi w 1914 r. w Warszawie wraz z Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Graficznych i Towarzystwem Zachęty Sztuk Pięknych. Na pierwszy konkurs napłynęły 84 prace. W drugim konkursie w zakresie trzech działów graficznych (tj. akwaforty, drzeworytu i litografii) napłynęło 100 prac (70 akwafort, 12 litografii, 18 drzeworytów) 27 artystów.

Dzięki konkursom graficznym zainteresował się Grohman sztuką ludową i przemysłem artystycznym Podhala. Finansowo wspierał Towarzystwo „Sztuka Podhalańska”, którego honorowym prezesem był sam Stanisław Witkiewicz. Z inicjatywy Grohmana i dzięki jego pomocy finansowej utworzono w 1910 roku Sto-

warzyszenie „Kilim”, którego ambicją było stworzenie polskiego typu kilimu. Z pomocy finansowej łódzkiego przemysłowca korzystało także Muzeum Tatrzańskie im. Tytusa Chałbińskiego. Był także fundatorem „przyrzędów samopiszących” dla zakopiańskiej stacji metrologicznej. Tak się zakochał w Zakopanem, że kupił willę „Zofiówkę” przy ulicy Chałbińskiego, którą opiekowali się Rozalia i Kazimierz Ciaptakowie. Przyjeżdżał tu z rodziną i całą służbą na wakacje. Willa z 1896 projektu S. Witkiewicza została przebudowana według pomysłu Grohmana tak, aby znalazło się miejsce na zbiory. Np. ceramika (europejska i japońska) przechowywana była w specjalnej, trzydrzwiowej szafie wyłożonej aksamitem. Zgromadzone tam zbiory zaginęły. W czasie II wojny kwaterowały tam wojska hitlerowskie. W 1946 roku willa, będąca siedzibą Związku Walki Młodych, spłonęła.

Zgromadzona przez Henryka Grohmana kolekcja grafiki oryginalnej II połowy XIX i początków XX wieku liczyła 1300 plansz i została w kwietniu 1939 roku w dwu ratach jako depozyt wieczysty przekazana do Gabinetu Rycin Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego przez wykonawców testamentu Jadwigę Trenklerównę i Jana Skotnickiego. Zapis ten w znacznej mierze jest zasługą Jadwigi Trenklerówny, pasierbicy Henryka Grohmana i długoletniego pracownika i kustosa Gabinetu Rycin BUW, a później naturalnego opiekuna rodzinnej kolekcji.

Największą część zbioru stanowi grafika polska, m. in. takich autorów jak: W. Skoczylaś, L. Wyczółkowski, K. Brandl, J. Malczewski, J. Mehoffer. Pokazną reprezentację w zbiorach stanowi grafika zachodnioeuropejska, co poświadcza obecność następujących artystów: E. Degas, P. Gauguin, E. Manet, P. Picasso, A. Rodin, H. De Toulouse-Lautrec, F. Ropin, E. Munch, K. Kollwitz, M. Libermann, E. Orlik. W czasie II wojny światowej zginęło pięć pudeł, m. in.: z grafikami E. Degasa. Do naszych czasów dotrwało 1030 obiektów (w tym 971 rycin luźnych, 25 rysunków i 11 tek graficznych). Dział polski obejmuje 162 ryciny, szkoła francuska - 108 prac, niemiecka - 98, angielska - 70, szkoła belgijska i holenderska - 36 rycin, szkoła czeska - 47. Reszta to prace grafików szwedzkich, szwajcarskich, włoskich i in. oraz niewielki aneks sztuki dawnej. Kolekcja Henryka Grohmana była już kilkakrotnie prezentowana na wystawach w Warszawie (1956, 1962, 1966), Krakowie (1976), Brunszwiku (1979) i Łodzi (1998). W katalogu łódzkiej wystawy zamieszczono szkice, artykuły i wspomnienia: Doroty Berbelskiej, Wandy M. Rudzińskiej, Dariusza Kasprzaka, Katarzyny Maleszko i Jerzego Grohmana, z których pochodzi większość cytowanych tu informacji.

W katalogu tym znajduje się fragment testamentu Henryka Grohmana: „Zbierałem w czasach przedwojennych różne przedmioty użytkowe (...). Ponieważ w okresach wojennych zainteresowania moje zwróciły się w kierunku rozwoju i losów ojczyzny mojej, przestałem kolekcjonować. By dać dokument tej epoki życia mego, postanowiłem zbiory te w całości ofiarować Państwu Polskiemu. Wolą moją jest, aby zbiory te, po przekazaniu ich, były traktowane jako jedna nienaruszalna całość muzealna...” (Testament z 1 marca 1939 r.) Na cel utworzenia specjalnego muzeum państwowego (mieszczą-

cego jego zbiory) przeznaczył Grohman 30 tysięcy złotych. Do niego miało trafić również: „... całe urządzenie (...) gabinetów w Łodzi i Warszawie...”

Pozostałe obiekty swej kolekcji przekazał Henryk Grohman następującym instytucjom: Muzeum Etnograficznemu w Warszawie - zbiór instrumentów muzycznych (spalony w Warszawie w 1939 r.), Muzeum Narodowemu w Warszawie - Stradivariusa, ceramikę i zbiory orientalne, 800 tomów biblioteki swojej żony - Miejskiej Bibliotece Publicznej w Łodzi i zbiór nut Towarzystwu Muzyki Dawnej w Warszawie.

Henryk Grohman ożeniony z Matyldą z Holtzów,

INGA NOWAKOWSKA

O kaplicy Scheiblerów i opiekunach Starego Cmentarza

Każde miasto ma swoją nekropolię. Stara, kryjąca w sobie prochy zasłużonych dla społeczeństwa i kultury obywateli, niekiedy urasta do rangi symbolu narodowego, tak jak: warszawski Cmentarz Powązkowski, krakowski Cmentarz Rakowiecki, wileński Cmentarz na Rossie, czy lwowski Cmentarz Łyczakowski. Założony w 1854 r. łódzki Stary Cmentarz przy ul. Ogrodowej nie jest tak znany jak wymienione nekropolie. Skoro jednak losy miasta, w którym wyrósł, są dość niezwykłe, zatem i on musi je w jakiś sposób odzwierciedlać. I jest tak w istocie. Jest "po łódzku" wielowyznaniowy - bo podzielony na część ewangelicką, prawosławną i katolicką, kontrastowy - gdyż obok siebie leżą łódzcy potentaci i mniejsi przemysłowcy, wyższy i niższy personel techniczny ich zakładów oraz zwykli "zjadacze chleba", pracujący na jego kromkę w pocie czoła.

Znaleźć tu można groby zasłużonych lekarzy, wybitnych artystów, prezydentów Łodzi, duchownych, działaczy społecznych, powstańców styczniowych, harcerzy i żołnierzy, którzy polegli za Niepodległą. Łódzki Stary Cmentarz jest także miejscem, gdzie można znaleźć bardzo piękne i wartościowe zabytki sztuki sepulkralnej, świadczące o estetycznych upodobaniach i ambicjach fundatorów rzeźb i nagrobków. Niewątpliwie do najcenniejszych należy kaplica grobowa rodziny Scheiblerów, górująca nad ewangelicką częścią cmentarza. Dzięki swej urodzie i okazałości w oczach wielu Łodzian jest ona symbolem Starego Cmentarza, ale także potęgą przemysłowej dziewiętnastowiecznej Łodzi, do stworzenia której

primo voto Trenklerową (12 V 1859 - 18 II 1939), wdową po jego wuju Teodorze Trenklerze, dzieci nie pozostawił (poza trzema pasierbami żony - Teodora, Elżbietą i Jadwigą). Krótko przed śmiercią zdążył jeszcze przekazać 100 tys. złotych na Fundusz Obrony Narodowej. Zmarł nagle 3 marca 1939 przy biurku w swoim gabinecie w przerwie między dwiema naradami. Pochowany wraz z żoną w grobowcu rodzinnym na starym cmentarzu ewangelicko-augsburskim w Łodzi.

Dziś w willi Henryka Grohmana znajduje się Muzeum Książki Artystycznej, stworzone przez Jadwigę, Janusza i Pawła Tryznów.

bezsposornie przyczynili się członkowie wspomnianego roku.

O budowie tej i potrzebie jej ratowania ostatnio głośno przypominają lokalne media, choć trzeba szczerze przyznać, iż zainteresowanie losami kaplicy wyrażali już

kilkadziesiąt lat wcześniej (tj. od czasu zakończenia II wojny światowej, a więc jeszcze zanim nastąpiła jej dewastacja i profanacja zwłok) członkowie parafii ewangelickiej, konserwatorzy, historycy i miłośnicy łódzkich zabytków. Było - i nadal jest - się o co trwożyć, szczególnie gdy uzmysłowimy sobie pierwotną wartość pamiątkową i architektoniczną miejsca wiecznego spoczynku członków najpotężniejszej łódzkiej rodziny fabrykanckiej. Pośrednio świadczy o niej szacunkowy koszt całościowego remontu kaplicy, wynoszący obecnie około 1 miliona dolarów. Dodajmy tylko, iż tę niebagatelną kwotę "wypracowali" przez kilkadziesiąt powojennych lat zwykli - nazywając rzecz po imieniu - cmentarni wandale, kradnąc ją tym samym z kieszeni tych, którzy będą łożyć na renowację tego zabytku, czyli nam...

Wróćmy jednak do historii. Po śmierci w 1881 r. Karola Wilhelma Scheiblera, wdowa po nim - Anna z Wernerów Scheibler -

podjęła decyzję o budowie rodzinnej kaplicy, poświęconej pamięci zmarłego męża. Pragnęła ona godnie uczcić pamięć Karola, dlatego w 1883 r. ogłosiła konkurs architektoniczny na projekt pomnika-kaplicy. Do konkursu zgłoszono 27 prac. Niestety, projekty nie trafiły w gust zlecniodawczyni i reszty rodziny. W tej sytuacji Anna Scheibler zwróciła się do architektów warszawskich - Edwarda Lilpola i Józefa Dziekońskiego. Za-

proponowali oni budowlę neogotycką, na planie krzyża, wzorowaną na najpiękniejszych niemieckich i francuskich przykładach sakralnej architektury gotyckiej. Projekt uzyskał gorącą aprobatę - czy może dlatego, że styl, na którym go wzorowano, doskonale podkreślał nie tylko zamożność rodu Scheiblerów, ale także jego zasługi dla miasta i jego mieszkańców, a przez to jego "odwieczność" w Łodzi (oczywiście w tej, która wybuchła w XIX w.) To tylko luźne spekulacje...

Znawcy podkreślają, iż wykonawstwo kaplicy było najwyższej próby. Było ono dziełem wyłącznie polskich rzemieślników, których rękoma z kosztownych materiałów - piaskowca szydłowieckiego i marmurów karyjskich - udało się stworzyć prawdziwą perłę architektury neogotyckiej. Budowlę ukończono w roku 1888. Jej wejście od strony południowej zdobi okazały portal, ściany - rozeta i maswerkowe okna, w których jeszcze trzydzieści lat temu widniały resztki barwnych witraży, dach - smukłe wieże, ażurowe sterczyny, kwiatony i anielski chór, złożony z ośmiu, odlanych w pracowni A. Pruszyńskiego figur, z których do dnia dzisiejszego pozostały już tylko trzy. Wnętrze kaplicy otrzymało bogaty wystrój, którego elementami były wykonane z marmuru rzeźby (w tym Pieta i popiersie Karola Scheiblera), ołtarz i posadzki o wzorze szachownicy oraz piękne, kute żelazne kraty. Z prezbiterium prowadzi wejście do krypt grobowych, mieszczących 40 nisz katakumbowych. Niestety, oprócz zniszczeń, jakich doznała fasada i wnętrze kaplicy z rąk bezmyślnych i bezdusznych ludzi - zniszczonych lub obtłuczonych detali architektonicznych, wybitych do cna witraży, strąconych i ukradzionych figur aniołów, zdewastowanego i огоłconego wnętrza - należy dodać rzecz najpodlejszą: otwarcie krypt i profanację zwłok spoczywających tu wszystkich 22 członków i krewnych rodziny Scheiblerów.

Losy tego jednego z najcenniejszych zabytków łódzkich, jak również pozostałych zabytkowych nagrobków i pomników najstarszej łódzkiej nekropolii, interesują ostatnio coraz szersze rzesze społeczeństwa. Niemała w tym zasługa członków i sympatyków Towarzystwa Opieki nad Starym Cmentarzem przy ul. Ogrodowej, które od 1998 roku statutowo zajmuje się renowacją i konserwacją zabytków cmentarza. Niezbędne środki finansowe pochodzą (tradycyjnie już) z corocznych kwest w dniu 1 listopada, w których w roli darczyńcy chętnie występuje łódzkie społeczeństwo, zaś w roli kwestujących - członkowie i sympatycy łódzkich organizacji społecznych, wóldarze miasta, dziennikarze wszystkich

JANINA KRZEMIŃSKA-FREDA

Palmiarnia Ogrodu Botanicznego w Łodzi

Palmiarnia Ogrodu Botanicznego jest częścią dziedzictwa przyrodniczego Łodzi i ważnym składnikiem systemu zieleni publicznej miasta.

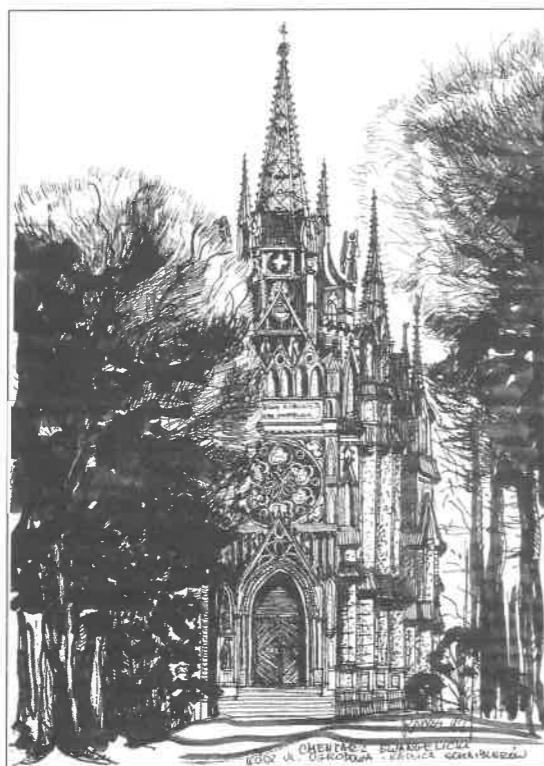
Dla publiczności, po raz pierwszy udostępniono ją 1.09.1956 r. po gruntownym remoncie i adaptacji budynku. Kolekcja roślin, przede wszystkim palm, ma jednak znacznie dłuższą historię.

W oranżeriach łódzkich fabrykantów i carskich urzędników rosło wiele ciekawych roślin egzotycznych.

mediów. Pieniądze na ratowanie zabytkowych nagrobków i pięknych kutych ogrodzeń Starego Cmentarza płyną także z darowizn przekazywanych przez: banki, prywatne osoby i firmy oraz oczywiście z kasy miejskiej, która np. sfinansowała ostatnio renowację grobowca przemysłowej rodziny Grohmanów. W ciągu ostatnich pięciu lat dzięki staraniom TOnSC i przy współpracy z konserwatorami zabytków, poddano renowacji 21 pomników nagrobnych, m.in. Stefana Skrzywana (twórca łódzkiej kanalizacji i pierwszej oczyszczalni ścieków na Lublinku), Józefa Texela (aktora, inicjatora budowy i dyrektora pierwszego stałego teatru w Łodzi), ks. Karola Szmidla (proboszcza parafii Wniebowzięcia NMP i Podwyższenia Św. Krzyża, oddanego ubogim społecznika), Julii Lewalt-Jezierskiej (właścicielki pensji dla dziewcząt), czy Johanna Petersilge (drukarka, księgarza i założyciela pierwszej gazety niemieckiej w Łodzi z polskojęzycznym dodatkiem). Tylko w roku 2002 odnowiono 5 nagrobków: Wojciecha Gozdowskiego (kasjera łódzkiego magistratu - jego grób jest jednym z najstarszych obiektów na cmentarzu), Adolfa Butschkata (malarza i kupca), Jana Jarzębowski (przemysłowca i współzałożyciela Łódzkiej Straży Ogniowej), Henryka Goldmana (żołnierza wojny polsko-bolszewickiej) oraz grobowiec rodziny Pruszyńskich.

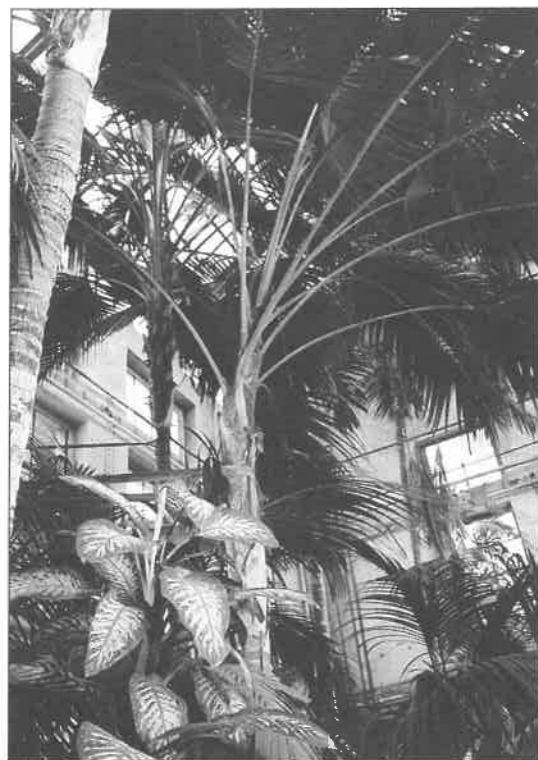
Wróćmy jednak do kaplicy Scheiblerów. Dzięki staraniom TOnSC i miłośników łódzkich zabytków oraz środkom zebranych w czasie listopadowych kwest, w 2002 r. udało się przywrócić pierwotnie polskie, zgodne z wolą Anny Scheibler, brzmienie inskrypcji na fasadzie kaplicy: "Pamięci Karola Scheibler". To gest symboliczny, w ten bowiem sposób prace rekonstrukcyjne i konserwatorskie zrujnowanej kaplicy rozpoczęły się - co wielu podkreśla - od przywracania prawdy i pamięci o stopniowo polonizującej się rodzinie współtworzącej historię Łodzi, której założyciel wywodził się z Nadrenii, do końca życia pozostał obywatelem belgijskim, zaś nad Jasieniem zbudował swoje bawelniane królestwo. Aby przywrócić Łodzi, Polsce i Europie wspaniałą zabytek potrzebą jednak nadal ogromnego optymizmu, wysiłku, doświadczenia, no i trzech pozostałych rzeczy - pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy...

Dziękuję pani Łucji Robak za: inspirującą rozmowę o ochronie zabytków Starego Cmentarza, udostępnienie materiałów dotyczących kaplicy Scheiblerów, korektę tekstu, a także za gościnę i miłe towarzystwo pewnego pięknego Franciszka.



(Grafika: Lucja Robak)

Kaplica Scheiblerów
- Cmentarz Stary (część ewangelicka)



(fot. W. Malek)

Lódzka Palmiarnia

Plantacji Miejskich. Podjęto prace nad budową nowych parków oraz uporządkowaniem istniejących. Wiele uwagi poświęcono też Parkowi Źródlińska I, w którym zlikwidowano w 1925 r. stołówkę dla bezrobotnych, a do istniejącego budynku przeniesiono rośliny ze szklarni miejskich. W związku z kryzysem gospodarczym uległy likwidacji oranżerie przy rezydencjach niektórych fabrykantów, a rośliny przekazywano plantacjom miejskim. Tu też przetrwały najgorszy okres ostatniej wojny. Okupant zamierzał zlikwidować zbiór roślin, ale dzięki ofiarności i uporowi ogrodników miejskich zamiar ten nie został zrealizowany.

Pomimo trudnych warunków wegetacji, większość palm sięgnęła dachu i w połowie lat pięćdziesiątych konieczne było podwyższenie budynków. Inicjatorami adaptacji byli pracownicy zieleni, inż. Zofia Kotnowska i inż. Feliks Gózdź. Władze miejskie w 1955 r. zdecydowały o przystosowaniu budynku dawnej stołówki dla potrzeb prezentacji zgromadzonych roślin. Przystąpiono do remontu, który polegał na podwyższeniu o kilka metrów dachu, i zagłębieniu w grunt donic z najwyższymi roślinami. Po zakończonych pracach, 1 września 1956 r. Palmiarnia została udostępniona publiczności. Stała się ona miejscem często i chętnie odwiedzanym przez miłośników roślin egzotycznych.

Kolejna przebudowa Palmiarni miała miejsce w 1970 r., kiedy to ponownie podwyższono budynki i przeszklono ich górną kondygnację.

Do 1977 r. Palmiarnia znajdowała się w strukturze organizacyjnej Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego jako dział Ogrodu Botanicznego, a następnie weszła w skład Łódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku. Reorganizacja zieleni miejskiej w 1992 r. doprowadziła do wydzielenia się Ogrodu Botanicznego wraz z Palmiarnią

jako odrębnej jednostki, podległej Wydziałowi Ochrony Środowiska Urzędu Miasta Łodzi.

Ze względu na katastrofalny stan techniczny obiektu, na wniosek Wydziału Ochrony Środowiska, łódzkich przyrodników i dyrekcji Ogrodu Botanicznego, Rada Miejska Łodzi 14.06.1995 r. podjęła decyzję o modernizacji Palmiarni. Prace projektowe tej trudnej i specyficznej inwestycji zakończono w 1998 r. Gmach starej Palmiarni obudowano nową, przeszkloną, aluminiową fasadą na stalowej konstrukcji, a po wykonaniu tych prac wyburzono stare mury. Nowe budynki poszerzono o konieczną lukę technologiczną wynoszącą 2-3 m. Tak skomplikowany system realizacji wynikał z konieczności pozostawienia w modernizowanym obiekcie w okresie budowy najstarszych roślin z kolekcji, zakorzenionych w podłożu. Pozostałe rośliny na czas budowy zostały przeniesione do szklarni wybudowanych na terenie Ogrodu Botanicznego. Dodatkowym utrudnieniem całego przedsięwzięcia była lokalizacja Palmiarni w parku zabytkowym, w pobliżu starych dębów - pomników przyrody. Nowy obiekt daje możliwość ukazania ogromnej różnorodności kolekcji i zapewnia optymalne warunki wzrostu roślin. Zmienił się również całkowicie komfort pobytu zwiedzających oraz warunki pracy personelu Palmiarni, dobudowana sala dydaktyczna umożliwia prowadzenie zajęć edukacyjnych.

Nowa Palmiarnia zajmuje około 1100 m² powierzchni. Powstały trzy odrębne pawilony, każdy z nich jest przeznaczony dla roślin o innych wymaganiach klimatycznych;

- pawilon dla roślinności twarolistnej, głównie śródziemnomorskiej, m.in. wawrzyn, oleander, rozmaryn, lawenda,

- pawilon dla roślinności tropikalnej, nie mającej sobie równej pod względem bogactwa florystycznego, w tym budzące ogromne zainteresowanie storczyki, bromelie, liany, palmy i paprocie,

- pawilon dla kaktusów i innych sukulentów. Ta grupa roślin w ostatnim okresie powiększyła się o duże, kilkudziesięcioletnie egzemplarze pochodzące ze zbiorów prywatnych Pana Lechosława Piekacza. Okazałe, kilkumetrowe opuncje, aloesy i cereusy posadzono wiosną 2002 r.

Kolekcja roślin w Palmiarni liczy obecnie 4500 okazów roślin, które należą do ponad 1100 taksonów czyli gatunków i odmian z 65 rodzin botanicznych. Najliczniej reprezentowane są: kaktusowate, gruboszowate, wilczomleczowate, obrazkowate (po kilkanaście gatunków z rodzaju filodendron i anturium), begoniowate (52 taksony), pieprzowate (m.in. 45 taksonów z rodzaju peperomia), paprociowate (42 gatunki, w tym 2 gatunki paproci drzewiastych), marantowate i storczykowate (ponad 300 taksonów). Do najstarszych roślin należą palmy. Kolekcja palm obejmuje 18 gatunków. Niektóre z nich to ponad 130-letnie egzemplarze o wysokości ok. 18 m, np. *Areca baueri*, *Howea forsteriana*, *Phoenix dactylifera*, *Ph. canariensis* i *Trachycarpus fortunei* (palma konopna). Wyjątkowo ciekawą grupą roślin są sagowce z rodziny *Cycadaceae* pochodzące z ery mezozoicznej. Reprezentowane są one przez 6 gatunków: *Cycas revoluta*, *C. circinalis*, *Encephalartos caffer*, *Stangeria eriopus* oraz *Zamia sp.* i *Macrozamia sp.*

Kolekcje roślin w łódzkiej Palmiarni przez dziesięciolecia tworzyli ogrodnicy, przyrodnicy i mieszkańcy naszego miasta, którzy często wypielegnowane latami, ukochane rośliny, zbyt duże w mieszkaniach, przekazywali Miastu.

DOROTA KĘDZIOR

Niezwykłe rośliny w niezwykłych miejscach

Do niedawna uważano Łódź za miasto zadymione, pełne kominów i sadzy. Odkąd jednak upadły wielkie zakłady włókiennicze i nastąpiły przeobrażenia społeczne (niestety nie zawsze szczęśliwe dla mieszkańców miasta), większą uwagę poświęca się zieleni.

Łódź zdobią 32 parki, najnowszy - Widzewska Górka - został oddany do użytku we wrześniu 2001 r. Większość z wspomnianych oaz zieleni jest od dawna wpisana w łódzki krajobraz i cechuje się wyjątkowymi walorami przyrodniczymi i kompozycyjnymi, dlatego też ponad 1/3 z nich została wpisana do rejestru zabytków. Szczególne znaczenie ma najstarszy w Łodzi Park Źródlińska, który w całości uznano za pomnik przyrody.



(fot. Inga Nowakowska)

Winorośl na podwórku kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 42

A skoro już o pomnikach przyrody mowa, to warto wspomnieć, iż jest ich w mieście (jak wynika z opracowania Anny Olaczek-Wołoskiej) ponad 250. Są to głównie okazałe drzewa, np. pozostałe po dawnej Puszczy Łódzkiej dęby rosnące w Parku Źródlińska, dąb "Kosynier" w parku im. A. Mickiewicza na Julianowie, czy (nie wiadomo przez kogo posadzona prawie 90 lat temu) aleja lipowa na terenie łódzkiego Ogrodu Botanicznego im. prof. Jakuba Mowszowicza.

Jednak oprócz roślin objętych ochroną prawną w postaci pomników przyrody, można w Łodzi znaleźć wiele nietypowych roślin - zachwycających kształtem, miejscem występowania lub rozmiarami. Niektóre z nich są łodzianom dobrze znane, inne objawiają publicznie swoje istnienie przy okazji informacji w lokalnej prasie, a o jeszcze innych wiedzą tylko pasjonaci wędrowek po Łodzi, penetrujący zakątki swojego miasta. O kilku z nich chcę napisać.

Jeśli mowa o Łodzi, to nie wypada zacząć inaczej, niż od ulicy Piotrkowskiej. Wchodząc na podwórko kamienicy pod numerem 42 zachwyci nas o każdej porze roku niezwykła winorośl. Latem tworzy ona zielony dach chroniący podwórko-studnię przed słonecznym żarem. Późną jesienią, pozbawiona już liści, zdobi fioletowo-granatowymi kiściami winogron. Niestety nie udało mi się dowiedzieć, kto i kiedy posadził to pnącze.

Interesującym zestawem roślin może „pochwalić

się” park im. ks. bp Michała Klepacza. Spośród dziewiciu tamtejszych pomników przyrody najbardziej znany jest niezwykły dąb szypułkowy dwojga imion: "Fabrykant" lub "Jagosz". Pierwszej nazwy nie trzeba wyjaśniać, drugą (nie bardzo wiadomo na ile legalnie) nadano na cześć łódzkiego dziennikarza Mieczysława Jagoszewskiego. Wspomniany dąb słynie z wyjątkowego pokroju. Rozłożyste konary wyrastają prawie od ziemi, a ze względu na swoją długość muszą być specjalnie podpierane. Jak twierdzi dr Jan Siciński "Fabrykant" ciągle "tyje", co świadczy o jego dobrej kondycji. W kwietniu warto przyjść do parku jeszcze z jednego powodu: nieba na ziemi. Trawniki pokrywają się wówczas całymi łanami niebiesko kwitnących cebulic, wyrastających także u stóp "Fabrykanta", który wygląda wówczas niczym w królewskiej szacie. Trzeba tylko powstrzymać się od zrywania błękitnych "pamiątek", bo gdyby tak każdy to zrobił...

Niezwykły okaz botaniczny można oglądać na jednej z najbardziej łódzkich ulic - ulicy Kilińskiego 101. Chodzi oczywiście o pomnikowy bluszcz pospolity, który (jako nasza krajowa liana!) osiąga obwód pnia wynoszący aż 37 cm. Bystrzy obserwatorzy roślin na pewno znają ciekawą właściwość tego gatunku, zwaną heterofilią, która polega na różnym wyglądzie liści na pędach kwitnących i nie kwitnących. Bluszcz kwitnie jesienią, a ponieważ rośnie przy murze Muzeum Przyrodniczego UŁ od strony ulicy Kilińskiego, więc nawet z tramwaju czy autobusu można prowadzić obserwację. Szkoda tylko, że z istniejących kiedyś dwóch roślin ostała się już tylko jedna. Jest to także jeden z łódzkich pomników przyrody.

Na koniec parę słów o drzewie, o którym na pewno wiedzą tylko nieliczni - topoli rosnącej na terenie dawnego kompleksu fabryk włókienniczych Izraela Poznań-



(fot. Inga Nowakowska)

Pochłaniana przez drzewo kuta krata na dawnym cmentarzu ewangelickim przy ul. Felsztyńskiego

skiego przy ulicy Ogrodowej. Po wojnie znajdowały się tu Zakłady Przemysłu Bawełnianego "Poltex", a obecnie firma "Apsys" (w ramach rewitalizacji i zagospodarowania terenu) próbuje przywrócić miastu ten zakątek, planując lokalizację wielofunkcyjnego centrum rozrywkowo-usługowego. Mam nadzieję, że w ferworze prac remontowych nie ucierpi niezwykle ukształtowane drzewo, obejmujące zewnętrzne schody do jednego z budynków. W tym miejscu widać najwyraźniej "związek przemysłu z przyrodą". Takich przykładów dosłownego wrastania drzew w historię miasta widać wiele i w innych miejscach Łodzi, szczególnie zaś na cmentarzach,

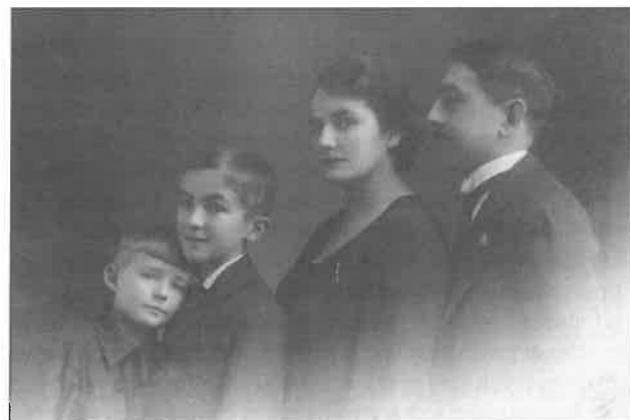
np. na terenie największego w Europie cmentarza żydowskiego przy ul. Zmiennej, czy dawnego cmentarza ewangelickiego, a obecnie parku przy alei Politechniki. Patrząc na drzewa oblewające swoją tkanką żeliwne, kute kraty, czy balustrady schodów dobitnie zdajemy sobie sprawę, jak wyobraźnia człowieka nie bywa w stanie przewidzieć, co będzie się działo za dziesiątki lat.

Zachęcam wszystkich do poszukiwania dziwów przyrody nie tylko na łonie natury, ale również w najbliższym otoczeniu człowieka. Może uda nam się stworzyć subiektywny katalog niezwykłych obiektów przyrodniczych naszego miasta?

Wspomnienia Łodzian

BARBARA POPLAWSKA

Łodzianie w starej fotografii



(fot. archiwum Autorki)

Fotografia pierwsza, najstarsza - oto czwórka przyszych łodzian, rodzina Jarzyńskich - Edmund i Cecylia oraz ich dzieci Zbigniew i Irena, kiedyś później moja Mama Irena Popławska, bohaterka tych wspomnień. Zdjęcia zrobiono we Lwowie w Atelie wł. Benesa, sądzę że był to rok 1928. Dziadek Edmund Jarzyński pracował wtedy we Lwowskiej Kasie Chorych- aż w 1935r. został służbowo przeniesiony do Łodzi, do pracy w Ubezpieczalni Spłecznej. Dostał mieszkanie w blokach, które ubezpieczalnia wybudowała dla swoich pracowników przy ul. Bednarskiej. Wkrótce sprowadził żonę i dzieci. Ten pierwszy kontakt z Łodzią trwał zaledwie do zimy 1939 r. Dzieci chodziły do szkoły - Irena do gimnazjum im. Szanieckiej, Zbyszek do gimnazjum im. Piłsudskiego. Mało jest wspomnień Mamy z tych lat, nie wiem czy polubiła wtedy Łódź, tak różną od rodzinnego Lwowa. Wybuchła wojna i wysiedlono ich do Małopolski.

Osiedlili się w Rzeszowie. Mama kontynuowała naukę w tajnych kompletach, maturę zrobiła w 1945 r. Pracowała, aby uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec, w zakładzie fotograficznym. Zrobiła wtedy papiery czeladnicze. Fotografia pociągała i ją i brata, który później zajmował się nią zawodowo. Myślę, że zainteresowanie fotografią i pasję turystyczno-krajoznawcze zaszczepił dzieciom ojciec, zapalony turysta. W czasie

okupacji na rzeszowszczyźnie robili razem liczne wycieczki rowerowe i dokumentowali je za pomocą aparatu fotograficznego. Po wyzwoleniu Polski cała rodzina wróciła do Łodzi, odzyskali mieszkanie i stali się już na zawsze łodzianami.

Oto fotografia druga, z roku 1948, ta młoda uśmiechnięta dziewczyna w berecie to Mama. Była już wtedy studentką historii sztuki na nowo utworzonym Uniwersytecie Łódzkim i młodą meżatka. Swojego męża, Czesława Popławskiego, poznała na obozie akademickim, mimo że przed wojną mieszkali po sąsiedzku! Te pierwsze powojenne lata pełne były optymizmu i nadziei, sklepy dobrze zaopatrzone, a ludzie pełni zapału do odbudowania kraju i własnego życia. Łódź, miasto w niewielkim stopniu zniszczone przez wojnę, a bliskie zniszczonej Warszawy, stała się wtedy miejscem czasowego pobytu wielu znakomitości ze świata nauki i kultury. Na uniwersytecie wykładali profesorowie tej miary co Tadeusz Kotarbiński, Wilamowski, Łapicki, ksiądz Rostworowski. Działał "Bratniak", w którym Mama się udzielała, organizowano obozy akademickie, w których Mama też brała udział i życie obozowe utrzymywała na zdjęciach.



(fot. archiwum Autorki)

Podczas studiów Mama z konieczności pracowała najpierw w Urzędzie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, potem w Muzeum Sztuki, a od 1951 r. po dyplomie jako asystentka prof. Mieczysława Wallisa w Katedrze Historii Sztuki Uniwersytetu Łódzkiego.

Życie w latach 50-tych zaczęło się robić coraz trudniejsze. Mama postanowiła zdobyć konkretny zawód. Wykorzystała swoje umiejętności w zakresie fotografii, zdobyte w Rzeszowie w czasie okupacji i uprawnienia czeladnicze - zdała egzamin i została mistrzem fotografowania. Miała w tym czasie pomysł otwarcia własnego zakładu fotograficznego, ale skończyło się na pomysle. Miała Mama niewatpliwy talent, co widać w pięknych zdjęciach, których mnóstwo robiła w swoich młodych latach. Robiła je starym niemieckim aparatem Rolleicord, który służył jej jeszcze w latach 70-tych.

Życie zawodowe potoczyło się jednak inną drogą. W 1966 r. uzyskała stopień doktora nauk humanistycznych na podstawie pracy "Budownictwo przemysłowe Łodzi w XIX w.". Wykładała na Uniwersytecie i Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej.

W 1974 r. zaproponowano jej prowadzenie zajęć z historii architektury w - nowo utworzonym na Politechnice Łódzkiej Instytucie Architektury i Urbanistyki.

Było to duże wyzwanie, ale zgodne z kierunkiem jej zainteresowań i z radością je podjęła. Weszła w krąg nowych zagadnień, nowych ludzi i twórcza atmosfera towarzysząca procesowi budowania Instytutu dawała jej dużo satysfakcji.

W 1983 r. uzyskała stopień doktora habilitowanego nauk technicznych na Uniwersytecie Wrocławskim za pracę "Architektura przemysłowa Łodzi w XIX w.". Została docentem, a za parę lat profesorem nadzwyczajnym na Politechnice.

Oto zdjęcie trzecie - Irena Popławska lata 80-te.

To wielki skrót, bo naprawdę w latach swej aktywności ta łodzianka z przypadku wykonała ogromną pracę badawczą dla miasta, całkowicie pionierską, odkrywając temat przedtem nie rozpoznany - architekturę miasta przemysłowego (Łódź), osiedli robotniczych, rezydencji fabrykanckich, tematykę wielkoprzemysłowych założeń urbanistycznych. Jej prace mają wartość fundamentalną dla wszelkich późniejszych badań nauko-

WACŁAW PAWŁAK

Zaginiona dzielnica Staromiejska

Zawierucha II wojny światowej zmiotła z panoramy Łodzi interesujący fragment - zabudowę Starego Miasta. Nie ma już dawnych domów staromiejskich, nie ma też ich mieszkańców - żydowskiej biedoty. A przecież nie tak. dawno, bo w latach trzydziestych ubiegłego stulecia była to najgęściej zaludniona dzielnica miasta. Piętrzyły się tu zwarta zabudowa kamienice, od piwnic aż do strychów zasiedlone przez ubogą ludność żydowską.

Osiedlanie się Żydów w Łodzi sięga okresu drugiego rozbioru Rzeczypospolitej. Do tego czasu, jako posiadłość biskupią, ograniczano możliwości osiedleńcze ludności żydowskiej. W roku 1821 liczba Żydów w Łodzi wynosiła już 262 osób. Stanowiło to wówczas trzecią część jej mieszkańców.



(fot. archiwum Autorki)

wych na ten temat. Całe to bujne życie zawodowe wplecione było oczywiście w życie codzienne, również intensywne. Rodzice dużo podróżowali, głównie po Polsce. Zwiedzali miejsca historyczne, ale kochali także zwykłą, powszechną prowincję i jej sprawy. Szczególnym sentymentem zarówno mama jak ojciec darzyli Suwalszczyznę. Przywozili stamtąd piękne tkaniny lniane, robione przez wiejskie kobiety na własny użytek. Sądzę, że dziś już nikt na wsi takich rzeczy nie tką. W pewnym momencie w życiu rodziny pojawiła się działka. Wtedy ustały podróże i okazało się, że prof. Irena Popławska odnalazła w sobie pasję ogrodniczą i z sukcesem zaczęła hodować irysy. Niestety pogorszało się jej zdrowie, miała coraz większe kłopoty z poruszaniem się i wszystko zaczynało być problemem. I działka i wykłady na PŁ i praca naukowa. Pracowała jednak do końca, mimo ciężkiej choroby i cierpienia, które znosiła z nadzwyczajną pogodą. Nawet wtedy nie chciała sprawiać swoją osobą kłopotu.

Była osobą o ogromnej kulturze osobistej, skromną i życzliwą ludziom i światu. Nie eksponowała swojej osoby, nie zabiegała o popularność.

Zmarła nagle jesienią 1995 r. Pochowana jest na cmentarzu św. Franciszka przy ul. Rzgowskiej w Łodzi.



(fot. archiwum)

Handel na Starówce

wkrótce potrzebę rozszerzenia rewiru żydowskiego. Magistrat zamierzał wcielić nie objętą nim dotąd, północną część Starego Miasta, łącznie z terenami przykościelnymi. Na skutek sprzeciwu ludności katolickiej, Plac Kościelny nie został objęty rewirem żydowskim. Pomimo to Żydzi osiedlali się w pobliżu kościoła, otwierali sklepiki i uruchamiali warsztaty tkackie. Zaprotestował przeciwko temu proboszcz łódzki, dowodząc, że z przyczyny osiedlania się Żydów obok kościoła „nabożeństwo zewnętrzne jest już przeszkodzone, a stukot fabryk żydowskich w niedziele i święta aż w kościele słyszeć się daje”.

Ludność polska, zasiedziała od wieków na Starym Mieście, na ogół odnosiła się przychylnie do żydowskich przybyszów. Chętnie odstępowała im place pod budowę domów, odnajmowała też mieszkania.

Współżycie obu narodowości utrudniały jednak różnice wiary. Silne tendencje ortodoksyjne wśród ludności żydowskiej podtrzymywały jej separatyzm narodowościowy. Żydzi, którzy posyłali swoje dzieci do szkoły polskiej, narażeni byli niejednokrotnie na szykany ze strony swoich współwyznawców.

W 1862 roku zniesiony został rewir żydowski, a co za tym idzie, ograniczenia miejsca zamieszkania dla Żydów. Odtąd mogli oni swobodnie osiedlać się na obszarze całej Łodzi. Mimo to najchętniej zamieszkiwali na Starym Mieście. Była to „ich” dzielnica do czasu sialskiego zniszczenia przez okupanta hitlerowskiego.

Stare Miasto choć odstraszało nędzą i zaniedbaniami, jednocześnie urzekało swoją egzotyką. Mroczne zaułki, przepastne podwórka, wąskie uliczki przepełnione mrówczo ruchliwym, chałatowym tłumem Żydów przypominały miasta Wschodu. „Już na ulicy Nowomiejskiej zaczyna się świat odrębny, zgoła inny iż w śródmieściu” - pisała miejscowa gazeta. „Pozornie te same kamienice, witryny, tramwaj elektryczny... Ale trzeba zajrzeć na podwórka. To ciemne studnie z girlandami balkonów na każdym piętrze. Na zmurszałych poręczach tradycyjne «bety». Dolne piętra upstrzone naiwnymi szyldzikami. Po podwórzach snują się dziwni ludzie o wyrazistych twarzach”.

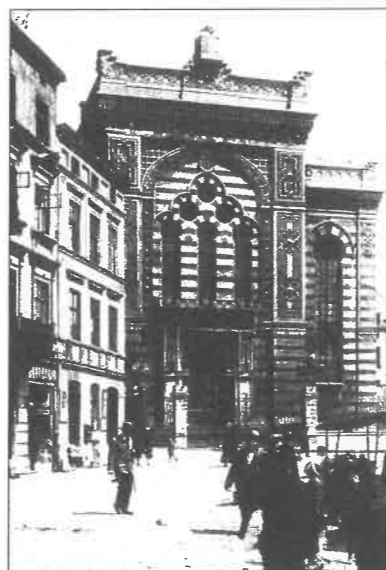
Panorama Starego Miasta, widziana z ul. Nowomiejskiej, przedstawiała się dość malowniczo. Od pałacu Poznańskich (dziś Muzeum Historii Miasta Łodzi) w prawo rysowała się zróżnicowana w kształcie i wysokości zabudowa ul. Podrzecznej. Na wprost prawie wyrównaną linią ciągnęły się kamieniczki Starego Rynku. Spoza kolorowych dachów, krytych blachą lub dachówką, wzywały strzeliste, cynobrowe wieże, mariackiego kościoła. Panoramę Starówki zamykała perspektywa wąskiej ul. Wolborskiej z okazałą synagogą w stylu mauretańskim w głębi.

Bogobojni Żydzi, zwłaszcza chasydzi, niechętnie zapuszczali się w ul. Wolborską. Czyhały tam na każdym kroku pokusy cielesne w postaci młodych dziewcząt trudniących się nierządem. Na Wolborskiej niemal w każdej posesji mieściły się domy schadzek.

W posepnych, odrapanych kamienicach, w ciemnych zawilgoconych izbach z oknami wychodzącymi na wąskie, cuchnące podwórka gnieździła się nędza żydowska. Pomieszczenia te, zagęszczone do granic możliwości, służyły też przeważnie jako miejsce pracy żydowskich rzemieślników: tkaczy, szewców, krawców itp. Nie było takiego rzemiosła, którego Żydzi by się nie imali.

Większość mieszkańców Starego Miasta utrzymywała się wszakże z handlu. Każda kamienica, a nawet każda oficyna była siedliskiem sklepów i sklepików. Przeważnie nie posiadały one witryn, w których można by pokazać oferowane towary. Wiadomo, że handel wymaga reklamy. Brak witryn zastępowały blaszane szyldy, obramujące wejścia do wąskich, ale głębokich wnętrz sklepowych. Na owych szyldach i wywieszkach domorośli artyści wymalowali wszystko, co w staromiejskich sklepach było do nabycia: odzież męską i damską, nakrycia głowy, obuwie, produkty spożywcze. Prymitywne malowidła na blasze, przemawiały do wyobraźni klientów mocniej aniżeli wszelkie napisy. Wśród kupujących przeważali analfabeci, toteż pismo obrazkowe ułatwiało im wielce, odszukanie właściwego sklepu.

Nie wszystkich mieszkańców Starego Miasta, ży-



(fot. archiwum)

Synagoga Staromiejska w Łodzi

jących z handlu, stać było na własny sklepik. Spora ich część miała stragany na staromiejskim rynku. Inni posiadali stoiska w halach targowych. Najubożsi uprawiali handel uliczny. Gospodynie z całej Łodzi przybywały na Stary Rynek dla dokonania zakupów, bo jak powszechnie twierdzono, wszystko tu było najtańsze.

Handel na Starówce odbywał się na wszystkich ulicach. Trudno było nimi przejść, ażeby nie otrzeć się o zamorusane, lepiące się od potu postacie tragarzy, woźniców, drobnych handlarzy. Opatulone w chusty żydowskie kobiety obnosiły w koszykach świeże bajgele, gotowany groch i bób, kawałki śledzi i smażonych ryb. Owocarze żydowscy z koszami wiśni, jabłek i pomarańczy zachrypłymi głosami zachwalali swój towar.

Największy ruch na Starym Mieście panował w piątki. Od rana z różnych okolic Łodzi ciągnęły na Stary Rynek chłopskie furki, wypełniane po brzegi produktami wsi. Sugestywny opis tego targowiska przekazał nam Władysław St. Reymont w swojej „Ziemii obiecanej”.

„Na kwadratowym placu, obstawionym starymi, piętrowymi domami, nigdy nie odnawianymi, pełnym sklepów, szynków i tzw. „Bier-Hall” zastawionym, setkami szkaradnych bud i kramów, tłoczyło się kilkanaście tysięcy ludzi, setki wózków i koni; wszystko to krzyczało, mówiło, kłęło, biło się czasem.

Przed sklepami (...) przystawiano stoły, krzesła, ławki, na których leżały góry galanterii, pończoch, skarpetek, kwiatów sztucznych, perkalików sztywnych jak blachy, kołder o jaskrawych paszyciach, koronek bawełnianych. W jednym końcu rynku stały żółte, malowane łózka, komody, które się nie domykały i brązowym bejcem udawały mahoń (...) Dalej kołyski, stopy sprzętów kuchennych, za którymi na ziemi siedziały kobiety wiejskie z masłem i mlekiem, ubrane w czerwone wełniaki i zapaski (...).

Garderobę męską sprzedawano, kupowano i przymierzano na ulicy, w sieniach, wreszcie pod ścianą, za zasłoną, która zwykle nic nie zasłaniała. Tak samo robotnicze przymierzały kaftany, fartuchy i spódnice”

W ten dzień gorączkowe podniecenie ogarniało mieszkańców tej dzielnicy. Krawcy i szewcy biegiem odnosili klientom części garderoby, tragarze na wózkach lub plecach, odstawiali pośpiesznie ładunki, handlarze



(fot. archiwum)

Stary Rynek w Łodzi

starali się jak najprędzej zbyć towary, a wszystko po to, by zdążyć przed szabasem przynieść żonie zarobione pieniądze, potrzebne na zakup chały, ryby, czy mięsa. Tego dnia wielkie kadzie, ulokowane za starą synagogą, zapełniały się wszelkiego gatunku rybami. Żydowskie handlarki wyławiały z wody podrygujące ryby, patroszyły je jednym ruchem noża, dzieliły na dzwonek, by nawet najbiedniejszym umożliwić zakup bodaj kawałka na sobotę.

Zanim, pierwsza gwiazda okazała się w dzień piątkowy nad Łodzią, żydowskie kobiety kończyły przygotowania do uroczystej wieczery. W lichtarzach zapalały sobotnie świeczki. Zaczynał się szabas - święto wolne od troski i trudów. W piątek wieczorem zapełniała się synagoga i domy modlitwy Starego Miasta. Światła płonących świec kładły słabe, blaski w ciemne uliczki. Dzielnica żydowska nabierała wówczas osobliwego majestatu.

W soboty na ulicach Starego Miasta panowała głęboka cisza. Zamknięte stragany, zaryglowane okna i drzwi sklepowe nadawały Starówce niecodzienny wygląd. Opustoszałymi ulicami niekiedy tylko przemykały postacie brodatych Żydów w czarnych chałatach, niosące nabożne księgi.

Nie ma już dawnej Starówki. Ta która jest obecnie to jedynie próba rekonstrukcji dawnych kupieckich kamieniczek. Dziś w Parku Staromiejskim wnosi się pomnik Mojżesza z tablicami Dekalogu, proroka zarówno chrześcijan jak i Żydów...

ANATOL GUIPIENIEC

A skarb nadal spoczywa w dziupli...

Któregoś dnia zaprosił mnie kolega na kieliszek koniaku. Towarzystwo było skromne. Poza domowników był jeszcze jego przyjaciel z pracy i ja. Rozmawialiśmy o różnych codziennych sprawach, kłopotach i przyjemnościach popijając maleńkimi łykami aromatyczny gruziński napój. Płynem tym mój kolega chciał wyrazić zyczliwość dla zebranych. Kiedy pani domu przyniosła kawę przeszliśmy na rozmowę o kampanii wrześniowej i o bohaterskich czynach naszych żołnierzy. Nasz współtowarzysz przez cały czas przeważnie słuchał i nie bierał głosu. Później okazało się, że był zawodowym artylerzystą i brał czynny udział w bitwie nad Bzurą oraz

w odrocie wojsk spod Warszawy. Poprosiliśmy go aby opowiedział coś niecoś o swoich wrażeniach i czynach wojennych. Jest pan numizmatykiem jak wywnioskowałem z rozmowy - powiedział artylerzysta zwracając się do mnie - to z pewnością pana zainteresuje coś o monetach. I zaczął swoją opowieść od momentu, gdy otrzymał rozkaz natchmianstowego udania się w nocy gdzieś w okolicę czy to Łodzi czy Łęczycy - właśnie do dziś dnia tego nie wie - aby wybrać miejsce na stanowisko artyleryjskie i przygotować działa do godnego spotkania nadciągającego nieprzyjaciela. Opowiadający nie mógł sobie przypomnieć, nawet w przybliżeniu, ani na-

zwy miejscowości ani terenu działania. Pochodził bowiem z kresów i tych stron wcale nie znał, pamiętał tylko to, że była ciemna noc i że po parogodzinym marszu zatrzymano ich blisko szosy w jakiejś miejscowości porośniętej dużymi drzewami, zapewne w jakimś parku, gdzie kazano ustawić armaty. Czasu nie było dużo na rozglądanie się lub zasięganie języka. Trzeba było pośpiesznie wybrać dogodny stanowisko, odpowiednio zamaskować i okopać działa i cierpliwie czekać na dalsze rozkazy. Wszystko to odbywało się tak szybko, że tylko na podstawie mapy można było zorientować się co do pola obstrzału. Żołnierze zżawo zabrali się do roboty, a i ja sam też nie próżnowałem i wzięłem się za łopate. W pewnej chwili usłyszałem jakiś dziwny zgrzyt. Poświeciłem latarką w to miejsce i zobaczyłem leżący niewielki garnuszek gliniany, taki jak to często kobiety na wsi używają do mleka. Wyciągnąłem go, okazało się, że jak na swoją wielkość jest dość ciężki. Pomyślałem, że są to może oszczędności ukryte przez jakiegoś gospodarza. Wybrałem trochę ziemi z otworu. Wysypałem nieco

zawartości garnka na dłoń. Były to monety wielkości 50-cio groszówek, ale ładnego złocisto-zółtego koloru. Czasu nie było dużo na rozglądanie się, czy też medytowanie nad znaleziskiem, wysypałem to co było na dłoń do kieszeni, a garnuszek z resztą zawartości zatkałem gliniastą ziemią i wrzuciłem do dziupli stojącego obok drzewa, na którym poprzednio zawiesiłem swój płaszcz myśląc, że potem za dnia w chwili wolnego czasu wyciągnę i obejrzę znalezione pieniądze. Trzeba było spieszyć się z robotą i jak najprędzej zameldować przełożonym o gotowości stanowiska. Zresztą to była wojna i szykowaliśmy się godnie przyjąć intruzów. Mieliśmy ważniejszy problem, a nie jakieś tam oglądanie garnuszków z blaszkami. W krótkim czasie stanowisko było gotowe. Złożyłem meldunek dowódcy. Przyjechał, obejrzał i odjechał polecając działa ściśle wg rozkazu. Ale po kilku zaledwie minutach zadzwonił telefon i otrzymaliśmy nowy rozkaz natychmiast przenieść się dalej na południe. Tej nocy jeszcze dwa czy trzy razy zmienialiśmy stanowiska klucząc po różnych okolicach, prawdopodobnie w kierunku Łęczycy. Nad ranem zaczęła się kanonada. Tak - było gorąco. Następnie otrzymałem rozkaz przedarcia się do Warszawy. Obdarci, zmęczeni, głodni doszliśmy do Modlina. No a dalej to już wiadomo - Kapitulacja i oflag. Któregoś dnia kiedy już byłem w oflagu doprowadzając swój wygląd i umundurowanie do porządku znalazłem w kieszeni garść monet, które swego czasu po znalezieniu garnuszków tam wrzuciłem. Przez ten czas monety obeschły, oczyściły się z brudu, nabrały odpowiedniego wyglądu. Teraz zobaczyłem na nich królewskie popiersia, a na niektórych odczytałem takie napisy jak Sig.III rex poi. itd., a na innych monetach inne imiona już nie polskie. Miałem ich w sumie 17 sztuk. Oczywiście w obozie po obejrzeniu ich zrozumiałem, że były to nie lada jakie oszczędności. Był to prawdziwy skarb, który bezmyślnie został przeze mnie



(fot. Inga Nowakowska)

zaprzepaszczony. Staralem się odtworzyć w pamięci miejscowość, w której wtedy to się zdarzyło. Na próżno. Nikogo z moich ludzi tu nie było, żeby zasięgnąć jakiejś takiej informacji i żeby uprzytomnić sobie ten nocny szlak naszego marszu. Niestety w obozie przesiedziałem kilka lat. Po oswobodzeniu pojechałem od razu w Łódzkie szukać tego miejsca. Niestety nie znalazłem. Osiadłem w Łodzi licząc na to, że może kiedyś natrafię na to skupisko drzew i na to drzewo z dziuplą. Ale jak dotąd na nic podobnego nie trafiłem. Oczywiście nie tracę nadziei. Nawet znalazłem sobie pracę, żeby być jak najczęściej w terenie. Liczę na traf i przypadek.

Tak, westchnąwszy powiedział artylerzysta, skarb w życiu trafia się zazwyczaj jeden raz. Trzeba ten moment wykorzystać. Oczywiście, rzekłem podnosząc kieliszek. A co się stało z tymi monetami, które Pan miał w kieszeni z sobą? zapytałem z zaciekawieniem. Ha! cóż! Powiedział artylerzysta. Póki siedziałem w obozie miałem je przy sobie w portmonetce i od czasu do czasu oglądałem przenosząc się myślą w te piękne czasy, a po

wyjściu z obozu potrzebując pieniędzy na życie, po jednej, po jednej i posprzedawałem je jako złoto. Szkoda - powiedziałem. Ale miejmy nadzieję, że ktoś znajdzie resztę schowaną w dziupli już przez pana.

Długo jeszcze gawędziliśmy, i zartowaliśmy, są różne skarby. Ot chociażby, nasz zacny gospodarz także znalazł skarb w postaci miłej żony, ale tego nie dostrzega, dopiero jak ją straci, zacznie rozpaczać jak ów artylerzysta. Posiedzieliśmy jeszcze jakiś czas a że godzina była dość późna, pożegnaliśmy gospodarzy i poszliśmy każdy w swoją stronę. Zasłyszana opowieść nie dawała mi spokoju, w domu zacząłem się zastanawiać, jak rozpocząć poszukiwania? Skarb zapewne jeszcze leży i czeka na odkrywcę. Postanowiłem go odszukać. Staralem się wykorzystywać każdą okazję wyjazdu w Łęczyckie i Łódzkie, a nawet w Kutnowskie, by pod różnymi pretekstami w parkach badać dziuple starych drzew. Niestety nie dało to żadnych rezultatów.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie redaktor jednej z łódzkich gazet. Szukał jakiegoś ciekawego tematu do reportażu. Ponieważ nie miałem nic co mogłoby go zainteresować, napomknąłem o leżącym gdzieś w dziupli drzewa skarbie monet, który czeka na szczęśliwego znalazcę. Na drugi dzień przeglądając prasę znalazłem notatkę o tym jak to podczas kampanii wrześniowej ktoś znalazł skarb monet, który włożył do dziupli drzewa i teraz zapomniął do jakiego. Uśmiechnąłem się w myśli, no cóż, w sezonie ogórkowym i takie wiadomości trafiają do prasy.

Życie szło swoim torem. Zapomniałem już o notatce i o ciekawej opowieści artylerzysty. Aż tu któregoś dnia przychodzi do gabinetu numizmatycznego dwóch młodocianych kawalerów i oświadczają z pewnym rozczarowaniem, że zgodnie z prasową wzmianką zaczęli przeszukiwać dziuple starych drzew i wsumie znaleźli monety lecz nie w dzbanuszkach, jak pisano, a w sakiew-

ce, i nie złote, a zwykle miedziane. I teraz sami nie wiedzą czy gazeta się omyliła czy oni znaleźli nie to o co chodziło. Młodzi poszukiwacze skarbów wyciągnęli z kieszeni kilkanaście miedzianych małych monetek-szelągów Jana Kazimierza potocznie zwanych boratynkami. Nazwane tak od ich producenta Tytusa Liwiusza Boratoniego, Włocha z pochodzenia, będącego na służbie u króla Jana Kazimierza. Opowiedziałem chłopcom, jak to podczas wojen szwedzkich i kozackich skarb państwowy świecił pustką. Wojna potrzebowała wciąż nowych i nowych środków pieniężnych. I wtedy to znany i bardzo poważany wynalazca i racjonalizator Boratini przedłożył królowi teoretycznie świetny sposób do podreperowania skarbu, Należało po prostu wypuścić w obieg miedzianą monetę. Królowi ten sposób podobał się i wyraził zgodę. Realizację tego zadania powierzono właśnie Boratiniemu. Rozwinął on ogromną produkcję miedzianych pieniążków. Założono w całym kraju około 16 mennic koronnych i litewskich i zaczęto wybijać te monety. Ale wkrótce okazało się, że w kraju niema takiej ilości miedzi. Postanowiono zakupić ją za granicą. I cały zapas złota niezbyt duży wydano na miedź. Produkcja ruszyła, jak to się mówi pełną parą i w latach 1600-1666 wybito ich w całym kraju ponad miliard sztuk oficjalnie, a trzeba dodać, że przy okazji pracowały warsztaty nie oficjalne - pokątnych fałszerzy. Oczywiście król usiłował z fałszerzami walczyć, nawet kazał wypuścić podobną monetę z rysunkiem na głównej stronie tam, gdzie była wyobrażona głowa króla - rękę. Znaczyło to, że każdemu fałszerzowi, którego się przyłapie na fałszowaniu monet zostanie obcięta ręka. Nie bardzo jednak to poskutkowało. Sprawa bardzo się zagmatwała. Okazało się, że pieniądz miedziany nie może zastąpić pieniędzy srebrnych lub złotych. Ludność przyzwyczajona do srebra i złota nie chciała przyjmować miedziane,

nych szelągów. Zaczęły się niesnaski. Rozwścieczeni ludzie napadali na kasy urzędowe, rozbijali i przewracali ławki na rynkach z przygotowanymi do wymiany i zamiany monetami. Jednym słowem powstał jak historycy mówią „Miedziany Bunt”. Widząc takie niepowodzenie Boratini zwał, złapano go jednak i przyprowadzono do króla. Jaka była wówczas rozmowa, co mówił jeden co mówił drugi - nie wiemy, wiemy tylko że Boratini przedłożył inny projekt, w którym podjął się jednak poprawić finanse państwowe. Wyprodukowane miedzianki długo pokutowały w kraju i dopiero Stanisław August Poniatowski częściowo wycofał i przebił je na swoje miedziane monety trojaki, grosze i półgrosze. Do dziś dnia boratynki uważane są wśród zbieraczy za najpopularniejsze monety polskie z dawnych wieków. Po takich wyjaśnieniach rozczarowani „łowcy skarbów” zostawili znalezione monety, niestety bez sakiewki, znalezione w dziupli i poszli szukać i dalej. Na drugi dzień w prasie codziennej ukazała się notatka „w dziupli znalezione sakiewkę z monetami” (Express Ilustrowany Nr 24 /2209/ 29 I 64), gdzie informowano, że dwóch, chłopców w Grotnikach znalazło w dziupli starej lipy sakiewkę z miedzianymi monetami Jana Kazimierza...

Jednak skarb złotych monet widocznie nadal leży w dziupli stuletniego drzewa i czeka na szczęśliwego znalazcę.

Jeżeli kiedyś Wy - czytelnicy „Wędrownika” wędrując przez lasy i osady Ziemi Łódzkiej przypadkowo natraficie na powtórnie ukryty skarb złotych dukatów, nie zapomnijcie, że nauka też chciałaby skorzystać i przynajmniej zarejestrować fachowo to znalezisko...

(Autor był kustoszem Gabinetu Numizmatycznego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi)

Kącik literacki

JOANNA KULMOWA

Ciułanie siebie (fragmenty)

Podobno urodziłam się w Łodzi w marcu 1928 roku. Podobno pierwszy wiersz napisałam, gdy miałam lat 5 - pierwszą sztukę, gdy miałam lat 6. Podobno siedemnastolatką będąc ujrzałam w druku swój wiersz, który spłodziłam będąc trzynastolatką. Podobno wtedy, w 1945 roku wierzyłam, że zdołam naszkicować wierny autoportret. Że odnajdę siebie w sobie...

1. PAMIĘĆ AUTOPORTRETU

*Boże, jeśli mam dojrzeć w bólu -
niech nie dojrzewam.*

*Zostaw mi pełne pustki dzieciństwo.
Zostaw mnie tępą - samotną - czystą.
Spraw, niech mnie fala życia omija
a nie zalewa.*

*Boże, jeśli mam dojrzeć w bólu -
niech nie dojrzewam.*

Kiedy miałam lat siedemnaście, mama często mówiła o samobójstwie, o swoim, oczywiście, ale z powodu jakichś zmartwień, których jej przyczyniałam. Winiłam siebie, nie wiedziałam, że już legła się w niej choroba, myślałam, że jestem gorsza od mamy, bardziej przyziemna, bo nie chciałam się zabić mimo tych lęków, chciałam żyć i zaznaczyć siebie. Podobałam się sobie; Siedząc w otwartych drzwiach balkonowych, rysowałam swoje odbicie w szybie.

Balkon wychodził na okna kamienicy, tuż, tuż po drugiej stronie wąskiej ulicy Wólczniańskiej; Warszawa już minęła, tutaj była Łódź, do której w lutym wróciłyśmy z mamą, właściwie miałyśmy wrócić, ale to nie był powrót, nie oddano nam przedwojennego mieszkania rodziców na Sienkiewicza, tego mieszkania, które było tak piękne, że w jego prawdziwość nigdy nie wierzyłam. Nie uwierzył nam też ten powojenny komendant straży pożarnej, nawet nas nie wpuścił za próg: bał się,

że meble rzucą się nam do nóg ze skomleniem. Więc byłyśmy biedne jak myszy kościelne i przyjął nas do swego zagęszczonego mieszkania stary doktor Heymann, który w każdym pokoju gościł kogo innego, a nawet w spiżarni gościł mojego kuzyna Jerzyka, spiżarnie i tak dawno już przestały pełnić swoją funkcję. W służbowce mieszkała samotna panienska, chociaż nie służyła nikomu; w części korytarza mieszkała niemiecka rodzina wyciągnięta przez Heymannów z trudem z łódzkiego obozu dla Reichsdeutschów; w dawnym gościnnym mieszkała córka doktora, pani Aniela, której zamordowano ukochanego synka; w dawnej sypialni mieszkały trzy wysiedlone ze Lwowa panie, w dawnym salonie mama ze mną, a w przechodnim pokoju doktor gościł samego siebie. Ach, gdzieś upakowano jeszcze dwie zupełnie nędzarki z kazachstańskiego zesłania i piękną panią Ziutkę, dziwnym jakimś trafem nie dostrzeloną w podwarszawskim lasku przez słynnego mecenasa Mazurkiewicza z Krakowa.

Mieszkanie, zwane w tamtych czasach „kołchozem”, dyszało więc historią, oczekiwało tragizmem, a ja w naszym eks-salonie tańczyłam i śpiewałam przed pozostałym po dziadkach lustrem, aż dwie młode prostytutki z domu po drugiej stronie Wólczńskiej pokazywały mi język i co tam jeszcze mogły, wołając: „Artystka ze spalonego tyjatru!” Widać wiedziały swoje, ja nie wiedziałam wtedy, chociaż teatr od dawna był dla mnie najważniejszy, tym bardziej że aktorka Teatru Wojska Polskiego (cóż za piękna nazwa!), Kropka Gosławska, dawała mi wejściówki, po które wciąż biegałam do niej za kulisy; Kropka była niegdyś żoną mojego kuzyna Wacka, a choć zniknął on w czasie wojny, później zaś podobno ujawnił się w teatrze u Andersa, Kropka nie mogła tak łatwo uwolnić się ode mnie.

Strasznie się na mnie niechcący odegrała: dała mi wejściówkę na cudowne przedstawienie „Elektry” Giraudoux w reżyserii Edmunda Wiercińskiego - dała raz i drugi, bo ja się w tym spektaklu zakochałam bez pamięci: w Zofii Małynicz jako Klitemnestrze, w Halinie Kosobudzkiej jako Elektrze, w Jacku Woszczerowiczu jako Żebraku-bogu, w Barbarze Rachwalskiej w roli Kobiety Narses (miała przedziwnie świeży głos); tylko wiotki i błądy Orestes widział mi się piśszczoszką bez wyrazu, ale nic dziwnego, gdyż był to Jan Świdorski. Orestes nie leżał w jego życiowym emploi, chociaż Świdor wydawał się sobie wówczas amantem niezwykle pociągającym.

Tymczasem śniłam „Elektrę”, żyłam „Elektrą”, pisałam o niej na polskim recenzje, rysowałam jej postać, roił mi się niewidzialny ptak nad Argos, przyprowadzając mnie o dreszcz. To on opętał mnie swoim kołowaniem, nie mogłam wydostać się z zakreślonego przez niego kręgu. Kręgu metafizyki? Kręgu teatru?

Dawno już usiłowałam ratować się komedianctwem: kiedy gnieździłyśmy się jeszcze z mamą przy ulicy Piotrkowskiej, próbowałam udawać przed sobą i innymi, że jestem KIMS; otwierałam wtedy drzwi pacjentom wuja Marka i dostawałam pięć złotych od tępka. U wujka leczyli się ludzie teatru, więc ja na ich konto przesiadywałam w poczekalni z „Weselem” albo „Dramatami królewskimi” Szekspira, kiedyś nawet zagadnął mnie zaintrygowany moją dobrze eksponowaną lekturą dyrektor Macierakowski, a ja skromnie szepnęłam, że znam już

to niemal na pamięć, co w wypadku Wyspiańskiego nie było dalekie od prawdy: podczas wojny ojciec, nie mając innych zajęć, deklamował mi patetycznie to „A gdy mi przyjdzie świat porzucić...”, to znów „Cóż tam, panie, w polityce?” albo „Oczyść mą duszę, Święty Boże!”

A tak bardzo chciałam być kochana, zabiegałam o to przecież nieustannie, grając siebie wobec ludzi taką, jaką w moim pojęciu pragnęliby mnie widzieć - i denerwując się, że nie zapamiętałam roli, w jakiej dla nich przy pierwszym spotkaniu wystąpiłam; na myśl o ewentualnych pomyłkach pocilałam się ze strachu, rozważałam swoje prawdziwe i domniemane gafy przed snem, nie mogłam przez nie zasnąć... Nie bałam się ośmieszenia: bałam się niemiłości. Może to było przedłużenie lęku o własne bezpieczeństwo - rezultat tamtych strasznych lat okupacyjnych? A może właśnie syndrom aktorski? Albo też inaczej: jedno wynikało z drugiego - syndrom aktorski z obawy przed światem?

Bo na samym początku, tuż po wojnie, kiedy nagle uwolniona od lęku siedziałam w drzwiach balkonowych szkiełując swoje odbicie, bałam się tylko zgubienia siebie - zgubienia mojego JA. Miałam odwagę autoportrecistki, nikt nie był tu potrzebny, dopiero później przyszły spojrzenia cudze, które odebrały mi dziecienną pewność i zapragnęłam chować się, ukrywać w innych JA - w każdym po trochu.

W dzień Balladyna albo Goplana,

a teraz ja:

ja smutna, ja zła, ja stroskana

i ja we łzach.

Mogę być Mańką. Dulską. Heleną.

To trudno - gra.

Ale wieczorem zrywam ze sceną

i jestem -ja.

Tak widziałam siebie, gdy byłam na drugim roku Szkoły Aktorskiej, a przecież już się wtedy pogubiłam w maskach teatralnych i prywatnych, już nie byłam pepkiem świata, już mój autoportret zamazał się w cudzych spojrzeniach, jak domniemany portret pamięciowy, z którego odtwarza się ściągane...

2. KALOSZE SZCZĘŚCIA

Kto ma skrzydła, nie powinien tęsknić do kaloszy, nawet andersenowskich, cóż, kiedy o tym, że mam skrzydła, wiedziałam tylko ja, nie zaś moje wiecznie skłócone ze mną kończyny, zwłaszcza stopy, które ostro buntowały się przeciw mokrym bucikom. Te ciężko doświadczone półbuty wyszły z płonącej Warszawy, przebijając się przez góry zburzonych barykad i leje po bombach, przemaszerowały przez kurz podwarszawskich dróg i po długim, pełnym uciążliwych przygód, dreptaniu po Gołąbkach, Podkowie Leśnej, Tomaszowie i Łodzi, odmawiały mi posłuszeństwa - nie znosiły przyziemnych kałuż.

Każde więc kalosze byłyby dla mnie wówczas kaloszami szczęścia, nawet gdybym nie spotkała kogoś z andersenowskiej bajki; bo przecież kiedy pan Jan Marcin Szancer - wyraźny model własnych rysunków - poprowadził mnie przez ciemny korytarz, ażeby mnie wepchnąć do pokoiku redakcyjnego w brudnym domu prasy przy ulicy Piotrkowskiej, nie wiedziałam jeszcze, że mogę tam spotkać wróżkę, w kolorze co prawda czerwonym, ale zawsze wróżkę.

To fakt, że pomimo zburzenia, ba, skompromitowania przez wojnę mojego dzieciństwa, mimo dotkliwie realnych przeżyć okupacyjnych, mimo bezdomności, biedy i wycieńczenia, wciąż jeszcze żyłam w obłokach idealizmu, spodziewając się lada dzień jakiegoś cudu, z czego zresztą nie miałam wyrosnąć nigdy: kiedy zatem pukałam do drzwi mieszkania Brzechwy w zaczarowanym domu literatów na Mickiewicza, nie wątpiłam, że za chwilę mój z dawna mi wiadomy geniusz poetycki zostanie odkryty; naprawdę wierzyłam w bajki!

Ale drzwi nie otworzył Brzechwa, lecz chudy jego-ność o powierzchności Konsyliarza z „Dziadka do orzechów” - tyle że bez czarnej opaski na oku.

- Wielbicielka Brzechwy? Masz babo placek, jeszcze jedna. Co, wiersze piszesz? Gdyby moja córka pisała wiersze, tłukłbym ją codziennie.

Przeczytał jednak w zastępstwie Brzechwy moje gryzmoły i - uderzony ich oczywistą doskonałością - oświadczył:

- Nie znam się na tym, pójdiesz do „Świerszczyka”, tam ci to wybiją z głowy.

Prawdę mówiąc „Świerszczyka” właściwie jeszcze nie było, miał się dopiero wykluc z czytelnikowskiego jajka razem z „Przyjacielem”; była jednak wędrowka za długonogim Szancerem przez Mickiewicza, przez Piotrkowską, wzdłuż tajemniczego muru z owalnymi otworami, za którymi odgadywałam ogród; koło dawnej kawiarni Piątkowskiego (jakie tam kiedyś były eklery i ptysie!); aż za Przejazd, do wysokiego gmaszyska, gdzie przed wojną wylegiwały się na wystawie leniwe cielska maszyn do szycia Singera. Lewa oficyna, paskudna winda, wreszcie gdzieś na drugim piętrze ten czarny korytarzyk jak z niemych filmów amerykańskich, zapach zgnilizny i smarów, i nagle pokoik pełen światła, smugi kurzu tańczą w słońcu, w rudych smugach widmowo majaczą dwie istoty - w aureolach podświetlonego pyłu niby dwie dziwne, czerwone wróżki.

W owych niezwykłych czasach spora część tych pań nazywana była „ciotkami rewolucji” - a nie było to miano zaszczytne. To prawda, że niełatwo odróżnić dobrą wróżkę od złej, w tamtym okresie nie wszystkie przecież ograniczały się do kontaktów z dziećmi: powiadano nawet, że bywały i takie, co spluły nosiły i miały niemały udział w sprawach gardłowych. Te dwie tutaj winne były jednak pochylać się nad kołyskami, aby szeptać dziecinom co trzeba, ażeby je wychować w duchu Kraju Rad, który owe ciocie poznały - niekoniecznie z własnej woli - jak najbardziej osobiście; spluły i oskarżycielskie pohukiwania nie wchodziły więc w rachubę.

Drobna i wymizerowana Wanda Grodzieńska, brunetka o ziemistej cerze i zapadniętych policzkach, paliła właśnie papierosa w długiej fifice szklanej, zaciągając się tak gorączkowo, jakby miała do czynienia z czarnoksiężkami nargilami, których dym wywołuje dżiny i zapomnienie. Zajął się mną przeto pani Inka, szerokobiodra, flegmatyczna, o białoróżowej cerze i pełnych, niezwykle czerwonych wargach, może trochę i ciotczyna, lecz bez wątpienia rewolucyjna, pochodziła bowiem z rodziny Wery Koszutskiej-Kostrzewy, zaś eks-mężem jej był zagorzały komunista, redaktor Michał Hoffmann, ten sam, który po latach miał mnie zwymyślać od samobójczyń spod znaku Majakowskiego; tu jednak nie mogło

jeszcze o samobójstwie być mowy: nad moją literacką kołyską pochylała się ciotka rewolucji, niezawodna, pewna swych racji, ideologicznie bezbłędna.

Może i proletariacki był mój debiut, bo ta „Historyjka cała jak muszka w polewce pływała” powstała w czasach biedy, w roku czterdziestym pierwszym albo w czterdziestym drugim. Żyliśmy wówczas z udzielanych przez tatę lekcji języków, z jego wygranych w brydża, z maminej roboty na drutach, a było to życie tak nędzne, że mając naoczas lat trzynaście, napisałam i zilustrowałam książeczkę - bajeczkę, żeby dostawać za nią przez całą zimę kartofle w sklepiu pani Drzewiczowej, która stała się w ten sposób pierwszym i chyba ostatnim moim mecenasem.

I oto pierwszego sierpnia czterdziestego piątego roku, nadęta jak paw, biegam od kiosku do kiosku przez tasiemcową Pietrynę sprawdzając, czy za szybą wisi inauguracyjny numer „Przyjaciela” z pięknie zilustrowaną przez panią Olę Siemaszkową „Historyjką” na okładce - i jest, jest moja bajeczka!

Nagle cud: dostaję kalosze szczęścia, płytkie gumowe kalosze, które się jeszcze wtedy wkładało na buty.

- Nasza autorka nie będzie chodziła boso - mówi pani Inka, pasując mnie w ten sposób na autorkę, na Prawdziwą Naszą Autorkę.

Kaloszami? Ostrogami! Ostrogami szczęścia?

3. KŁOPOT Z OSTROGAMI

Czy naprawdę mogła nazywać mnie NASZĄ?

Zamazałam wprawdzie doszczętnie w paru fałszowanych coraz to inaczej życiorysach kapitalistyczne pochodzenie, ale kiedyś sama przyznałam się niebacznie do kupionej przez panią Inkę na targu książeczki z serii Bibliotheque Rose, „Quel amour d'enfant”, opracowanej w czerwone płótno ze złoceniami; książka była wyraźnie z domu dziadków, znałam ją dobrze, miała obrazki pokolorowane przez moją mamę farbami wodnymi oraz wielki, niewydarzony podpis ciotki: „Gnougna”, co miało być francuską transkrypcją polskiego idiotycznego zdrobnienia „Niunia”. Zbieg okoliczności był tak niezwykły, wreszcie metafizyczny tak wyraźny, że mimowiednie wymknął mi się okrzyk: „To książka mamy!”, nie mogłam już tego w żaden sposób zaklepać - tak paskudnie zdemaskowana, zapraszana bywałam nadal do Koszutskiej na herbatki w gronie najbliższych, czyli młodzieży uświadomionej ideologicznie, która niewątpliwie mi imponowała, jako że był to tak zwany „beau monde”. Olga - córka pani Inki, obie Broniewskie i Janka Rafałowska wciągały mnie w gorące dyskusje o prymacie bytu przed świadomością, lecz ja byłam na etapie dualizmu, zapisywałam w swoich notatkach, że historia to powracający krąg i w żaden sposób nie dawałam się przekonać do noszenia białej koszuli i czerwonego krawata, choć Majka Broniewska i Wiktor Jakubiński wyglądali w nich prześlicznie - nazwano mnie więc „krzaczkiem przydrożnym”, dano ostatecznie spokój wychowaniu w duchu Koszutskich; pozwolono jednak przesiadywać w ciepłe i zajadać kanapki na prawach bezproduktywnie utalentowanego przygłupa.

Z początku nie było tak źle, trzeba się było tylko opowiadać mamie, dokąd się idzie, żeby wiedziała, gdzie wpadnę w kocioł, bo poniekąd ludzie znikali wtedy bez śladu; nie można było zbyt otwarcie rozmawiać z

nieznajomymi, a nawet ze znajomymi, gdyż dziwnie dużo namnożyło się nagle przedstawicieli proletariatu o rozwiniętym od kolebki instynkcie klasowym, co mnie zraziło trochę do entuzjastycznego plebsu; fruwałam sobie jednak lekko od „Przyjaciela” do „Świerszczyka” i od „Świerszczyka” do niedzielnego dodatku „Dziennika Łódzkiego”, biegałam do szkoły, siadałam w pierwszej ławce obok mojej niezwykle katolickiej przyjaciółki Elżuni i odwracałam się nieznacznie do ławki drugiej, żeby materialistka Olga mogła podsunąć mi ściągę z algebry - Elżunia nie pozwoliłaby sobie na taką nieuczciwość... Pisywałam wiersze dla własnej zabawy, dla fantazji, dla żartu, bez najmniejszej chęci pouczania maluczkich, śmieczyło mnie bezbłędne ideologicznie moralizatorstwo. Jakkolwiek do szkoły musiałam człapać w darowanych przez panią Inkę kaloszach, do pisania wystarczyły mi własne pióra, cieszyłam się z ich lotności, na szczęście moja polonistka, pani Plocerowa, także.

Tymczasem jednak coraz więcej pojawiało się wokół mnie białych bluzek z czerwonymi krawatami i gęstniały szeregi entuzjastów. Na ich uroczyste pochody miałam sposób: mdałam sobie dramatycznie i wtajemnicznie koleżanki - Iza i Elżunia - wywlekały mnie z szeregu.

Gorzej było z wyćwiczeniem sztuczek przeciw zwierającemu szyki marksistowskim belfrom, a oto nadciągały czasy ich triumfu, zagęszczała się atmosfera w redakcji. Koszutska - niezmiennie spokojna i uśmiechnięta - nie traciła wychowawczej pryncypialności, pisząc dość sympatyczne opowiadanka o dzieciach, takie „kawałki z życia”, mnie jednak zezwalała na nieżyczliwość, nie obawiając się wcale, że kropla błękitu zaszkodzi zalecanej czerwieni; ale nawet najodważniejsze ciotki musiały wreszcie podporządkować się wujkom: panią Inkę zesłano do Warszawy na nową odpowiedzialną placówkę, pani Wanda zaś przyjmowała mnie w redakcji „Świerszczyka” z coraz mniejszym entuzjazmem, aż któregoś dnia powitała stokroć bardziej szorstko niż zazwyczaj:

- Nie przynoś tych bajeczek, postaraj się pisać inaczej, tu nie chodzi o twoją prywatną zabawę, ale o dzieci, które powinny...

Chwycił ją kaszel, suchy kaszel palaczki - i zrobiło mi się jej żal, kiedy tak bez słowa kręciła głową nad moim wierszem o życzliwym cieple, co wybiegło z kamienicy w pudełku zapalek:

Biegnie boso po słończku,
śnieg pod nim topnieje.

Takie małe - z ciepłej sieni
na mróz, na zawieję...

- Co to za liryka? Dzieci wcale nie rozumieją. I po co to, cui bono?

W warszawskich redakcjach, które łączywie wchłonęły łódzkie pisemka, również uważano mnie za spóźnioną; ani w Iskierkach, ani w „Płomyczku” nie chciano patrzeć na jakieś tam niewychowawcze, lirykujące wierszyki, pozbawione narodowej formy i socjalistycznej treści - nie miałam po co chodzić na Spasowskiego, do kombinatu Naszej Księgarni.

Zaglądałam za to na Wiejską, bo tam Koszutska redagowała babską „Przyjaciółkę” - znów postawiono panią Inkę na odpowiedzialnym stanowisku, by pryncypialnie wychowywała traktorzystki, murarki i konduktorki tramwajowe, ale ona jakoś z dniem każdym mniej miała serca dla zawodów, a więcej dla ludzi: była wszakże

produktem polskiej, społecznikowskiej odmiany socjalizmu i nie wrogość do posiadaczy, lecz miłość do nędzary rzuciła ją w objęcia Rewolucji... Była straceńczo odważna - i coraz bledsza, jakby czerwień uchodziła z jej żył. Czy zawiodła się na rewolucji? Czy towarzysze zrobili jej psikusa? Czy rozczarowała się do partii? Uśmiechała się łagodnie jak dawniej, ale nie widywałam już doleczków na jej miłej, ciotczynej twarzy. Pewnie ucieszyłaby się, gdybym jej powiedziała, że po latach spotkam Olę, odmienioną nie do poznania, na pogrzebie księdza Popiełuszki; ale cóż, tego nie mogła przewidzieć... Umarła, zanim się to stało, nie wytrzymała wstrząsów, jakie zgotowała jej szydercza historia, płatająca małpie figle tym, którzy chcieli ją kształtować.

Z największym z tych szyderstw starła się w roku ześdziesiątym ósmym. Tym razem nie chwyciła słuchawki redakcyjnego telefonu, nie usiedziała spokojnie za biurkiem w jasnym pokoiku przy Wiejskiej, bowiem przebrała się miarka: zaczęły się antysyjonistyczne hece, Koszutskiej kazano oczyścić pismo z osób brzydkiego pochodzenia.

Powiadają, że była jedyną osobą, która dotarła wtedy do towarzysza Wiesława i odważyła się go zwymyślać, przyprowadzając go niemal o apopleksję: „se non e vero, e ben trovato”, tak właśnie postąpić mógł ktoś, kto rozdawał biedakom kalosze szczęścia, kto nawet „krzaczkom przydrożnym” przypinał ostrogi, choć same z nich później wynikały kłopoty.

4. SZTUKA NIEBYTU

Literaci! To było fascynujące, jakże pragnęłam, by mnie zauważyli; jeśli nie jakiś tam wykpiony Peiper czy nieokreślony Putrament, to przynajmniej ów okazały, reprezentacyjny Paweł Hertz, zawsze świeżo ogolony i przechadzający się tam i sam z ogromnie prześliczną miną - imponował mi niezmiernie, chciałam być równie ważna, dekoracyjna i wyniosła, czułam, że ocieram się o wielkość lub chociażby cień tej wielkości... Od niej to, czyli od pisarzy, nabrała mickiewiczowskiego blasku ta ulica, która przed wojną, jak pamiętałam, nosiła miano biskupa Bandurskiego.

Nie licząc prawie trzech poprzednich klas, zdałam cudem jakimś do klasy czwartej gimnazjalnej, gdzie nie uczyłam się jednak jeszcze o tym, iż najpierw dla literatury ojczystej ważny był Peiper, a niedługo ważny będzie Putrament: Peiper dla awangardy międzywojennej, Putrament dla straży przedniej socrealizmu, którego wówczas nie przeczuwał nikt chyba, ja zaś najmniej zapewne, interesowałam się bowiem głównie - jeśli nie wyłącznie - sobą, przebiegałam się ukradkiem przez czwartą klasę i jako osiemnastoletni szczeniak, który się jakoś tam zapowiada - uczestniczyłam z wolnej stopy w dwóch zebraniach Koła Młodych Literatów.

Młodzi owi literaci robili na mnie wrażenie bardzo starych i zabawnych, wydawali mi się napuszeni, na siłę nowocześni, nikt z nich nie pisał wierszem tradycyjnie „wysokowarsztatowym”, Anna Pogonowska namawiała mnie usilnie do zaniechania rygorów, Jan Papuga śmiał się z mojej niedojrzałości - a ja podejrzewałam, że odrzucenie rymu i rytmu wynika u nich przede wszystkim z niemocy; sztuczne konstrukcje słowne i metaforyczne nazywałam w duchu „wciskaniem pasty z powrotem do tubki”. Kto pokazywał się tam z wiel-

kich świata tego: Buczkówna, Braun, Woroszyłski? Jan Aleksander Król z chłopskiej Wsi? Nie pamiętam, nie przywiązywałam do tego wagi, czułam się „nietutejsza”. Śmieszyła mnie sztywność spotkań przy owalnym orzechowym stole, w okolonej zakurzonymi stiukami jadalni mecenasa Moszkowskiego. Zebrania organizowała pobudzona intelektualnie siostra adwokata, pani Cenia - niewysoka, o złotych, splecionych nad czołem w grubo obwarzanek włosach. Było to jedno z owych wysokich, wyziebionych, opustoszałych mieszkań w secesyjnym domu przy Piotrkowskiej; na marmurowej klatce schodowej dogorywały niedobitki witraży, gipsowych posągów i nikomu dziś nie znanych spluwaczek. A mnie przenikało zimno; pamiętałam jeszcze te pokoje w ciepłym blasku kryształowych żyrandoli i kinkietów; w śmiechu dzieci, zjadających podczas „kinderbalów” małe pufurki od Piątkowskiego - zamyślałam się przeto, odpływałam, byłam gdzie indziej, jak zwykle, jak zwykle.

Łódź ówczesna skrzydłom sprzyjała: w kawiarniach Mokka, Marago, Fraszka przesiadywali Schiller i Węgrzyn, Hańcza i Daczyński, w teatrach grano cudowną „Elektrę” Giraudoux w reżyserii Wiercińskiego i „Amfitriona 38”, przysposobionego, zdaje się, przez Korzeniowskiego, na Pietrynie spotykało się Woszczerowicza,

ZYGMUNT BARTKIEWICZ

Złe miasto (fragmenty)

Ze sztuk pięknych, jakie zapuściły wątle korzonki na nieurodzajnej glebie przemysłowo-handlowego żywiołu, jedna jedyna architektura cieszyła się wyjątkową opieką miejscowych obywateli, lecz dziś, niestety, jej kapłani, choć tak dalecy od stworzenia w budownictwie złoto tego okresu, wyrzec się muszą złotych dochodów - na długo. I patrzą z żalością na ciche, puste place, bo nie buduje nikt, jako że nawet hipoteki dziewictwo, jej pierwszy numer, nie budzi już żądź, bo to „żaden interes jest”.

Parę pałaców, mniej niż więcej gustownych, wystawionych przed dwudziestu laty przez fabrykantów, wywołało pragnienie naśladownictwa tak namiętnie powszechne, że dziś miasto mogłoby się wyrzec z korzyścią wielu budynków, pragnących za pałace uchodzić. Czy jest w nich styl, czy odpowiadają one zewnętrznie lub wewnętrznie potrzebom swoich właścicieli, inna to rzecz, ale to pewna, że błyszczą szyfrowymi dachami, dziesiątkiem złożonych balkonów, budzą więc w dalszych szeregach obywateli zazdrosne pragnienie posiadania jeszcze bardziej błyszczącego, jeszcze więcej wygipsowanego pałacu czy domu.

Nic dziwnego, że wobec tego prądu popisywania się majątkiem, a przy sposobności i brakiem gustu, tworzywa tutejszych architektów, najczęściej popolitych „baumeisterów”, dalekie od stylu, lecz z ozdobami spazzonego baroku lub też jakiegoś niemieckiego renesansu, te duże ciężkie domiska z czerwonej cegły, upstrzone majoliką lub pstrą malaturą, stanowią ciekawą dziwolągą nawet dla cudzoziemca, o ile poza wełną, bawełną coś jeszcze w tym mieście obchodzi.

I dziwne to jest, bo są w Łodzi dwaj, trzech architekci wybitni, ludzie szczerego talentu i poczuć wytwor-

Erwina Axera i młodego Jerzego Duszyńskiego, czasem zaglądał do Łodzi nawet Osterwa z Krakowa, żeby odbijać się pięknie w lustrach Szkoły Teatralnej; do Klubu Pickwicka chodziło się na spory Kotta z Sandaurem, Sandauera z Kottem, dwóch pewnych siebie krzykaczy, z których każdy po wypowiedzeniu swojego zdania rozglądał się triumfalnie dokoła.

I oto nagle uciekła mi literatura z Pickwicka, czyli z hotelu Savoy do dalekiej dla mnie Warszawy, Piotrkowska opustoszała, już tylko profesora Jerzego Toeplitza, tak zwanego Tusia, można było wypatrzyć wieczorami w okolicy Savoy - lecz nic w tym dziwnego, skoro w Łodzi rozkwitać zaczęła uczelnia filmowa wraz ze swoją prostacką butą, która zalać miała później moją Szkołę Aktorską. Zniknął dekoracyjny Paweł Hertz; zniknął antagonistą piskliwego Kotta - mile zadowolony z własnych conceptów Artur Sandauer; umilkł zjadliwy bardziej niż wszyscy oni razem wzięci Janusz Minkiewicz razem z moją byłą ciotką Kropką, która przez pamięć Wacka udzielała mi wejściówek do raję; całe towarzystwo przeniosło się do warszawskiego już Klubu Literatów.

(tekst stanowi wybrany fragment książki „Ciulanie siebie”, Twój Styl, Warszawa 1995)

nych, a i ci ulegają niekiedy wprost niepojętym żądaniom tych, którzy płacą. Rzeźba, ta rodzona architektury siostrzyca, równie ciężką jest dotknięta niemocą. Zeszedłszy na usługi kamieniarsstwa lub sztukaterii, tworzy nagrobki kamienne lub gipsowe kariatydy, podpierające balkony lub wykusze tutejszych niby-pałaców. Zaledwie kilka grup, modelowanych przez zmarłego Wojtasiewiczza, parę posągów pana Wąsowskiego, a w ostatnich czasach Urbanowskiego, wyróżnia się z rzemieślniczej roboty, gdzie nie tylko ani śladu polotu, architektonicznego związania całości, ale nawet nie ma wymiaru.

Malarstwo cokolwiek lepszej zażywało doli, bo wspierali je Żydzi. Jedyni to byli goście smutnej pamięci artystycznego salonu, w którym jednak zazwyczaj taka była pustki ponurość, że uciekał stamtąd właściciel, mówiąc, że na wystawie coś straszno. Na tak niepewne przedsięwzięcie pono znów ktoś się odważył, choć kilku artystów barwnego kunsztu rozbiegło się po świecie, może za śladem swych jedynych klientów. Pozostało paru zaledwie, a i ci nie jedwabne mają tu życie, słuchając dzikich na sztukę poglądów, gdy chodzi o to jedynie, aby się nieco wygadać i - splunąć, od czasu do czasu, na to, czego się nie rozumie już nigdy, a co jednak niepokoi i gniewa.

Wierny miastu pozostał jeden z najpopularniejszych mieszkańców, stary malarz, p. Dawid Modensztejn, doświadczony, sumienny pracownik z tych czasów, kiedy to nie tak łatwo było zostać artystą, jak dzisiaj, gdy kurs malarstwa trwa równie długo, jak nauka jazdy na rowerze, po czym już wolno prawić od rzeczy o tym, czego zrozumienie całego życia wymaga.

Istnieje tutaj szkoła muzyczna, jest „Lutnia” pod dzielnym wodzem Alojzym Dworzaczkim pierwsze, jedyne prawdziwie polskie stowarzyszenie w tym mieście, gdzie prą się z zawziętością wszędzie - obce a wrogie żywiły. Wesoło też tam bywa i po polsku - huczno.

Prócz „Lutni” - „Lira”, więc dzwoni śpiewem Złe miasto, i dobrze, bo może zgłuszy złowrogi jęk nędzy. A jęk to coraz głośniejszy, bo raz wraz tu trzy dni, tam cztery na tydzień pracują fabryki, a ileż takich, gdzie wcale nie ma zajęcia ten dzisiaj już cichy, uległy, zbiedzony robotnik.

Kilkunastu dziennikarzy jest tutaj, i zdolni niektórzy i mierni, i popularni, i mniej popularni, jednak bodaj najczęściej znaną postacią, coś niby zmarły Fryze w Warszawie, jest Aleksander Milker, redaktor. Niemieckie pismo prowadzi, lecz szczerzy Polaków przyjaciel, umie godzić dwa wrogie obozy i myśli o możliwości polsko-niemieckiego porozumienia. Znawca sztuki wytrawny, zna „kuchnię teatru” i teatr, obrazy rozumie, na nowe kierunki patrzy spokojnie, nie rozgląda się nerwowo po ludziach i rzeczach, na kim czy na czym by tu można zarobić i kocha wiernie swe powołanie - jednym słowem, człek rzadki.

Jest także Wład. Ratyński, wybitnych literackich zdolności, lecz zatracający je z wolna przy „kronice bieżącej” i innych życiowych wypadkach, jest Wiktor Czajewski, autor pożytecznej książki, Starej Warszawy, obecnie pracą społeczną nie pojętą dla tutejszych działaczy zajęty, bo książki dobre a tanie wydaje i traci, jest wreszcie komediopisarz i felietonista, Stanisław Łapiński, starej, dobrej szkoły, poprawnego, giętkiego języka, użyteczny pracownik, tudzież zajmujący się „bandytyzmem”, „włamaniami” Kazimierz Kamiński, jako że ten dział w pismach do niego należy.”

Przed laty dwudziestu był „Dziennik”, dobre głowy przy nim stanęły i żywe serca. Trwał przez lat dziewięć, aż został „z powodów od redakcji niezależnych” zamknięty.

Przez długie lata duch jego błakał się nad ciemnościami, aż zjawił się p. Wiktor Czajewski i widział, że złe

JANUSZ DUNIN

Z pamiętniczka pensjonarki

Onegdaj w łódzkim antykwariacie, wśród rozrzucanych drobiazgów ujrzałem niewielki, ozdobny albumik z wytłoczonym francuskim słowem „Poesie” - typowy pensjonarski dzienniczek. Zauważyłem w nim spis czytanych, czy też posiadanych książek i to mnie zainteresowało. Przyniosłem go więc do domu, a dokładniejsza penetracja rękopisu przekonała, że mam w ręku ciekawy przyczynek do tego, jak kształtowały się stosunki narodowościowe i kulturalne w łódzkiej rodzinie inteligentkiej właściciela księgarni Ludwika Fischera (1844-1900) i jego żony Melanii, z domu Miks oraz ich dzieci, z których dwoje obdarzono imionami rodziców - starsza Melania i młodszy Ludwik, zwany Luniem, ten sam, który w późniejszym czasie podpisywał się Fiszler i stał się w Łodzi i Warszawie popularną postacią, wydawcą, przyjacielem literatów, autorem „Wspomnień starego księgarza” (1959), w których pomija, niestety, opis

było - ukazał światu prospekt „Rozwoju” i rzekł: niech się stanie światłość! - zaczęłam stworzył z niczego współpracowników i począł kusić gnuśne prenumeratory.

Trudne przeszedł dziennik początki, bo wnet i współzawodnik się zjawił, „Goniec” mu było na imię, ale ten całkiem nie sięgnął zadania: prowadzony bez ładu, zmienny i chwiejny, dziś przyobłął się w barwy niepolskie.

„Rozwój” na swym stanowisku pozostał. Jak zaczął, tak przetrwał lat dziesięć, a czy lepiej się działo, czy gorzej, zawsze szczerze polskim był pismem, polskim sprawom służył jedynie, aż oczywiście poszedł za tak zły myśli kierunek do kozy. I wtedy dopiero odczuło, jak potrzebne jest pismo, gdy pisma zabrakło.

(1907)

Przywołany przez Bartkiewicza Feliks Fryze (1843-1907), założyciel i wydawca „Kurier Porannego”, był uznawany za jednego z najwybitniejszych dziennikarzy warszawskich. Aleksander Robert Milker (1867-1924), dawny współpracownik „Lodzer Zeitung”, wraz z Aleximem Drewingiem (1869-1924) założył w 1902 r. dziennik „Handels- und Industrieblatt. Neue Lodzer Zeitung”, przemianowany w 1910 r. na „Neue Lodzer Zeitung”. Po jego śmierci pisano: „Obywatelskie cnoty Zmarłego, rzadkie zalety osobiste, niezwykła uczynność i dobroć charakteru, zaskarbiły Mu w Łodzi powszechną sympatię i ogólny szacunek” („Dziennik Zarządu m. Łodzi”, 1924, nr 49, s. 14). Władysław Ratyński (1870-?), w owym czasie sekretarz redakcji „Rozwoju”, autor przeglądów prasy rosyjskiej, Stanisław Łapiński (1848-1921), dziennikarz, literat i krytyk teatralny, pisał w „Rozwoju” sobotnie kroniki tygodniowe, recenzje teatralne, kierował działem politycznym. Kazimierz Kamiński (1860-1921), początkowo reporter „Gońca Łódzkiego”, od 1905 r. członek redakcji „Rozwoju”, prowadził w nim kronikę miejscową i sądową.

Andrzej Kępa

(Biblioteka „Tygla Kultury” tom 14, wydanie I, Łódź 2001)

domu rodzinnego. Wspomniany albumik dostała mała Melania zapewne na Gwiazdkę roku 1884, a rozpoczęła prowadzenie dzienniczka 1 stycznia 1885 roku. Miała wówczas niespełna 11 lat. Pod datą 1 lutego pisała: „Jutro moje urodziny, cieszę już bardzo. Babcia piecze babki, pączki i faworki. Skończę już 11 lat...”, a następnego dnia notowała „...dostałam 4 pary rękawiczek, kwiaty, towar na sukienkę, serwis i książki, cukierki, migdały, pomarańcze i jabłka...” Małego, pięcioletniego Ludwika, autorka lekceważyła, wspominała go tylko mimochodem „...przed obiadem ja z siostrami i Luniusem poszliśmy do ogrodu...”, a później „...na Luniusia upadła szafa i o mało go nie zabiła.”

W dzienniku Melania odnotowywała różne małe radości i smutki oraz sensacyjne wydarzenia, do których można było zaliczyć złapanie służącej na kradzieży pierścionka za 40 rubli. Niewiele też miała do opowiada-

nia, dlatego zapewne czytamy zdania w rodzaju „...mój Boże! Jak długo już nie pisałam w moim dzienniczku”. Wizyty, święta, a wreszcie częste choroby, które zatrzymywały ją w domu, skłaniały do kolejnych notatek. W roku 1897 Melania przygotowywała się do egzaminu do szkoły w Warszawie, a w roku 1898 zapisała już wprawą ręką, że jutro Prima Aprilis! I na tym koniec, nie wiemy, czy planowane figle się udały. Nie warto byłoby rozwodzić się nad dziecięcą pisaniną, gdyby nie fakt, że w albumiku uczennicy znajdujemy teksty aż w czterech językach. Rodzina księgarza była już wówczas polska - ojciec przynosił dzieciom „Wieczory rodzinne”, a wspomniany spis książek zawierał m.in. „Księżniczkę” Urbanowskiej, „Brankę litewską” Zielińskiej, „Sławę” Czepielińskiego. Dom był ewangelicki, wspomniano o konfirmacji, wśród gości rodziny i przyjaciół przeważały imiona niemieckie. Na wesele wuja Oskara dzieci przygotowały przedstawienie „Marchegruss”. W tekście znajdujemy liczne wstawki gotykiem np. list do przyjaciółki Katchen. Jak się zdaje, rodzina była w całości dwujęzyczna - czytamy np. „Jutro jest święto Himmelfahrt Christi i my pojedziemy do Helenowa”. Odpis świadectwa z pensji dowodzi, że uczono po rosyjsku, znajdujemy też niewielką wstawkę francuską, języka tego Melania uczyła się dodatkowo. Do teatru chodzono na różnojęzyczne sztuki, w roku 1897 największym przeżyciem autorki była opera włoska, która bawiła w Łodzi na przełomie maja i czerwca. W wielo-

języcznym mieście zaboru rosyjskiego powstawała warstwa mieszczaństwa czytająca polskie czasopisma i książki, starająca się, mimo obcej szkoły, osiągnąć poprawność języka polskiego, wiele śladów takich starań znajdujemy w opisanym dzienniczku. Widzimy w nim również teksty piosenek i próby własnych, polskich rymów. Z dalszej historii wiemy, że w znacznej swej części mieszczaństwo nie sprzeniewierzyło się swej ojczyźnie w latach trudnej próby wojennej.

Dawna Łódź, która bezpowrotnie odeszła, potrafi fascynować również tych, którzy należą do pokolenia osiadłego tu już po wojnie, uzupełniającego straty lat minionych, zajmującego miejsca po zamordowanych i rozproszonych Polakach, Żydach i Niemcach. Został przerwany proces zrastania się ludzi wielonarodowego miasta w jednolite społeczeństwo. Zjawiska migracji po II wojnie światowej miały już inny charakter, przynajmniej nie przeżywano problemów narodowościowych.

Dziś, kiedy widzimy wokół tyle niewiary, chęci ucieczki z polskiego piekła, która często łączy się z próbą przerwania wszelkich kontaktów z krajem, fascynujące staje się zagadnienie, jak to się działo, że nasz pozabawiony państwowości, poddany rusyfikacji, niebogaty kraj potrafił w przeszłości asymilować tylu wartościowych ludzi z rodzin, które nie tylko przylgnęły do kultury polskiej, ale później masowo potrafiły dobitnie zadokumentować swą postawę wobec okupantów.

Ciekawostki historyczne

HORST MILNIKEL

I Wojna Światowa na ziemi łódzkiej

Okrucieństwa i rozmiar zniszczeń II wojny światowej sprawiły, że I wojna światowa zniknęła w jej cieniu. Niewiele jest dokumentów czy książek dotyczących tej wojny, być może dlatego, że Polska podzielona rozbiorami, nie brała w niej udziału. Należy jednak pamiętać, że odbywała się ona na ziemiach polskich, a siłą wcielani do wojska Polacy walczyli w obydwu armiach, często przeciwko sobie. Najwyraźniej świadczą o tym nekropolie wojenne - gdzie kwatery poległych Polaków znajdują się wydzielone zarówno rosyjskich jak i niemieckich części cmentarzy.

28 czerwca 1914 roku młody Serb Gavrilo Princip w Sarajewie - stolicy Bośni i Hercegowiny Austro - Węgierskiej prowincji - zastrzelił Franciszka Ferdynanda, następcę tronu Austro - Węgier. Choć wówczas nikt nie

zdawał sobie z tego sprawy, byty to pierwsze strzały w Wielkiej Wojnie, która wkrótce ogarnęła niemal całą Europę. Do historii przeszła zaś już jako I wojna światowa.

Na ziemi łódzkiej, jesienią 1914 r. rozegrała się największa bitwa I wojny światowej. Ofensywa wojsk rosyjskich z linii frontu przebiegającego około 100 km, na wschód od Łodzi po trwających dwa tygodnie walkach, zepchnęła wojska niemieckie poza Łódź. Linia frontu ustaliła się wzdłuż miast: Lutomiersk - Aleksandrów - Stryków - Bielawy - Żychlin.

Niemcy cofając się niszczyli linie komunikacyjne, wysadzali i palili mosty drogowe i kolejowe, demontowali urządzenia kolejowe,

zwrotnice, rozjazdy, szyny. Rozkopywali nasypy, niszczyli budynki dworcowe w Skierniewicach, Piotrkowie,



(fot. B. Bazylński)

Cmentarz z I wojny światowej w Rudzie Pabianickiej

Koluszkach. Skutkiem tych działań były trudności w zaopatrzeniu wojsk rosyjskich, które amunicją dostarczaną koleją do Łowicza, dalej musiały transportować „podwodami” na linię frontu.

W tym czasie Naczelne Dowództwo Wojsk Rosyjskich stacjonujące w Baranowiczach, podjęło decyzję o przygotowaniach do następnej ofensywy, która miała dotrzeć do Wrocławia i Berlina. Natomiast Sztab Wojsk Niemieckich postanowił definitywnie zdobyć Łódź, okrążyć znajdującą się w okolicach Łodzi 2 Armie Rosyjską i zniszczyć ją.

19 listopada ofensywa miała być zakończona. Pierścien wokół 2 Armii i Łodzi miał się zamknąć. Jednak żaden z Korpusów nie osiągnął wyznaczonych celów. Po kilkudniowych krwawych walkach nie zdobyto Łodzi. Natomiast korpusy XXV i XX, które miały wziąć udział w okrążeniu 2 Armii Rosyjskiej, same zostały okrążone przez wojska rosyjskie tejże armii. Z wielkim trudem, tracąc wielu żołnierzy zdołały wyrwać się z okrążenia i przedostać na niemiecką stronę frontu. Przełamanie pierścienia wojsk rosyjskich nastąpiło w lesie gatkowskim, wzdłuż linii kolejowej Łódź - Koluszki. Natomiast przejście linii frontu w okolicach wsi Polik koło Lipin.

XXV, XX korpus armijny i 3 Dywizja Piechoty pod dowództwem gen. Litzmanna, działały na najbliższym Łodzi terenie. Zgrupowanie włączyło się do boju w okolicach wsi Niesułków po zdobyciu Brzezin, maszerowało na wieś Małczew, którą kilkakrotnie próbowali odbić Rosjanie. Ciężkie walki stacjali Niemcy z wojskami rosyjskimi o wieś Borowo, którą Rosjanie ostrzelali z dział ustawionych w Kurowicach (strącono wieżę kościelną, a w murze kościelnym do dziś tkwią kule armatnie). W walce o wzgórze 229 przy przyjeździe kolejowym we wsi Borowo, Niemcy stracili dwie baterie armat i cztery kompanie wojska.

Po zdobyciu Borowa i przeprawie na rzece Miazga w Karpinie, ruszyli dalej na Kurowice. Inna część wojsk tego zgrupowania po ciężkich walkach zdobyła wieś Brójce i Eufeminów. Dywizja gen. Litzmanna walczyła o wieś Bedoń. Rosjanie ostrzelali Niemców z dział ustawionych w Andrespolu i Kraszewie. Walki toczyły się nocą przy -10°C. Wieś płonąła, kolejne domy zapalały się trafiane pociskami armatnimi. Huk wybuchających pocisków mieszał się z jednostajnym szumem skrzydeł opodal stojącego wiatraka. Rankiem zdobyto wieś Bedoń. Park i zabudowania gospodarcze oraz pałac w Bedoniu, zamienione przez Rosjan w twierdzę broniły się dalej. Dopiero po użyciu najcięższych dział stojących na południowym skraju Bukowca (w odległości 8 km) Niemcy przełamali opór Rosjan. Atak na Bedoń prowadził osobiście dowódca regimentu (pułku) gen. mjr. Friedenburg, w asyście dowódców batalionów.

Po zdobyciu szturmem zabudowań dworskich wzięto do niewoli około 1000 jeńców, zdobyto 6 ciężkich karabinów maszynowych. Miazga i mosty na rzece jeszcze były w rękach Rosjan. W następnej kolejności zdobyto Kraszew i Andrespol. Sztab gen. Litzmanna i lazaret urządzono w Kurowicach. 20.11.1914 r. zdobyto wieś Grodzisko. Dziewiąta Brygada kawalerii przez Stróże i Szklaną Hutę miała atakować Feliksin, z linii drogi Andrespol - Wiśniowa Góra. Po uporczywych walkach trwających od 8 rano do późnych godzin popołu-

dniowych, szturmem, w walce na bagnety, łopaty i pięści zdobyto wieś. Wzięto do niewoli około 1000 jeńców.

22.11.1914 r. sztab wojsk gen. Litzmanna przeniósł się do wsi Wiskitno. Wojska nacierały w kierunku na Starową Górę. Ponieważ okazało się niemożliwe dotarcie do drogi Łódź -Tuszyn postanowiono zmienić kierunek natarcia na północny. Zaatakowano wieś Dąbrowa i Olechów (dzisiaj ulice Zakładowa i Olechowska w Łodzi). Olechowa broniły doborowe oddziały gwardii moskiewskiej oraz dywizje syberyjskie. Po ciężkich walkach, które przyniosły duże straty obu walczącym stronom Niemcy zajęli Olechów. Przedpola wsi zalegały setki rannych i zabitych (jeden Regiment (pułk) w tej bitwie stracił 6 oficerów i 300 żołnierzy). Wieczorem dotarli łącznicy z korpusu wojsk okrążających Łódź od północy. Uzgodniono, że 23 listopada wojska uderzą na Mileszki i połączą się z tamtejszym korpusem. Czas naglił, gdyż ze wszystkich kierunków zbliżały się dalsze jednostki wojsk rosyjskich, w celu okrążenia XXV, XX i 3 Dywizji liczących razem około 12000 żołnierzy.

W tym samym czasie Naczelne Dowództwo Wojsk Niemieckich wysłało depeszę do dowódcy całego zgrupowania, żeby kontynuować marsz (czytaj odwrot) na wschód, w kierunku na Brzeziny i dalej do linii frontu.

Dla okrążonych wojsk był to szok. Przed nimi był tylko jeden dzień walk i praktycznie koniec kampanii. Decyzja sztabu zmuszała ich do pokonania tej samej drogi, którą przecierali sobie w nieustannych bojach w ciągu tygodnia. Kończyła się amunicja strzelecka i artyleryjska. Brakowało żywności, ciepłej odzieży, lekarstw. Około 1000 wozów zaopatrzenia i z rannymi z braku koni ciągnęło 6000 jeńców rosyjskich. Mróz dokuczał bardzo, w nocy -20°C, na wozach zamarzali ranni żołnierze obydwu walczących stron. Umierali z zimna w pozycji strzeleckiej. 24 listopada Sztab, wojsko z rannymi i jeńcy o godzinie 2.00 w nocy ruszył z Wiskitna w drogę powrotną, przez Giemzów na Kurowice. Żeby utrzymać w tajemnicy wycofywanie wojsk obręcze kół od wozów „żelaznych” owijano powrośkami ze słomy.

W Kurowicach z powodu ostrzału artyleryjskiego wojska rozdzieliły się; maszerując, przez zamarznięte pola w kierunku Brzezin.

Trzecia Dywizja po przeprawie w Bukowcu przez Miazgę maszeruje na wieś Zielona Góra. Po przygotowaniach do zdobycia torów kolejowych linii Łódź - Koluszki, wojska ruszają o godz. 12.00 w południe do natarcia.

Po uporczywych walkach tory są zdobyte. Po krótkim odpoczynku (sztab zajął kurnik w budynku dróżnika na skraju lasu gałkowskiego od strony Justynowa, gdyż w domku dróżnika byli ranni żołnierze rosyjscy), dywizja rusza wieczorem północnym skrajem lasu gałkowskiego na Gaików i dalej przez Małczew do Brzezin. Po trzygodzinnym marszu przez pola i godzinnej walce ponownie zdobyto Brzeziny. Wzięto do niewoli dwóch generałów. W razie przedłużającego się oporu Rosjan, wschodnia część Brzezin miała być spalona. Następnego dnia dołączyły 49 i 50 Dywizja, które przełamały pierścien okrążenia w okolicach wsi Borowo i Chrusty Stare.

Razem ruszono w kierunku na Lipiny. Artyleria zajęła stanowiska wokół wsi Polik. Tam została zaskoczona

na atak rosyjskiej piechoty. Straciła dwa działa, które 8 dni później zostały wystawione w Petersburgu jako trofea wojenne. Nocą po przełamaniu linii frontu zgrupowanie znalazło się po niemieckiej stronie frontu. Dowódcą wojsk rosyjskich bardzo zależało na wzięciu do niewoli wyżej wymienionego zgrupowania, gdyż naczelny dowódca Wojsk Rosyjskich wielki książę Mikołaj Mikołajewicz już dwa dni wcześniej ogłosił, że zgrupowanie zostało okrążone i wzięte do niewoli. Dowódcy dobrze wiedzieli, że nie tylko szeregowi żołnierze, ale też generałowie którzy popadli w niełaskę, dostawali bilet na Syberię - w jedną stronę.

Ponieważ korpus, który działał w okolicy Łodzi w ciągu dwóch tygodni był ciągle w natarciu lub w odwrocie atakowany ze wszystkich stron przez wojska rosyjskie, poległych żołnierzy pochowali Rosjanie w ma-

sowych grobach. W okresie okupacji hitlerowskiej groby ekshumowano, około stu poległych zabrały rodziny do Niemiec. Poległych rozdzielono. Cmentarze są wspólne ale mają część rosyjską i niemiecką. Niemcy gen. Litzmanna okrzyknęli bohaterem. Łódź w okresie okupacji hitlerowskiej nazwano Litzmannstadt. Na miejscu pomnika Tadeusza Kościuszki miał stanąć pomnik generała Litzmanna.

Ofensywa Niemiecka odniosła taki skutek, że Rosjanie nie rozpoczęli zaplanowanego natarcia na Wrocław i Berlin. Pozostały jednak cmentarze wojskowe w Brzezinach, Gałkowie, Wiączyńniu i Starowej Górze. Źródła niemieckie podają szczegóły tej batalii i opis walk. Informacje zaczerpnąłem z książki Teodora Jakobsa „Der Löwe von Brzeziny” wydanej w 1937 r. w Berlinie.

Wokół metropolii

BOHDAN OLSZEWSKI

Niesułkowski klucz

Jednym tchem wymienia Niesułków obok Łodzi przywilej księcia łęczyckiego Władysława z roku 1332, nadający biskupom kujawskim obydwie wsie w wieczyste posiadanie. Początkowo wchodził Niesułków w skład dóbr kościelnych w Wolborzu, potem przekształcił się w samodzielny klucz ziemski obejmujący również Łódź.

W odległości 6 kilometrów od Strykowa, w dolinie rzeki Mroźnicy, w miejscu otoczonym niegdyś nieprzebytymi lasami leży niewielka wieś.

Po dawnym dworze biskupim, w którym zatrzymywali się zaproszeni goście oraz lustratorzy dóbr kościelnych zostały tylko fundamenty. Tamte czasy przypomina drewniany kościółek pod wezwaniem św. Wojciecha, ufundowany przez kapitułę włocławską w XVI wieku. Nie był on w tej miejscowości pierwszą świątynią, gdyż tutejszą parafię erygował już w XIII stuleciu arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka. Budynek niesułkowskiego kościoła składa się z trzech części: rozbudowanego prezbiterium, nawy głównej oraz części frontowej, w której znajdowały się niegdyś organy, wywiezione w czasie pierwszej wojny światowej przez wojska niemieckie - ich los podzieliły pięknie rzeźbione konfesjonały. Na drewnianym stropie w barwnej polichromii ujęte są sceny z Nowego Testamentu. W głównym ołtarzu widnieje obraz MB Szkaplerznej z Dzieciątkiem. Według ustnego przekazu najstarsza część dawnej budowli ma liczyć sobie około 500 lat. Jeśli to prawda, byłaby to zapewne jedna z najstarszych istniejących w Polsce drewnianych konstrukcji typu sakralnego.

Na ścianie murowanej zakrystii umieszczone są ta-

blice poświęcone pamięci tutejszych obywateli ziemskich. Znajdują się wśród nich nazwiska Leona Korwina-Kochanowskiego oraz braci Tadeusza i Jerzego Łozickich, żołnierzy 7 kompanii zgrupowania „Parasol”, poległych w powstaniu warszawskim. Młodszy od nich był Piotr Sępia Elżanowski, który jako osiemnastoletni

młodzieniec brał udział w wyprawie pod Moskwę w 1812 roku. Wojenne trudy musiały odbić się na zdrowiu napoleończyka, bo jak z epitafium wynika, zmarł młodo, licząc zaledwie 31 lat, opłakiwany przez żonę, ojca, dzieci i braci. Przydomek Elżanowskiego „Sępia” wywodzi od herbu Sępia Głowa, przedstawiającego osobę, być może płci żeńskiej, z długimi włosami zaczesanymi do tyłu, z wielkim, biegnącym od czoła orlim lub sępiim nosem. Ród i wspomniany herb wywodzą się z Pomorza, z ziemi Chełmińskiej.

Upamiętniony tablicą Piotr Elżanowski pozostawił po sobie trzyletniego syna, Seweryna, który miał zdobyć sławę jednego z najaktywniejszych polskich działaczy niepodległościowych połowy ubiegłego stulecia. Urodzony w Niesułkowie w 1821 roku, wcześniej został wcią-

gnięty do pracy konspiracyjnej, prawdopodobnie w czasie pobierania nauk w gubernialnym gimnazjum w Warszawie. Śledzony przez policję, opuszcza Warszawę i przenosi się w okolice Torunia, gdzie styka się z jednym z najbardziej niespokojnych polskich duchów, Ludwikiem Mierosławskim. Żarliwość i oddanie sprawie Elżanowskiego rychło dostrzegli jego starsi towarzysze partyjni, powierzając mu zadanie, daleko przekraczające jego siły i możliwości. Powierzono mu ni mniej ni więcej tylko przygotowanie zbrojnego powstania na terenie Po-



(fot. Izabela Nowakowska)

Kościół w Niesułkowie

morza Zachodniego zakończonego opanowaniem Torunia, Grudziądza i Gdańska. Zadanie to nie mogło się inaczej skończyć jak katastrofą, co też się niebawem i stało. Obserwujący pilnie gorączkową działalność policyjne służby aresztowały Elżanowskiego i wytoczyły mu wspólnie z Mierosławskim proces, skazując obydwóch na karę śmierci. Od stryczka wybawiła ich rewolucja 1848 roku - uwolniony z więzienia Elżanowski udał się natychmiast w okolice Tucholi, formując pokaźny oddział, składający się z 300 kosynierów, 100 strzelców i 60 jeźdźców.

Przedzierając się ze swym wojskiem w stronę Wielkopolski, zdążył akurat na pole bitwy pod Miłosławiem, w której strona pruska mimo przeważających sił poniosła porażkę. Wkrótce potem oddziały powstańcze zostały jednak rozwiązane - ich uczestnikom wypadało poszukać bezpiecznego schronienia. Elżanowski wybrał Paryż. Odłożywszy walkę zbrojną na dogodniejszy moment, rzucił się z całym zapałem w wir pracy politycznej. Doszedł wtedy do wniosku że emigracja powinna zajmować się tylko sprawami postępu i kształtowania przyszłej demokracji, nie tworząc stronic, które mogą powstawać i istnieć tylko w kraju.

Kiedy w Polsce wybuchło powstanie 1863 roku,

BOHDAN OLSZEWSKI

Zaklęty dwór

Stare dęby w Żerominie przypominały Marii Rodziewiczównie jej dom w Hruszowej. Kilka tych drzew rośnie w pobliżu dworu - jedno, potężne, osłaniało konarami zabudowania gospodarcze, dwa inne splecione, wycycały granice ogrodu. Także tutejsze stawy, zakryte tatarakiem i trzciną, szare i pospelne w zimowym powietrzu, przynosiły coś z nastroju poleskiego krajobrazu. Właściciele majątku, państwo Mazaraki, starali się jak mogli rozproszyć niewesołe myśli i przywrócić autorce „Lata leśnych ludzi” siły nadwątlone przygodami wojennymi. Zbliżał się właśnie schyłek roku 1939.

Maria Rodziewiczówna urodziła się w 1864 roku we wsi Pieniucha na Grodzieńszczyźnie. Pochodziła ze starego rodu Czertwanów-Rodziewiczów, notowanego w XV wieku w powiecie oszmiańskim, który przeniósł się do Pińszczyzny w roku 1613. Oboje rodzice za pomoc udzielaną powstańcom skazani zostali na sybir; majątek uległ konfiskacie, a dzieci rozebrali na przechowanie różni dobrzy ludzie - przyszła pisarka miała wtedy dwa miesiące. Po powrocie z zesłania ojciec pracował jako rządca jakiejś kamienicy w Warszawie, matka znalazła zajęcie w fabryce papierosów. Sytuacja materialna Rodziewiczów poprawiła się po otrzymaniu w spadku majątku w Hru-

nie zwlekał lecz przeniósł się zaraz do Krakowa, gdzie pełnił obowiązki komisarza rządu powstańczego na całą Galicję zachodnią. Gdy i ten zryw wyzwolenczy zawiódł, wrócił do Paryża, działając w Towarzystwie Naukowej Pomocy, Towarzystwie Nauk Ścisłych oraz w Towarzystwie Czci i Chłuba. Jeszcze raz poderwał się Elżanowski do wojennego czynu, gdy armia pruska przystąpiła do oblężenia Paryża - wstąpił do francuskiej Gwardii Narodowej. W dniu 14 kwietnia 1874 roku, schorowany i na pół oślepy zakończył na obczyźnie swój pracowity żywot. Pozostawił po sobie rozprawę „O metodzie w umiejętnościach” oraz broszurę, która ukazała się w 1859 roku w Paryżu pt. „O powstaniu polskim”.

Właścicielami Niesułka po pierwszej wojnie była kolejno rodzina Bucewiczów, Martensów i jako ostatnia - Łozickich. Ponieważ istniejący do początku 1914 roku dawny dwór został spalony w czasie działań wojennych, miejscem życia rodzinnego Łozickich stał się znacznie skromniejszy budynek, przypominający bardziej zamkniętą wiejską chatę niż typowy dwór szlachecki.

Najpierw zamieszkiwała w nim jego dawna właścicielka, potem służył jako bar wiejski, wreszcie uruchomiono w nim produkcję artykułów spożywczych.

szowej, położonej na Polesiu, w powiecie kobryńskim. Majątek ten został nabyty przez dziadka Marii od rosyjskiego feldmarszałka Suworowa, który dawne dobra, należące do rodziny Paców otrzymał w nagrodę za wojenne zasługi, między innymi za rzeź Pragi.

Początkowo w majątku gospodarzył ojciec - gdy zmarł, ster rządów objęła córka, Maria Rodziewiczówna. Za zezwoleniem matki obcięła włosy, założyła buty z cholewami i zajęła się dźwiganiem majątku z długów, w wolnych chwilach chwytając za pióro. Jak sama dziennikarzom mówiła, uważała się nie za pisarkę, lecz za rolniczkę z zawodu i z zamiłowania. Wszystkie dochody, które przynosiła jej działalność literacka lokowała w gospodarstwie. Z chłopami potrafiła sobie ułożyć dobre stosunki, pielęgnując patriarchalny styl życia - sielskie związki z czasem się jednak popsęły. Warszawska prasa donosiła w 1890 roku, że Ro-

dziewiczówna pobiła pastucha, co groziło jej sprawą sądową i dwutygodniowym aresztem. Rzecz zakończyła się polubownie po wypłaceniu przez pisarkę zadośćuczynienia oszacowanego na 5 rubli. Napięcia między dworem a chłopami istniały widać w dalszym ciągu, bowiem w kilka lat później spalono jeden z folwarków należących do Hruszowej, niszcząc między innymi mło-

carnię, oborę i 50 sztuk bydła. Wydawało się że czas studzi wzajemne namienności, bo w rocznicę 50-lecia władania Hruszową otrzymała Maria Rodziewiczówna od tamtejszych chłopów pamiątkowy album, z dedykacją: „Sprawiedliwej Pani i Matce za 50 lat wspólnej pracy”. Ale przyjaźń z włościanami trwała tylko do chwili wkroczenia władzy radzieckiej. Utworzony z miejscowej ludności komitet przejął dwór i majątek w Hruszowej, nie pozostawiając pisarce wątpliwości co ma dalej czynić. Uciekając jej zdaniem od najgorszego, wystarała się o fałszywe dokumenty i przekroczyła Bug, kierując się do Warszawy. Niestety, oddziały hitlerowskie nie przypominały dobroduszych landszturmistów, z którymi Rodziewiczówna zetknęła się w roku 1915 w czasie pierwszej wojny.

Mimo podeszłego wieku pisarkę skierowano do obozu przejściowego w Łodzi, na ulicy Łąkowej, gdzie chora i niedożywiona, przebyła kilka tygodni. Szczęśliwym trafem odnalazła ją tam zaprzyjaźniona rodzina Mazaraków, która nie tylko wydosłała ją na wolność ale zabrała na rekonwalescencję do swego majątku. Kiedy Rodziewiczówna powróciła do sił, opuściła Żeromin w 1940 roku i przeniósła się do Warszawy. Były to dla niej trudne lata - znajdowała się w ciężkiej sytuacji materialnej, zdana w znacznej mierze na pomoc przyjaciół. Ciężko chora, przeżyła całe powstanie w Warszawie, przeprowadzana lub przenoszona z jednej piwnicy do drugiej. Wtedy, po raz drugi, zaopiekowała się nią rodzina Mazaraków, przygarniając do swego domu w Żelaznej koło Skierniewic, a potem przenosząc do leśniczówki w Leonowie, gdzie zmarła 6 listopada 1944 roku na zapalenie płuc. Rodziewiczówna przez całe swe życie żywiła wielki kult dla lasu - mówiła o nim, że jest to kościół przyrody. On też towarzyszył jej w ostatnich chwilach.

Debiut literacki Marii Rodziewiczówny przypada na rok 1888 - wielką popularność przyniosły jej powieści „Straszny dziadunio” i „Dewajtis”. Wszystkie te i następne oddam jednak za „Lato leśnych ludzi”, poemat na cześć puszczy i przyrody. Pyszne obrazy z Polesia, z jego pejzażem wodnym i błotnistym, poprzetykanym piaszczystymi wydmiami i borem sosnowym, zamieszczone w nieco autobiograficznej książce „Czahary”, nie znajdują sobie równych.

Dobra w Żerominie, majątku położonego wzdłuż drogi prowadzącej z Tuszyna do Czarnocina, przeszły w ręce Mazaraków w końcu ubiegłego stulecia. Składały się na nie pola orne, lasy, dwór z zabudowaniami gospodarczymi oraz kilka stawów, w których zaprowadzono hodowlę ryb. Trudno było dla tych ostatnich o lepszego gospodarza niż pan Aleksander Mazaraki, pre-

zes Związku Organizacji Rybackich. Dziś stawy po części zarosnięte, rozwlekłe, nieco senne. Osobliwością dawnego majątku pozostają budynki dworskie, zwane „belwederkami”. Dwa długie, z wciętymi narożnikowo podcieniami budynki, z czterospadowym dachem krytym czerwoną dachówką, kontrastującym z białą ścianą przedstawiają miły dla oka widok. Mieszkała w nich służba: karbowy, wódarz, gajowy i „szwajcar” odpowiedzialny za bydło w oborze.

Sam dwór przetrwał niemiecką okupację, administrację PGR-u, a nawet umieszczenie w nim klubu młodzieży wiejskiej - zgorzał dopiero w roku 1988 podczas wiosennego wypalania trawy. W zachodzącym słońcu i wdzierającym się z ukosa zmierzchu budynek wygląda jak szkic do powieści Walerego Łozińskiego „Zaklęty dwór”. Wsparty na kolumnach ganek spoziera na fragmenty dawnej fontanny - na piętrze zachowała się jeszcze łagodnie profilowana atyka nad pustką umieszczoną pod nią okna. Wstępując po szeroko założonych schodach można zajrzeć do wypalonego wnętrza - w pokojach, pod zarywającym się dachem dobrze już porosły kilkuletnie drzewka. Nad całością czuwają stożkowe kikuty kominów.

Podobne były losy wielu innych polskich dworów, w tym także domu Rodziewiczówny w Hruszowej. Według danych, zaczerpniętych z „Dziejów rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej” R. Aftanazego, dwór w Hruszowej, wybudowany w 1825 roku, który przetrwał szczęśliwie kataklizm pierwszej wojny światowej, został po spaleniu rozebrany do fundamentów, a otaczający go ogród wycięty. Dom ten w czasie ponad stuletniego istnienia obrósł w ciekawą historię i nie mniej ciekawe eksponaty. Znajdowało się tam oryginalne łóżko-szafa, które pisarka kazała sporządzić według przywiezionych ze Skandynawii wzorów. Wchodziło się doń po schodkach - sprzęt opatrzony był napisem: „Uczynionym przednie, służyc w noc i we dnie”. Rodziewiczówna, przepadająca za różnego rodzaju sentencjami, ułożyła dla nawiedzających dwór gości specjalny dekalog, zawieszony następnie w sieni na widocznym miejscu. Punkt piąty stanowił: „Nie będziesz opowiadał, szczególnie przy posiłkach, o chorobach, kryminalach, kalecztwie i smutkach”. Obok oranżerii stała pasieka z ulami noszącymi imiona królów i królowych polskich, trochę dalej umieszczono przeniesioną z boru prawdziwą „chatę leśnych ludzi”, a koło domu rósł sędziwy dąb „Dewajtis”.

Niewielkie są zapewne widoki na odbudowanie domu Marii Rodziewiczówny w Hruszowej, znacznie większe miałyby dwór w Żerominie.



(fot. B. Olszewski)

Żeromin - ruiny XIX-wiecznego dworku

W kręgu PTTK

ZBIGNIEW LIPOWSKI

„Wędrownik” ćwierć wieku temu

„Podchodząc do zagadnienia kultury turystycznej musimy sobie zdać sprawę jak ona tkwi w dynamice rozwoju społecznego i gospodarczego. Słusznie czcimy dobre tendencje Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, ich dbałość

o kulturę wycieczkowania. Ale zdajemy sobie sprawę, że dzisiejsze formy naszej pracy społecznej na odcinku kultury wycieczkowania nie mogą być naśladownictwem form sprzed 50 czy 100 laty. Muszą być dostosowane do naszej epoki rozwoju społecznego umożliwiają-

jącego masową turystykę oraz rozwoju gospodarczego z industrializacją i motoryzacją". Tak oto Kazimierz Hempel zaczyna swoje rozważania o ewolucji pojęcia Kultury Turystycznej w Biuletynie Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Łodzi nr II (262-264) z 1978 roku. Fakt postzegania rozwoju gospodarczego przez pryzmat industrializacji i motoryzacji wydaje się być dziś dość prymitywny i taki zresztą jest w istocie. Co się zaś tyczy „rozwoju społecznego umożliwiającego masową turystykę” - należałoby porównać ówczesne warunki jej uprawiania z tym czym dysponujemy dziś, i jak to się ma do aktualnie rozumianego pojęcia rozwoju, a szczególnie „rozwoju społecznego”. Nie wdając się w zawiłości socjologiczne i ideologiczne (ideologią PTTK było w tym czasie umasowienie turystyki) należy stwierdzić, że zmieniło się pod tym względem w ciągu minionego ćwierćwiecza, wiele i ... niewiele. Podobnie jak za czasów schyłkowego Gierka, i dziś turyści przemierzają się tu i tam w błazniano-szkłanych pudłach, tyle że już dziś z klimatyzacją. I podobnie jak wtedy, jadą przede wszystkim się „zabawić” tyle tylko, że już przeważnie za własne pieniądze a nie jak wówczas - z funduszy socjalnych czy związkowych. No i z reguły nieco dalej aniżeli do Czechosłowacji, NRD czy (szczęśliwcy!) na Radziecki wówczas Krym. Wystarczy przejrzeć obecne oferty rozlicznych biur podróży a „lza się w oku kręci” z tęsknoty za tamtymi czasami, kiedy sukcesem było „załapać się” na wczasy w Bułgarii czy Rumunii. Na Krym jeżdżą ciągle jeszcze śmiałkowie i smakosze, ale czy nie lepiej (i prościej) sięgnąć „do źródeł” - tj. do autentycznej przyrody i architektury śródziemnomorskiej, a nie jej imitacji? Morze Czarne ma jednak swoje powaby, a miłośnicy Jałty są ciągle jeszcze liczni... i dobrze!

Więc i tu i tam, od Ukrainy po Portugalię suną Polskie autokary pełne zamożnych turystów i wczasowiczów. Można by więc w tym kontekście odnotować istotny rozwój, ale - ekonomiczny. Jak to się przekłada na kulturę wycieczkowania, która bez wątplenia jest elementem rozwoju społecznego? To pytanie pozostawiam otwarte.

ELŻBIETA BUGAJ

Jak organizowaliśmy swój pierwszy rajd

Organizując rajd należy wiedzieć jak to się robi. Uczniowie zrzeszeni w Szkolnym Kole PTTK przy XLI LO przy ul. Pojezierskiej 45/51 wiedzę teoretyczną zdobyli na kursie pt. „Młodzieżowy organizator turystyki”. Wszyscy uczestnicy kursu zdali pomyślnie egzamin przygotowany na zakończenie, ale egzamin praktyczny był dopiero przed nimi. Ich zadaniem było zorganizowanie rajdu „Marzanna 2000”. Pracę rozpoczęli od przygotowania tras, na które chcieliśmy zaprosić uczniów ze szkół podstawowych, gimnazjalnych i licealnych. Wybrano cztery trasy: Zgierz-Las Łagiewnicki - Arturówek, Nowosolna -Las Łagiewnicki -Arturówek, skrzyżowanie ul. Wycieczkowej i Warszawskiej - Las Łagiewnicki - Arturówek, Helenówek - Las Łagiewnicki - Arturówek. Uczniowie sprawdzili w terenie czy opisy tras są godne z rzeczywistością, czy nie zawierają błędów, aby później uniknąć pomyłek. Kolejne zadanie to opracowanie regulaminu rajdu, w którym należało umieścić: organizatorów rajdu, zaproponowane trasy, warunki uczestnictwa, wpisowe, świadczenia, planowane konkursy na

W omówionym II numerze kwartalnika z 1978 roku warto zwrócić uwagę na materiały krajoznawcze zawarte w „Trasie miesiąca” redagowanej przez Zbigniewa Parafinowicza. Dotyczą one najwyższych wzniesień Gór Radomszczańskich z Chełmową Górą (313 n.p.m.) na czele oraz „Kolebki” Władysława Reymonta - Kobieli Wielkich gdzie urodził się i spędził dziecięce lata przyszły Noblista. Autor opisuje trasy, przytacza też legendę związaną z miejscowością Niedośpielin. Cytuję: „Król Kazimierz Wielki wracając ciemną nocą z polowania w okolicach Przedborza, zauważył w oddali światło wśród drzew. Była to chata, w której mieszkańcy jeszcze nie spali. Król skorzystał tutaj z gościny i odpoczynku. Z tej okazji Kazimierz Wielki kazał nazwać osadę: Niedośpielin”. Legend związanych z Ziemią Radomszczańską jest wiele i być może będzie kiedyś okazja przytoczyć i inne. Tymczasem w omówionym numerze „sprzed ćwierci wieku” warto odnotowania są też teksty o wytyczeniu Szlaku Pamięci Ofiar Hitlerowskiego Ludobójstwa w okolicach Łodzi i Zgierza, relacji z międzynarodowych zawodów na orientację w Męckiej Woli, o współzawodnictwie Kół Zakładowych PTTK i wycieczce szkoleniowej Komisji Turystyki Pieszej przy Oddziale Łódź - Polesie do Krakowa i okolic oraz informacje Społecznego Komitetu Autostopu. A tak na marginesie: kto dziś jeszcze pamięta jak uprawiano się turystykę dzięki uprzejmości kierowców przemierzających wzdłuż i wszerz „wstęgi polskich szos”? Może właśnie była to forma najbliższa krajoznawstwu, na swój sposób „elitarna” i kameralna zarazem, ale przede wszystkim tania i dla każdego. Dlaczego w czasach rozwoju ekonomicznego jakiego rzekomo dziś doświadczamy, nie ma miejsca na turystykę dla najuboższych, tego nie wiem i zrozumieć nie mogę. Na wycieczki szkolne, z reguły opatrzone terminem „dydaktyczne” jeżdżą dzieci rodziców których na to stać. Reszta pozostaje „w domu”. Stąd rozboje młodocianych i kradzieże na ulicach. Więc rozwijamy się społecznie czy też nie - oto jest pytanie...

mecie, określić termin zgłoszeń, a następnie wysłać opracowane już regulaminy do szkół. Następnie uczniowie zajęli się pracami plastycznymi, czyli opracowaniem kolorowej plakietki i wykonaniem dyplomów wręczanych za udział w konkursach. Pozostały jeszcze następujące zadania: szczegółowe opracowanie konkursów oraz zakup nagród dla osób biorących w nich udział (książki, maskotki, słodycze). Zaproponowaliśmy następujące konkursy:

- dla najliczniejszej grupy rajdowej
- dla drużyny, która zaprezentuje najsympatyczniejszą kukłę
- „Wielka gra” na temat turystyki i krajoznawstwa
- sprawnościowe (bieg w workach, przeciąganie liny, rzut piłeczką do kosza)

Zaskoczyła nas frekwencja, której się nie spodziewaliśmy. W naszym rajdzie wzięło udział prawie 650 uczniów z różnych typów szkół i wszyscy wspaniale się bawili, a najpiękniejszą marzannę wykonali najmłodszy uczestnicy rajdu i oni to zdobyli główną nagrodę.

INGA NOWAKOWSKA

Klub Fotograficzny przy CFK PTTK w Łodzi

Jak na Łódź przystało wokół fotografii dzieje się wiele. Z początkiem stycznia 2003 roku rozpoczął swoją działalność Klub Fotograficzny przy Centrum Fotografii Krajoznawczej PTTK w Łodzi. Klub skupia obecnie 16 osób w różnym wieku, które łączy przede wszystkim fascynacja fotografią, radość robienia zdjęć i pragnienie dzielenia się swoimi doświadczeniami na tym polu. Są wśród nas doświadczeni instruktorzy i fotografowie-krajoznawcy, od lat współpracujący i współtworzący CFK: Bohdan Bazyliński, Andrzej Danowski, Eugeniusz Koperski, Wilhelm Szarżanowicz, Ryszard Śmiech (przewodniczący Koła) oraz osoby dużo młodsze "stażem" (lecz niekoniecznie ustępujące doświadczeniem), które otwarcie pragną spróbować swych sił w fotografii krajoznawczej: Daniel Buczyński, Łukasz Dawicki, Piotr Gorzechowski, Mirosław Jaskułowski, Dominik Jurek, Inga Nowakowska, Izabela Nowakowska, Adam Sulikowski, Izabela Śródkowska i Paweł Wojtyczka. Dotychczasowe, krótkie życie Klubu jest stosunkowo intensywne, na co składają się comiesięczne spotkania o charakterze prelekcji, instruktażu, czy

prezentacji dokonań poszczególnych członków, organizowanie i współorganizowanie (głównie dzięki energii i pomysłowości Izy Śródkowskiej i Pawła Wojtyczki) 4 wystaw fotograficznych w Galerii CFK przy ul. Wigury 12a. Do najbardziej udanych imprez zaliczamy wiosenny plener fotograficzny (zasadniczo w okolicach Tomaszowa Mazowieckiego i Inowłódza), w którym wzięło udział 11 członków Klubu. Obiektami zainteresowania fotografów-krajoznawców w czasie trwania trzydniowego pleneru były zabytki i krajobraz Sulejowa-Podklasztorza, zalewu na Miazdze w Kotlinach, Ujazdu, Smardzewic, Inowłódza, Spały, Tomaszowa Mazowieckiego, Wolborza, Moszczenicy i Czarnocina. Obszerna prezentacja zdjęć w Galerii CFK jest zaplanowana na przełom września i października, natomiast dziś w "Wędrowniku" pragniemy przedstawić małą (i może nie całkiem reprezentatywną) próbkę naszego plenerowego pokłosa (patrz kolorowa wkładka i III strona okładki). Warto o tej wystawie pamiętać i wpisać do kalendarza imprez, gdyż niektóre zdjęcia są naprawdę świetne. Serdecznie zapraszamy!



(fot. Izabela Nowakowska)

Odznaczenia, nagrody...

Miło nam poinformować, że w dniu 12 maja 2003 roku w szczególności sposób zostaliśmy jako "Wędrownik" uhonorowani przez Zarząd Oddziału Łódzkiego PTTK im. Jana Czeraszewicza. Redaktor Naczelny naszego

kwartalnika Zbigniew Lipowski został odznaczony Złotą Honorową Odznaką PTTK za długoletnią pracę krajoznawczą, zaś Inga i Izabela Nowakowskie otrzymały albumy krajoznawcze w uznaniu za ich aktywną pracę w krzewieniu idei turystyki i krajoznawstwa. Wręczenia odznaczeń i nagród dokonał Prezes Zarządu Oddziału PTTK w Łodzi Ryszard Mamenas.

Redakcja

Varia

Ukazał się drugi tom słownika biograficznego „Żydzi dawnej Łodzi”

W niedługim czasie po tomie pierwszym (recenzowaliśmy go na łamach „Wędrownika”) ukazał się drugi, wydawanego cyklicznie przez „Oficynę Bibliofilów” w systemie holenderskim, unikatowego słownika biograficznego pt. „Żydzi dawnej Łodzi” autorstwa Andrzeja Kempy i Marka Szukalaka. Ten niecodzienny słownik - wypełniający dotkliwą lukę o dziejach i kulturze Żydów łódzkich, co muszę raz jeszcze zaakcentować i podkreślić, że jest bez żadnej przesady owocem, efektem benedyktyńskiej, mrówczej pracy wspomnianej spółki autorskiej. Autorzy stanęli przed niezwykle trudnym zadaniem ze względu na to, że wiele materiałów źródło-

wych uległo w czasie wojny zniszczeniu. Nie zachowały się nawet pełne komplety żydowskich gazet, które by mogły służyć jako dodatkowe źródło wiedzy. Dodatkowo wysiłek Andrzeja Kempy i Marka Szukalaka zasługuje na powszechne uznanie, ponieważ nie są z profesji historykami. Słownik ten stanie się z pewnością nieocenionym źródłem, przecierającym drogę przyszłym badaczom. W tomie drugim, zawierającym 145 haseł, dominują przede wszystkim artyści, literaci i ludzie wolnych zawodów. Otwiera tom biografia Jankiela Adlera, wybitnego żydowskiego malarza i zarazem wielkiego polskiego patrioty. Inne hasła zawierają między innymi

takich uznanych artystów jak: Leopolda Pilichowskiego, Henryka Glicensteina, Mojżesza Brodersona (uchodzącego według niektórych badaczy za założyciela, twórcę awangardowej grupy „Jung Idysz”, która w latach dwudziestych zrewolucjonizowała sztukę żydowską), członków tej grupy - Idy Braunerówny i Henryka Barcińskiego (Barczyńskiego). Znalazł się też obszerny i wyczerpujący biogram wielkiego światowej sławy miniaturzysty Artura Szyka. Z całej plejady postaci warto wspomnieć o poecie i pisarzu Izraelu Rabonie dla którego motywem wielu utworów stały się łódzkie Bałuty, gdzie na stałe zamieszkiwał. Polskiemu czytelnikowi przybliżona została niedokończona powieść „Ulica”. Mimo że nie pada w niej ani razu słowo Łódź, doszukać się możemy w niej bez trudu łódzkich realiów. Znalazło się też miejsce w słowniku dla Akiby Rubinsteina - mistrza Polski i zwycięzcy wielu międzynarodowych turniejów szachowych. Jedno z haseł dokumentuje naukową twórczość Filipa Friedmana - wybitnego żydowskiego historyka, autora pierwszej monografii Żydów łódzkich: pt. „Dzieje Żydów w Łodzi od początków osadnictwa do roku 1863”. Największy niedosyt i zawód sprawił mi biogram Juliana Tuwima - jeden z najważniejszych w słowniku. Po macoszemu potraktowany został w nim, co prawda nie tak długi, ale bardzo ważny ze względu na kształtowanie się osobowości przyszłego znakomitego poety, okres łódzki. Brak jakiegokolwiek wzmianki w tym kontekście o odnalezionych przed laty juvenaliach - najwcześniejszych próbach literackich, poetyckich młodego Julka, bardzo wiele mówiących o jego pierwszych uniesieniach i doznaniach życiowych. Nie pojawia się ani razu na kartach Inowódź, okolice Spały i Tomaszowa, gdzie spędzał pierwsze sielsko-anielskie wakacje, miejsca do których żywił później wielki sentyment. Z Tomaszowa Mazowieckiego przecież pochodziła jego żona. Nie ma nawet wzmianki o współpracy Tuwima z kabaretem łódzkim Bi-Ba-Bo mieszczącym się w łódzkim hotelu „Savoy”. Z tego okresu, 1915 r. pochodzą pierwsze zachowane utwory estradowe Tuwima - piosenka „Można zaczynać” i melodeklamacja „Ulica”. Przykrym passusem jest na samym wstępie hasła konstatacja, sformułowanie nabierające w tym ujęciu

Ekspozycja „Książka karpacka 2000-2002” ze zbiorów Tadeusza Kielbasińskiego

Niezwykle ożywioną i różnorodną działalność propagowania turystyki górskiej i piękna gór, prowadzi na terenie naszego miasta Oddział Karpacki Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (PTT) w Łodzi, któremu prezesuje Janusz Pilc.

Z inspiracji PTT odbywa się wiele ciekawych imprez w Centrum Kultury Młodych, przy ulicy Lokatorskiej, z którego gościny często korzysta.

W Centrum Kultury Młodych 6 marca br., otwarta została unikatowa, wielce interesująca wystawa pn. „Książka Karpacka 2000-2002” ze zbiorów Tadeusza Kielbasińskiego. Można bez przesady powiedzieć, że od wielu lat „zaprzedał duszę gór i Łemkom”. Należy do najbardziej znanych ludzi gór. Opracował między in-

pejoratywnego znaczenia. Cytuję dosłownie: „Uczęszczał do gimnazjum rządowego i jako jeden z nielicznych nie brał udziału w strajku szkolnym (1905)”. W tym kontekście należy wiedzieć, że nie wszystkich uczniów stać było na szkoły prywatne, a spodziewać się należało bardzo ostrych represji. Piękny wyraz swojego patriotyzmu i głębokiej miłości do Polski oraz wielkiego przywiązania do rodzinnego miasta Julian Tuwim dawał niejednokrotnie m.in. w „Kwiatach polskich”. W znacznie wcześniejszym wierszu napisanym w 1920 r. podkreślał swoje przywiązanie do Łodzi:

Niech sobie Ganges, Sorrento, Krym
Pod niebo inni wynoszą,
A ja Łódź wolę! Jej brud i dym
Szczęściem są mi i rozkoszą!

Po drugiej wojnie światowej Tuwim ekshumował zwłoki swojej najukochańszej matki i przewiózł je do Łodzi gdzie złożone zostały w grobowcu na cmentarzu żydowskim. Ze specjalnie utworzonego funduszu pamięci Adeli Tuwim ufundował najbardziej nowoczesną, jak na owe czasy, pracownię fizyko-chemiczną dla szkoły w Inowłodzu. Zakupił dla szkolnej biblioteki wiele cennych książek. Często spotykał się z młodzieżą i nauczycielami tej szkoły. Nie bardzo mogę zrozumieć dlaczego w tym tomie pominięty został biogram światowej sławy pianisty Artura Rubinsteina. Nie są - moim zdaniem - przejrzyste motywy doboru haseł. Te moje uwagi, a zapewne będą mieli ich więcej zawodowi historycy, nie pomniejszają wartości i znaczenia tej tak potrzebnej publikacji. Warto jeszcze nadmienić, że wielką pomoc w jej powstawaniu okazuje dawny łodzianin, obecny mieszkaniec i obywatel Izraela Arie ben-Menachem. Pomaga w wyszukiwaniu i kwerendzie haseł w izraelskich archiwach. Autorzy podkreślają też, że z wielką życzliwością i pomocą spotykają się ze strony pracowników Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Łodzi.

Zwraca uwagę bardzo staranna szata graficzna i liczne ilustracje, stanowiące cenne dopełnienie tekstów.

(Andrzej Kempa, Marek Szukalak: „Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny”, tom II, Oficyna Biliofilów, Łódź 2002)

Janusz Kozłowski

nymi bibliografię Łemków i Nikifora, ogłosił wiele artykułów o Bieszczadach. Udało mu się zgromadzić na tematy karpackie ok. 4 200 pozycji.

Na wystawie znalazła się tylko niewielka część oryginalnych i niezmiernie wartościowych pozycji, zgromadzonych przez Tadeusza Kielbasińskiego.

Z konieczności, braku miejsca, przytoczę tylko kilka spośród pokazanych wydawnictw. Duże zainteresowanie wśród zwiedzających wzbudziły: Mariusza Ryńca, „Administracja Apostolska Łemkowszczyzny w latach 1917-1945” (Kraków 2001), Heleny Duć-Fajfer, „Literatura łemkowska w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku” (Kraków 2002), teka „Łemkowskie Jeruzalem - II Międzynarodowa Prezentacja Twórczo-

ści Artystów Łemkowszczyzny” (Wydawnictwo Małopolskie, Galeria Sztuki, Dwór Karwacjanów (Gorlice 2002), wspaniały album Jerzego Żaka i Macieja Rysiewiczza „Krynica-Zdrój - miasto, ludzie, okolice” (Wydawnictwo Zabytki - Heritage, Warszawa., Krynica 2002), seria: „Cerkwie Bieszczadzkie”, „Cerkwie Sądeczczyzny” „Cerkwie Ziemi Gorlickiej”, „Skansen w Sanku” (Wydawnictwo Fundacja).

W sumie na wystawie znalazło się 256 pozycji książkowych, albumowych i przewodnickich, 81 - stanowiły fotografie, afisze i widokówki oraz 31 mapy.

Splendoru ekspozycji, niecodziennej w Łodzi, dodawały wspaniałe zdjęcia z górskimi widokami. Jak zaakcentował otwierając wystawę Tadeusz Kielbasiński, obecnie ukazują się rocznie ok. 150 do 200 publikacji poświęconych Karpatom.

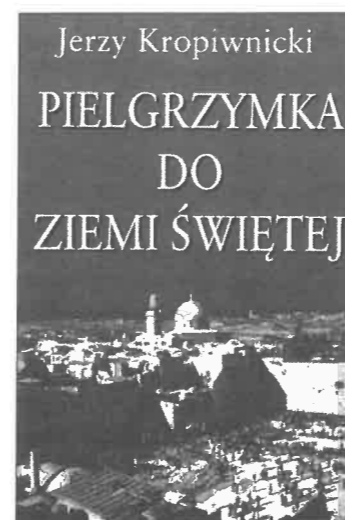
Janusz Kozłowski



(fot. J. Kozłowski)

Tadeusz Kielbasiński w czasie ekspozycji „Książki Karpackiej 2000-2002”

Nietypowa publikacja Prezydenta Łodzi



Zaprzysiężony 19 XI 2002 roku na prezydenta Łodzi Jerzy Kropiwnicki (rocznik 1945), jest doktorem nauk ekonomicznych i ma na swoim koncie wiele publikacji o charakterze ekonomicznym oraz z zakresu polityki społeczno-gospodarczej.

Nietypową pozycją jak na polityka-ekonomistę jest jego książka: „Pielgrzymka do Ziemi Świętej”.

Opisał w niej przebieg dwutygodniowego urlopu, który spędził, poznając miejsca takie jak: Góra Synaj, Karmel, Nazaret, góra Tabor, Jerozolima i Betlejem - aż po Cezareę. Autor oprowadza więc po miejscach świętych zarówno dla chrześcijan, Żydów jak i muzułmanów.

W przedmowie do książki ks. Waldemar Chrostowski napisał znamienne słowa, najlepiej oddające jej charakter: „Jerzy Kropiwnicki odbył pielgrzymkę po jednym z najstarszych i najpiękniejszych szlaków, obejmujących Egipt, Synaj i Ziemię Świętą (...) Dostarcza ona przeżyć i doznań, których zapomnieć nie można. Poznajemy przedchrześcijańską, chrześcijańską i arabską kulturę Egiptu, wspaniały wkląd Półwyspu Synajskiego w kulturę i religijność ludzkości oraz ziemię uświęconą życiem Jezusa Chrystusa i wielu innych postaci biblijnych (...) Ogrom przeżyć i bogactwo doznań sprawiają (...) że pielgrzymi wracają do domów ci sami, ale nie tacy sami”.

Ta wydana bardzo starannie publikacja, okraszona własnymi zdjęciami autora, przynosi wiele pasjonujących informacji z przeszłości i teraźniejszości Ziemi Świętej. Zarekomendować ją można wszystkim, będzie bowiem dla nich wyśmienitym przewodnikiem.

„Pielgrzymka do Ziemi Świętej”, Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna „Adam”, Warszawa 2001.

Janusz Kozłowski.

Drzewko oliwne z mazowieckiej równiny

Autorka książki o zaskakującym, tajemniczym tytule „Extra Vergine” (pierwsze tłoczenie) - Agnieszka Stefańska, mieszka w Łodzi i skończyła dopiero 30 lat. Jest z wykształcenia fizykiem jądrowym, z zamiłowania zaś konserwatorem starych mebli. Zna niemiecki i pracowała jako nauczyciel tego języka. Zadebiutowała monodramem „Szkoła gejsz” wystawionym na deskach łódzkiego Teatru 77 oraz powieścią „Zadzwoń! Do! Mnie!” wyróżnioną w konkursie Wydawnictwa Zysk i S-ka. „Extra Vergine” opowiada o zagmatwanych losach ludzkich, dialogu kultur i wyznań, dziejach własnej rodziny. W ubiegłym roku otrzymała główną nagrodę Świata Książki w konkursie o Złote Pióro. Owo pierwsze tł-

czenie (extra vergine) stanowiące klucz do zrozumienia opisanych w pogodny i nieco ironiczny sposób czterech pokoleń kobiet i symbolika drzewka oliwnego, które wydało owoce w czasie kiedy już nikomu nie było potrzebne - to symbol pozwalający zarówno w tekście jak i kontekście opisywanych zdarzeń doszukiwać się odrobiny magii i ponadczasowych znaczeń. Każdy kto przeczyta tę książkę zinterpretuje ją po swojemu i o to chy-



ba Autorce chodzi. Jednak archetyp „drzewka pokaju” w kontekście splatających się losów niemieckiego pilota, żydowskiego pianisty, rosyjskiego wywiadowcy w zagrodzie pewnej mazowieckiej chłopki pozwala nam ową symbolikę odczytać jednoznacznie. A że pierwsze tłoczenie zawsze

Ozory w pałacu Poznańskiego

W pałacu Izraela Kalmana Poznańskiego, jednego z najbogatszych łódzkich fabrykantów mieści się Muzeum Historii Miasta Łodzi i sala z pamiątkami po genialnym pianiście Arturze Rubinsteinie. „Właśnie osoba Rubinsteina skusiła mnie do przygotowania kolejnej potrawy” - Robert Makłowicz zapowiedział swoje kolejne kulinarne przedsięwzięcie, siedząc przy ogromnym stole w sali lustrzanej. Przed nim leżał czarny cylinder i laseczka. Po chwili przeszedł na pałacowy taras, gdzie rozpoczął przygotowania do potrawy prezentującej kuchnię żydowską. By oddać hołd wielkiemu łódzianinowi żydowskiego pochodzenia, Makłowicz zrealizował jeden z przepisów Neli Rubinstein. Ozór w sosie karmelowym był najbardziej pracochłonnym daniem ze wszystkich potraw czterokulturowej Łodzi. Trzeba było przyspieszyć gotowanie mięsa (w przepisie dwa razy po półtorej godziny) i natrudzić się przy robieniu karmelowego sosu o bursztynowym kolorze. W nagrodę po trudach i pogodowych kapryśkach całego dnia na finałowe ujęcie wyszło słońce. Widzowie łódzkiego odcinka „Podróży kulinarnej” będą więc mieli okazję choć przez chwilę podziwiać słoneczną twarz Łodzi.

Robert Makłowicz: - Łódź jest bardzo przyjemnym miastem. Nawet jej brzydota jest fascynująca, bo to brzydota z charakterem.

Według Krakusa Łódź ma ogromny atut: tutaj świetnie się człowiek bawi. - Macie kapitalne knajpy: Łódź Kaliska, Portobello, Przechowalnia, Fabryka - wylicza. - W Łodzi zdecydowanie lepiej się pije niż je. Ale z roku na rok pojawia się coraz więcej restauracji, gdzie można również dobrze zjeść, choćby Restauracja Polska.

I jeszcze jedno spostrzeżenie krakowskiego mistrza kuchni: - Łódź nie jest napuszona. Ma wesoły plebejski charakter i niczego nie udaje. I właśnie dzięki temu to miasto potrafi urzec.

Łódzkie ZOO przed wejściem do Unii Europejskiej



Łódzkie ZOO w pierwsze wiosenne weekendy odwiedziło kilka tysięcy łódzian spragnionych wypoczynku na świeżym powietrzu. Dla wielu z nich wizyta w ogrodzie zoologicznym to jedyna szansa na bliższy kontakt z naturą i dzikimi zwierzętami, dlatego zaniepokoiły ich pojawiające się w mediach plotki o konieczności zamknięcia łódzkiego ZOO, które jako by nie spełnia wymagań Unii Europejskiej...

jest Extra, szczerze polecam lekturę interesującej łódzianki.

(Extra Vergine, Agnieszka Stefańska, Świat Książki, Warszawa 2003)

Zbigniew Lipowski

- Im dłużej jestem w Łodzi, tym bardziej mi się podoba - wyznał spacerując po Piotrkowskiej.

Żydowskie ozorki w sosie karmelowym

- 1 cały ozór wołowy 1350-1800 g
- 2 łyżki soli
- 2 pory z częścią zieloną
- 2 marchewki
- 1 pietruszka
- 1/2 selera
- 3 cebule
- 3 listki bobkowe
- 5 gałązek natki
- 10 ziarenek pieprzu
- 1 kostka bulionowa (według uznania), sól

Sos karmelowy

- 1 łyżka stołowa mąki
- 1 łyżka masła
- 2 szklanki esencjonalnego bulionu mięsnego ugotowanego na ozorze
- 5 łyżek stołowych cukru
- 2 łyżki octu
- 1/2 szklanki jasnych rodzynek
- 1/2 szklanki obranych ze skóry i posiekanych migdałów

Z mąki i masła zrobić zasmażkę, dodać bulion i gotować mieszając, aż sos zgęstnieje. Zrobić karmel: w małym rondlu stopić cukier ciągle mieszając. Gdy przestanie bulgotać i nabierze koloru jasnego bursztynu, wlać go natychmiast do sosu.

Dodać stopniowo ocet, spróbować.

Na koniec rodzynek i migdały.

Sos zagotować ciągle mieszając.

Trzymać na ogniu, dopuki rodzynek nie zmiękną.

Fragment artykułu „Nasze cztery kuchnie” Joanny Podolskiej z „Gazety Wyborczej”, 15.03.2002 r.



(fot. M. Kujawka)

Na tarasie Pałacu Poznańskiego mistrz kuchni wypróbował przepis Neli Rubinstein

rzaków - np. cytrusy zastąpiono dynią i jabłkami. Nadzieją są sponsorzy, którzy do tej pory bezbłędnie wywiązywali się ze swoich zobowiązań.

Przy takich problemach z wyżywieniem zwierząt trudno o środki na przebudowę wybiegów. Aniela Gra-

Ekspozycja z Andrzejowa

Od 5 stycznia 2003 roku w Auli Jana Pawła II Kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Andrzejowie eksponowana jest wystawa mebli oraz innych przedmiotów codziennego użytku, pochodzących z przełomu XIX i XX wieku. Ekspozycji przyświeca idea, która pozwala zobaczyć przedmioty nie w muzealnej gablocie wyrwane z tła i kontekstu, ale w zrekonstruowanych w duchu epoki wnętrzach. Zgromadzone przedmioty pochodzą z lat 1890-1930 i były własnością kilku rodzin fabrykanckich. Ich różnorodny charakter wpłynął na pełen uroku obraz wnętrza mieszczańskiego z przełomu XIX i XX wieku.

Wyposażenie pomieszczeń reprezentacyjnych stanowi neorenesansowy komplet dębowych mebli do jadalni oraz dębowy garnitur biedermeierowskich mebli do salonu. Ponadto znajduje się art decowska szafa biblioteczna z częściowo oszklonymi drzwiami datowana na II połowę lat 30. Biblioteka zawiera ciekawy księgozbiór, na który składają się XIX i XX wieczne prace z dziedziny literatury, geografii, przyrody i sztuki.

Sypialnia czy też buduar pani domu, to pomieszczenie o charakterze intymnym, strzegące prywatności ich użytkowników, stąd też przeważnie znajdowało się na piętrze.

Damskie biureczko - toaletka znajdujące się na naszej wystawie, metalowe łóżko z dekoracyjnymi, przykrywającymi je kapami, miękkie fotele oraz ściany utrzymane w kolorze nasyconej zieleni, podkreślają klimat tamtych czasów. Etażerki i serwantki wypełniane były na przełomie wieków bibelotami, między innymi figurkami porcelanowymi, wazonami ze scenkami w stylu Watteau oraz zdjęciami w dekoracyjnych, mosiężnych ramkach. Liczne ich przykłady można zobaczyć na prezentowanej ekspozycji.

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przy stole w jadalni. Stanowił on zawsze, bez względu na okres historyczny w jakim występował, ważną rolę w życiu człowieka zajmując centralne miejsce. W pokoju stołowym musiał być odpowiednio nakryty. Rodziny mieszczańskie posiadały liczne zastawy. Im bardziej zamożne, tym częściej serwisy pochodziły z lepszych manufaktur, zaś

Jubileuszowy rok Muzeum Miasta Zgierza

W lipcu br. Muzeum Miasta Zgierza będzie obchodzić jubileusz 25 lecie swego istnienia. Z tej okazji wszystkie tegoroczne wystawy tematycznie będą związane ze Zgierzem i jego dziejami oraz z działalnością artystyczną i społeczno-kulturalną mieszkańców miasta.

Pierwsza z pięciu wystaw, które nasza placówka zaplanowała zorganizować to wystawa prac zgierskich twórców. Jej otwarcie odbyło się 14 stycznia br. Prezentowane prace pochodzą z różnych okresów twórczości ponad 30 artystów związanych ze Zgierzem.

czowa, kierownik działu dydaktycznego, zapewnia jednak, że o zamknięciu ZOO nie ma mowy, gdyż chodzi tu o żywe stworzenia, które nie mogą stać się ofiarą bezdusznych przepisów.

Jakub Wilamek

bielizna stołowa była bardziej dekoracyjna, a komplety platerowanych i srebrnych sztućców liczyły po kilkanaście sztuk. Stół biesiadny z naszego wnętrza nakryty został porcelanowym serwisem obiadowym, pochodzącym z początku XX wieku. W skład serwisu - produkcji jednej z polskich wytwórni porcelany - wchodzi m.in. waza do zupy, talerze płytke taka sama ilość talerzy głębokich, tyleż talerzyków deserowych (talerzy płaskich w serwisie było zwykle dwa razy tyle co głębokich), 2 rozłożyste półmiski na pieczone, owalny półmisek do ryb, sosjerki, pojemniczki na przyprawę. Serwis uzupełniony jest naczyniami z kompletu deserowego - cukiernicą, dzbankiem, filiżankami do kawy. Platerowe sztućce spoczywają na bardzo popularnych w XIX wieku podstawkach zwanych koziołkami.

Tak bogate wyposażenie stołu związane było m.in. z faktem iż wszystkie sprzęty znajdujące się na nim określały status społeczny właścicieli, podobnie zresztą jak wszystkie meble, bibeloty a nawet kwiaty odpowiednio ułożone w wazonach.

Architektura i dekoracja wnętrz ostatniej ćwierci XIX wieku była syntezą poszukiwań takich form, które mogłyby zaspokoić gust i wymagania mieszczaństwa na przełomie wieków.

Zamierzeniem wystawy było sprowokowanie do refleksji na temat zabytków, pamiątek narodowych, tradycji - czym są i powinny być dla nas wszystkich. Wszak jednym z elementów uniwersum kultury człowieka jest szacunek dla jego dziedzictwa. Sztuka, zarówno współczesna jak i epok minionych rozbudza, a niejednokrotnie wyznacza kształtowanie postaw wobec naszej tradycji.

Autorzy wystawy:

Agata Kwiatkowska

(historyk sztuki i rzeczoznawca)

Bartłomiej Jarmoliński - artysta plastyk,

Witold Dominiak - opieka konserwatorska.

Agata Kwiatkowska

(przedruk z „Co słychać w Andrzejowie” nr 1 styczeń 2003)



(fot. archiwum)

Dyrektor Muzeum w zrekonstruowanym wnętrzu z końca XIX w.

jekty autorskie wnętr oraz meble Łukasza i Pawła Nawrotów, malarstwo portretowe w wykonaniu Anny Wirhanowicz oraz tkaninę artystyczną. Obok prac wykładowców z Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, na ekspozycji nie zabrakło również dzieł artystów-amatorów. Wystawę można było oglądać w salach muzeum w Zgierzu przy ul. Dąbrowskiego 21 do końca kwietnia.

Miłośnicy sztuki jubilerskiej mogą zapoznać się z unikatowym albumem „Rody jubilerskie w Polsce” gdyż w muzeum twa promocja tego wydawnictwa. Przepiękny i bogato ilustrowany album ukazał się staraniem Anny

Pan Jerzy na wieży

Minęło zaledwie kilka miesięcy od zakończenia prac nad iluminacją kościoła św. Katarzyny w Zgierzu, a jej proboszcz ma nowy pomysł: na 65-metrowej wieży chce uruchomić punkt widokowy.

Zajmie się tym Społeczny Komitet Renowacji Kościoła Farnego św. Katarzyny.

- Otwarcie punktu widokowego to jedno z zadań, którymi zajmie się komitet - mówi proboszcz Mirosław Stróżka. - Można go otworzyć na wysokości ponad 50 metrów. Musimy jednak zapewnić bezpieczeństwo. Nie chodzi tylko o balustradę. Cała wieża jest w kiepskim stanie technicznym. Budowano ją podczas pierwszej wojny światowej z cegieł kiepskiej jakości, często z rozbiórek. Nawet gdybyśmy nie planowali otwarcia punktu widokowego, - trzeba w końcu odnowić wieżę.

W ten sposób fara mogłaby się stać jedną z głównych atrakcji okolic Łodzi. Kościół ma strzelistą wieżę i stoi na wzniesieniu.

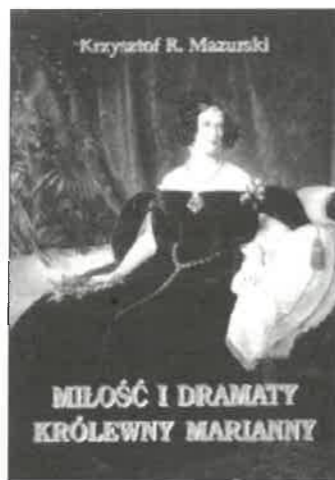
- Jako dziecko sam chodziłem na wieżę fary. Wi-

Miłość i dramaty królowny Marianny

Królowna Marianna z namiestnikowsko-królewskiego domu Oranje-Nassau (1810-1833), który do dziś panuje w Holandii była postacią barwną i niezwykle ciekawą, a przy tym również bardzo tragiczną i nieszcześliwą. Autor podjął wieloletni trud badań literaturowych, archiwalnych i terenowych dla zaprezentowania możliwie pełnej drogi życiowej i osobowości tej jednej z najwybitniejszych kobiet XIX w.

Część życia królowny Marianny związana jest z Ziemią Kłodzką, czytelnik dowie się co oznaczają: różowa, zielona i biała marianna, Droga Marianny, Droga Albrechta koło Międzygórza. Zapozna się z wersją budowy zamku w Kamieńcu Żabkowickim. Książka zawiera ilustracje obrazujące samą Mariannę i jej najbliższych oraz miejsca z nią związane oddając bogate wrażenie wizualne. Książka jest pierwszą publikacją w języku polskim opartą na faktach i dokumentach, dostarcza interesującej i nieustraszonej lektury, ubogaconej wiadomościami krajoznawczymi związanymi z miejscami pobytu Marianny na Ziemi Kłodzkiej, np. Stronie Śląskie, Międzygórze - w którym zachowany jest dworek Marianny.

W 190 rocznicę urodzin królowny Marianny, 17 czerwca środowisko oddziału PTTK w Międzygórzu z



inicjatywy autora odsłoniło tablicę pamiątkową z udziałem władz holenderskich

Książka godna polecenia, dostępna w oficynie wydawniczej PTTK SUDETY, Ratusz Rynek 11/12, 50-106 Wrocław. Zawiera 165s., format B5, 47 ilustracji, bogate piśmiennictwo, cena 20 zł z przesyłką.

Autor - prof. dr hab. Krzysztof R. Mazurski, rocznik 1946, urodzony w Warszawie, od 1947 r. mieszkaniec Wrocławia. Geograf, sozolog, regionalista i krajoznawca, pracownik Katedry Planowania Przestrzennego Politechniki Wrocławskiej. Posiada bogaty dorobek naukowy i publicystyczny, obejmujący m.in. ponad osiemdziesiąt pozycji samoistnych, także jako współtwórca „Słownika geografii turystycznej Sudetów”, przewodników monograficznych i pasmowych po Sudetach, Dolnym Śląsku i Łużycach. Badacz i popularyzator wiedzy o tych regionach, działacz PTTK i instruktor przewodnictwa oraz podróżnik. Redaktor naczelny magazynu górsko-podróźniczego „Na szlaku” i członek Zespołu Redakcyjnego półrocznika „Dolny Śląsk”.



Wilhelm Szarżanowicz

dok jest niezwykle. Otwarcie punktu widokowego byłoby wielką promocją miasta - mówi Karol Maśliński, prezydent Zgierza. - Na pewno to poprę. Dzięki swoim kontaktom mogę zachęcać przedsiębiorców do pomocy. Na razie trudno powiedzieć, czy miasto dołoży się do tej inwestycji. Fara jest naszym największym i najcenniejszym zabytkiem, ale nasz budżet jest pusty.

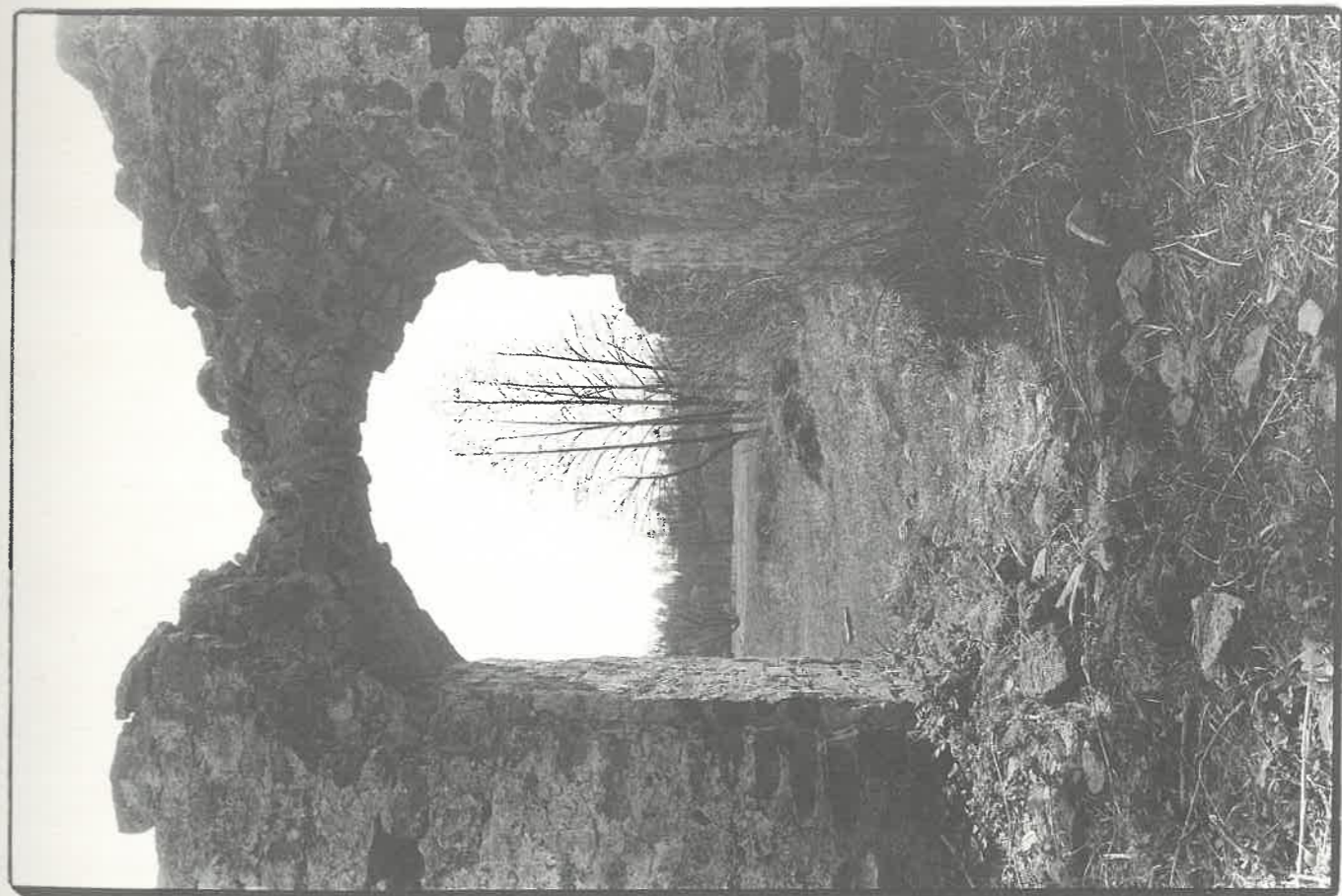
Jak szacuje proboszcz Stróżka, powstający komitet będzie miał pracę na kilka lat. Wkrótce wyjaśni się, jakie jeszcze zadania postawi przed sobą.

Już teraz wiadomo, że trzeba zorganizować profesjonalny system ogrzewania. Najpierw należy jednak zrobić ekspertyzy.

Dotychczasowe prace w kościele i przed nim już przynoszą efekty. Dzięki iluminacji, okolice fary są najpiękniejszym miejscem w centrum Zgierza także nocą. Niedawno naprawiono organy. - Od tego czasu mamy coraz więcej zgłoszeń na organizowanie koncertów - mówi proboszcz Stróżka.

„Dziennik Łódzki” 25,26 I 2003 r.

Anna Walaszczyk





CONCORDIA WIELKOPOLSKA

T O W A R Z Y S T W O U B E Z P I E C Z E Ń W Z A J E M N Y C H

P-338

UBEZPIECZYCIELEM GMIN

Oferujemy szeroki zakres ubezpieczenia kompleksowego mienia i działalności gminy przy zastosowaniu specjalnych preferencyjnych stawek

I. Ubezpieczenia majątkowe:

1. ubezpieczenie budynków i budowli od ognia, zalania i innych zdarzeń losowych - budynki biurowe, administracyjne, mieszkalne, handlowo-mieszkalne, handlowo-usługowe, remizy strażackie, wodociągi, oczyszczalnie ścieków, hale sportowe, boiska, drogi i place, budynki wynajmowane np. przez gminę od prywatnego właściciela itp.
2. ubezpieczenie mienia komunalnego zgromadzonego w budynkach oraz gotówki:
 - a) ubezpieczenie mienia od ognia, zalania i innych zdarzeń losowych
 - b) ubezpieczenie mienia od kradzieży z włamaniem, rabunku i wandalizmu
3. ubezpieczenie sprzętu elektronicznego, nośników danych i baz danych
4. ubezpieczenie szyb w budynkach od stłuczenia i uszkodzenia

II. Ubezpieczenie następstw nieszczęśliwych wypadków pracowników urzędu gminy i powiatu

III. Ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej:

1. ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej deliktowej z tytułu prowadzonej działalności i posiadania budynków
2. ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej z tytułu posiadania dróg publicznych - utrzymanie nawierzchni jezdni, chodnika i pobocza oraz zieleni wraz z oczyszczaniem zimowym nawierzchni jezdni, chodnika i pobocza
3. ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej organizatorów imprez masowych (rozgrywki sportowe, festiwale, festyny, itp.)
4. ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej wójta, burmistrza, prezydenta.

IV. Ubezpieczenia komunikacyjne:

Pakiet ubezpieczeń komunikacyjnych OC, AC i NNW komunikacyjne.

Zapraszamy!

CONCORDIA WIELKOPOLSKA TUW

Oddział w Łodzi, ul. Północna 27/29,

91-420 Łódź

Tel./fax: 42/63-04-007, 63-07-557

e-mail: lodz@wielkopolska.com

www.grupaconcordia.pl

